MARIUSZ

ZIELKE

DYKTATOR

MARIUSZ
ZIELKE

DYKTATOR

Spis treści

Od Autora

Kulisy powstania powieści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Posłowie

Dlaczego „Książki z kluczem”?

Moja historia

Podziękowania

Arturowi, za bezcenną pomoc

Joannie, jak zawsze

Copyright © by Mariusz Zielke 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone

Okładka: Autor, zdjęcia autor
grafiki: Mirek Kozłowski
Skład i łamanie: autor

Wydanie I

ISBN: 978-83-932255-8-3

Wydawnictwo Książki z Kluczem

www.zkluczem.pl

Od Autora

„Dyktator” nie opowiada o jakimkolwiek istniejącym polityku. Wszystkie postaci i wydarzenia są wymyślone, ewentualna zbieżność przypadkowa. Przygotowując się do napisania powieści przeczytałem masę wywiadów, książek i biografii prawdziwych polityków, jednak starałem się wymyślić swojego, oryginalnego bohatera. To utwór o człowieku uwikłanym w politykę, o grze człowieka z władzą, wreszcie o wielkim ryzyku, jakie się wiąże z dążeniem do panowania nad ludźmi i kultem jednostki. „Dyktator” jest pierwszą częścią trylogii traktującej o polskiej transformacji.

Kulisy powstania powieści

W 2017 r. jeden z wydawców sympatyzujący z prawicowymi mediami (i pieniędzmi skarbu państwa) zamówił u mnie powieść sensacyjną, która miała być wykorzystana w celach propagandowych do sławienia sukcesów polskiego rządu w walce z korupcją i przestępstwami gospodarczymi. Początkowo chciałem spełnić jego oczekiwania (w końcu taki mam zawód; wielu pisarzy realizuje zamówienia wydawców). Gdy jednak pooglądałem trochę telewizji publicznej i różnych debat, uznałem, że to nie jest temat na powieść sensacyjną (a tym bardziej propagandową) i tak powstał „Dyktator", uczciwa powieść o człowieku uwikłanym w polskie realia. Wydawca był już przerażony samym jej tytułem. No bo cóż, takiej książki nie będzie promować ani telewizja, ani nie będą jej sponsorować państwowe koncerny. Zamówił przecież coś, co miało mu przynieść pieniądze oraz przychylność władzy. A tu, za przeproszeniem, dupa. Czmychnął jak kot nadepnięty na ogon i drży pewnie tak do teraz, czy go ujawnię i czy zostanie odcięty od źródełek. Spokojnie, tacy jak pan zawsze lądują na cztery łapy.

„Z władzą nie można flirtować, trzeba ją poślubić.”
André Malraux

„Czymże jest małpa dla człowieka?
Pośmiewiskiem i sromem bolesnym.
I tymże powinien być człowiek dla nadczłowieka: pośmiewiskiem i wstydem bolesnym.”
Friedrich Nietzsche, „Tako rzecze Zaratustra”

Rozdział 1

„Władzo! Światłości mego życia. Płomieniu mych lędźwi. Mój grzechu, moja duszo…”

To moja ulubiona powieść, choć niespecjalnie wierzę, że Vladimir napisał ją z inspiracji czy też urzeczony osobowością Władzy, jak twierdzą usłużni zausznicy. Sądzę nawet, że miał na myśli kobietę, nie kota. Zapytać nie mogę, bo Vladimir nie żyje, zmarł zanim zdążyłem mu osobiście podziękować, uścisnąć dłoń i pogratulować książki. Sama Władza, szczerze mówiąc, ma to wszystko gdzieś, choć wyraźnie lubi, gdy czytam na głos, deklamuję jej imię i kolejne poetyckie frazy z prologu. Ale ona w ogóle lubi głośne czytanie, im dłużej, tym lepiej. Kładzie się wtedy na nocnym stoliku przy łóżku, wyciągnięta, rozluźniona, tuż przy moich ustach i… mruczy. Ja szepczę niespiesznie, powolnym, głębokim tonem, ona odpowiada cicho, leniwie, dostojnie…

„Wła–dza. Czubek języka schodzący w dwóch stąpnięciach wzdłuż podniebienia, aby na dwa trącić o zęby. Wła. Dza.”

Czy jest lepszy dowód na miłość, nawet jeśli zdaniem Mirki, jest to miłość perwersyjna?

Władza, jak się pewnie domyślacie, to mój kot, a raczej kotka, dziewczyna, piętnastoletnia dzika lolitka, nieco chłodna w uczuciach błękitno–szara brytyjka o oczach zielonych jak morska toń i sierści aksamitnej w dotyku niczym jedwabny szal.

Dostałem ją w prezencie od córki mojego brata w rocznicę śmierci Marcela, jej da(u)chowego poprzednika. Początkowo na imię miała Liwia, ale dawno temu, jeszcze zanim przejąłem rządy ostatecznie i bezapelacyjnie, sztab wyborczy postanowił arogancko zakpić z krytyków, którzy z kolei drwili ze mnie i z niej, wołając:

„Prezes ma tylko jedną miłość: kota”.

„Miłością Prezesa jest Władza” – odpowiedzieliśmy im internetowym memem, który pozornie miał mnie krytykować, lekceważyć i ośmieszać, a zamiast tego przyniósł dwuprocentowy wzrost poparcia. Ludzie lubią koty i dystans do siebie, także jeśli jest nieprawdziwy i wydumany.

Tak Liwia stała się Władzą, moją miłością, a ja przekonałem się do Internetu, choć jak wiecie, nienawidzę nowości, szczególnie tych zachodnich, bo zachód to zło, samo zło. Jednocześnie jednak musiałem przyznać (jestem sprawiedliwy w sądach, w końcu ja to też sprawiedliwość): nie ma lepszego narzędzia do manipulowania ludźmi.

Mirka, tak naprawdę Mirosława (jakże ja nienawidzę zdrobnień), jest z kolei asystentką, najbliższą współpracownicą, strażniczką, doradczynią, powiernicą, kapciową, wierną jeszcze dłużej. Ufam jej bezgranicznie, choć jest córką byłej asystentki samego Bieruta (i nieznanego ojca, co w tym wypadku wydawać się może jeszcze bardziej podejrzane).

Ma lat pięćdziesiąt pięć, wzrost metr pięćdziesiąt pięć, waży też pięćdziesiąt pięć. Kilogramów – sama skromnie gubi pierwsze sylaby i uwodzicielsko szepcze:

– Gramów.

Śmieje się, że jest dziewczyną na piątkę i mimo postępującego wieku wciąż się w tej piątce utrzymuje. W istocie jest chodzącą doskonałością, zna języki, zasady savoir–vivre, dzięki plotkarskim pisemkom lepiej orientuje się w rodzinach królewskich niż większość moich ministrów, z tym od zagranicy na czele. Nosi duże okulary, modne w latach siedemdziesiątych, które upodabniają ją do ówczesnych bogiń i przywołują wspomnienia z młodości, przez co każdy mój rówieśnik popada w coś na kształt rozrzewnienia.

Zawsze sumienna, świetnie zorganizowana, układa mi dnie, tygodnie, miesiące. Na lata potrafi zapamiętać terminarz i dostosować go do potrzeb, w każdej chwili i miejscu, z kalendarzem, który ma zapisany w głowie i może się go codziennie uczy na pamięć, jak ja chłonę vladimirową „Władzę”.

Mirka ponadto ma tę jedną, rzadką, a może wręcz niepowtarzalną, niezwykłą cechę, której nie da się nauczyć – intuicję. Dosłownie czyta w moich myślach.

Przewiduje moje przyszłe słowa, decyzje, gesty. Wie, z kim chcę się spotkać, a kogo unikam. Wyczuwa, gdy mam refleksyjny nastrój, a kiedy pragnę wybuchnąć, bo przecież wybuchnąć czasem trzeba, odreagować,

wyrzucić z siebie to całe nagromadzone, zakumulowane zło, przelane na nas przez ludzi podłych i brzydkich. Trzeba czasem pokazać siebie, takim, jakim się jest naprawdę!

Sam jestem brzydki, sam jestem zły.

Tak wołają i mają rację, ale moje zło jest kumulacją wszystkich zeł, zła, które rodzi się w ludziach za dnia, by w nocy jeszcze się podsycić, naładować i wybuchnąć rankiem lub kolejnym wieczorem, jak to bywa.

Gdy kiedyś postraszyłem przyszłego premiera bronią i opowiedziałem Mirce, że miałem ochotę nacisnąć spust choć raz (zawsze pierwszą komorę trzymam pustą, bez pocisku), a może zamierzałem nacisnąć dwa razy, odparła:

– Mógł prezes i trzy. Wyjęłam tego dnia naboje. Tak na wszelki wypadek.

„Podobno to twój brat groził premierowi bronią, nie ty” – odzywa się w mojej głowie głos Waldemara.

Siedzimy razem w niewielkim, skromnie urządzonym gabinecie w Zamku. Nie ma w nim obrazów, rzeźb, starych waz, mieczy i halabard, tarcz, zbroi czy innych drogich pamiątek. Tylko moje biurko (bez komputera), na nim jedynie notes, zegar i kalendarz; z tyłu, pod ścianą dwa regały z książkami, encyklopediami i słownikami (tak naprawdę dla pozorów, bo książki, które czytam, trzymam w sypialni), kanapa i fotele dla gości.

On i ja. Ale mówię tylko ja, on milczy na razie. Ja peroruję o czymś innym, ale jednocześnie myślę na kilku ścieżkach, jak nowoczesny rejestrator dźwięku. Tu opowieść o miłości do Władzy, tam duma z osiągnięć, jeszcze gdzie indziej odległe, trudne do odrzucenia, mimo najszczerszych chęci, wspomnienie Joanny, a na następnym kanale tylko szumy.

Waldemar ma wypełnić właśnie tę ostatnią ścieżkę. Jest od wytłumienia zakłóceń i wymyślenia czegoś nowego, kolejnej pokrętnej narracji, która uśmierzy społeczne niezadowolenie i przyniesie nam następne zwycięstwo, jeszcze jedno do kolekcji nieustających wygranych, bo zwyciężać się w końcu nauczyliśmy; osiągnęliśmy w tej kwestii swoiste mistrzostwo.

Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy – mam ochotę zakrzyknąć za towarzyszem Wiesławem. Jednocześnie wiem, jak potrzebna jest jego praca, inwencja i pomysłowość, jak ważne zaangażowanie i serce, bo człowiek przyzwyczajony do wygrywania traci czujność i może coś

zlekceważyć, a ja nie chcę niczego zaniedbać, chcę znów wygrać, uczciwie, cieszyć się radością tłumów, a nie korzystać z innych… metod.

Macham ręką trochę zły, trochę rozczulony, jak zawsze na wspomnienie Grzegorza. Mylono nas od dziecka, choć mój brat, zwany przez złośliwych Gregorym (tak, oni też wiedzą, jak nienawidzę zdrobnień i udziwnień), a przez przyjaciół Gregoresku (taki nasz żart, o którym opowiem później), nie był do mnie wcale podobny. Był światłem, podczas gdy ja jestem cieniem, był nadzieją, gdy ja pozostaję wyrzutem, był radością, kiedy ja jestem smutkiem, był słodką rozkoszą, a ja smakuję gorzko, z goryczką, która zostaje w pamięci na długo, może nawet na zawsze.

– Fizyczne podobieństwo jest w gruncie rzeczy mało istotne, powierzchowne i ulotne. To jak z Murzynami, Hindusami czy Azjatami. Wszyscy wydają się być tacy sami, a przecież wystarczy odrobinę dłużej z nimi przebywać, przyjrzeć się, zrozumieć, a nie będziemy mieli żadnego kłopotu z rozpoznaniem – tłumaczyłem mu już wcześniej. – Dokładnie tak było z moim bratem Grzegorzem i ze mną. Pozornie tacy sami dla bywalców i przechodniów, niemal jak bliźniacy, którymi przecież nie byliśmy. Zupełnie inni dla bardziej wnikliwych, uważniejszych obserwatorów. Premier nie należał do zbyt spostrzegawczych. Prawdę mówiąc to był zwykły głupiec, chłopiec na posyłki, pętak i leń, który nic nie osiągnął, a zamiast zająć się żoną oraz dzieckiem chodził po balangach i grał w gałę. Uważał nas za jedno i to samo zło. Nie rozróżniał. Nie potrafił zrozumieć, że to ja jestem jego prawdziwym koszmarem. Dopiero po śmierci Grzegorza zmienił front. Z tą samą determinacją, z jaką go niszczył, zaczął mojego brata gloryfikować, usiłując na mnie zrzucić winę za to, co się wydarzyło. Jakbym to ja zorganizował zamach, a nie on wspólnie… sami wiecie z kim.

Na mnie! Rozumiecie!? Na mnie!

Waldemar to mój drugi najważniejszy współpracownik, przyjaciel wręcz, równie wierny jak Mirka, ostatni z zakonu Muszkieterów, który został przy moim boku, zawsze gotów do walki na śmierć i życie za sprawę.

Jest wysoki, chudy, kościsty i silny zarazem. Z charakteru i mocy mięśni. Dla przyjaciół szczery, szczodry, wspaniałomyślny. Godzien zaufania. Dla wrogów ostry, nieugięty, bezwzględny, zawzięty.

Twardy jak skała. Gdy stawał wiele razy w mojej obronie przypominał kolosa, giganta odstraszającego najodważniejszych przeciwników. Prawdziwy Goliat.

Ma białe, nieco za długie włosy, pociągłą twarz z szeroką, mocną szczęką, dołeczkami w policzkach i głęboko osadzonymi oczami, które otaczają grube bruzdy mądrości, doświadczenia i nieugiętej siły woli. Przypomina aktora z amerykańskich filmów, w których bohaterowie są herosami, cedzą słowa i złym ludziom wybijają zęby albo strzelają między oczy.

Ciągle dopytuje o to zdarzenie z pistoletem, o incydent, którego nikt poza nami (mną i tym Sabaką) nie widział, bo byliśmy sami, bez świadków, i gdyby strachliwy Pies milczał, jak na mężczyznę przystało, ludzie nigdy by się nie dowiedzieli. Ale tchórz musiał popuścić, nie potrafił inaczej, długo pielęgnował w sobie tę złośliwą potrzebę zwymiotowania na mnie, czy na mojego brata, ukarania nas za to, o ile go przewyższamy.

– Więc, jak to było? Naprawdę powiedziałeś, że dla ciebie zabić liberała to jak splunąć?

Szczerze mnie bawi to wspomnienie, jego mina i późniejszy przekaz, bo przecież ludzie z minimalnym potencjałem intelektualnym powinni znać się na żartach (szczególnie wystrzałowych).

Waldemar zaś prosi o szczegóły, okoliczności, uzasadnienia. Uważa, że są istotne w kontekście mojej osobowości. Że w zależności od tego, jak opisze czyny i reakcje w książce, czytelnicy odbiorą je dobrze lub źle, będą postrzegać mnie jako odważnego męża stanu, przekornego kpiarza albo wezmą za nieobliczalnego, groźnego furiata.

– Kłopot w tym, by uwieść i jednych, i drugich, i trzecich. Bo przecież taki mąż stanu nie może skupiać się tylko na poplecznikach. Trzeba wciąż zdobywać nowych. Szanować wiernych, łechtać ich próżność, ale zapraszać tych z drugiej strony barykady oraz niezdecydowanych, do nich też wysyłać sygnały, poszerzać wpływy. Jak Łukaszenka.

Jego idol. Prawdziwy profesor w zdobywaniu ludzkich dusz. Waldemar uwielbia opowiadać anegdotę, że Łukaszenka rzeczywiście musiał fałszować wybory, chcąc uniknąć zarzutów o niewiarygodność. Fałszował tak, żeby mieć tylko osiemdziesiąt pięć procent poparcia, gdyż w rzeczywistości zyskiwał grubo ponad dziewięćdziesiąt, bliżej stu, a w to przecież trudno uwierzyć, szczególnie tym wysłanym w dobrej wierze obserwatorom z godnych pożałowania zachodnich demokracji, które siebie nie potrafią obronić, a próbują zawsze innych, z takim samym, opłakanym skutkiem.

W prawdę uwierzyć najtrudniej, podobnie jak w prawdziwą miłość, a kult jednostki rozbudza miłość jak żaden inny narkotyk. Nawet Wowka Władimirowicz się od poczciwego Sani „Baćki” uczył.

– Jest pomiędzy wami wiele podobieństw – mówi Waldemar. – Też miał trudne stosunki z ojcem, a wręcz chyba go nie znał, też był w młodości wyśmiewany, musiał walczyć ciągle z przeciwnościami, bić się o swoje dobre imię…

„I tak jak ty, Naczelniku, Baćko nie szanował innych, nie znosił czasów spokoju i bezpieczeństwa, musiał szukać konfliktów i sporów, stosował terror wobec podwładnych i przyjaźnił się jedynie ze zwierzęciem, bo ludzie zbyt często zawodzili” – rechocze mi w głowie niedopowiedziana przez Waldemara puenta, którą zdradza jego osobliwa mina, więc już nie prostuję tego zdania o ojcu, bo przecież nie jest prawdą, że moje stosunki z nim były złe, a jeśli były, to co Waldemar może o nich wiedzieć, co wiedzieć o nich powinni obcy?

Ponadto Baćko kochał nie kota, tylko krowę. A czy krowę można uznać za obiekt miłości? Ludzi miłujących koty lub psy jest bez liku, a takich, co kochają krowy? Uważa się ich raczej za dziwaków, odszczepieńców, zwariowanych zwyrodnialców, podczas gdy miłośników kotów posądza się co najwyżej o zniewieściałość, a zwykle po prostu zalicza w poczet romantyków.

Tak czy inaczej, przez swoją szczególną atencję do roli i krów, Sania stał się w całej Europie pośmiewiskiem jeszcze większym niż ja.

Zadrżałem na wspomnienie okładki Spiegela, na której zestawiono nasze zdjęcia: Baćki z marchewką w dłoni i krową o imieniu Milka u boku, i moje z kocicą Liwią (nie wiedzieli, że zwie się już Władzą) na kolanach.

„Ostatni dyktatorzy nowoczesnej Europy” – tak brzmiał tytuł w sposób „skandaliczny i niezasłużony porównujący zwykłego watażkę z wielkim mężem stanu” – komentowali wiarygodni publicyści z Publicznej Telewizji Niezależnej.

Jaka ona nowoczesna, ta Europa? – dopowiadałem sam w myślach. Pełna brudnych Arabusów, kobiet z brodami, czarnych gwałcicieli, dwupłciowych pederastów i bezpłodnych leniów w tęczowych, piętrowych autobusach.

Zepsuta, nie nowoczesna.

No ale czego można spodziewać się po Niemcach, skoro nawet obozów koncentracyjnych zrzekają się na naszą rzecz, jakby masowe mordowanie Żydów, Polaków, Cyganów, kobiet i dzieci można było tak po prostu

zapomnieć, spalić w silnikach ich nowoczesnych samochodów i motocykli, zagryźć ekologicznymi frankfurterkami, przepić doskonałym bawarskim weizenbierem i kubkiem aromatycznego grzańca na berlińskim jarmarku?

Arbeit macht frei, Angela, really?

Waldemar dziś jest moim biografem, spędzamy z sobą dużo czasu, a ostatnie tygodnie przesiaduje niemal u mnie, na Zamku, non stop, z mocnym postanowieniem zakończenia prac nad pisaną od lat Wielką Księgą Naczelnika, jak roboczo tytułuje moją biografię.

– Nieautoryzowaną – dodaje, bo uważa, że taka lepiej się sprzeda, a jednak to dość istotne, żebyśmy osiągnęli też komercyjny sukces. Nie dla pieniędzy, bo one nie mają i nigdy nie miały znaczenia. Ale jakim byłbym władcą, jeśli lud nie chciałby czytać mojej książki? A dać za darmo czy nakazać sponsorowany zakup wazeliniarzom, urzędnikom i państwowym spółkom, to nie sztuka.

Siedzi zatem Waldemar ze mną do samego wieczora, punkt dwudziesta wychodzi, bo wieczór i noc są zawsze moje, moje i Władzy. Tylko we dwoje potem zostajemy i czytamy. Ehrlicha, Sienkiewicza, Piłsudskiego. I na koniec Vladimira, na sam koniec, bo Liwia (mam jednak sentyment do starego imienia i czasem doń wracam, w myślach częściej niż czasem) lubi kończyć noc wyciszeniem, prawdziwie dobrą literaturą, w której każde zdanie, słowo, jak również przecinek mają sens, w której sylaby układają się jak nuty, głoski dźwięczą wpadając do ucha, a literki zostają gdzieś pod językiem, niczym smak mocnego, miętowego dropsa.

Ta vladimirowa poetycka proza właśnie taka jest, najlepsza, najbardziej przejmująca i naprawdę nie przeszkadza nam to, że autor pochodził z Petersburga (w końcu jednak obrabowany przez komuchów dysydent) i do tego nosi to samo imię, co mój największy wróg.

No chyba, że kończymy noc listami.

– O Ministerstwie Listów opowiesz? – pyta Waldemar pewnego ranka, jakby tak dla rozluźnienia po ciężkich tematach, bo właśnie rozmawialiśmy o wojsku. A wojsko to nie jest prosta kwestia, szczególnie jeśli przy okazji zahaczamy o Toniego, o którym później.

Lubię listy, zawsze lubiłem. Szczególnie te papierowe i pisane ręcznie (mówiłem już, jak nienawidzę tej całej nowoczesności). Czytałem je czasem całymi nocami. Listy są autentyczne, opowiadają prawdziwe historie, nawet gdy kłamią, gdy ich autorzy próbują zwieść czytelnika, oszukać, nakłonić do określonego działania sugestią, manipulacją,

podstępem. Tak naprawdę między słowami czają się emocje i przekaz, który wnikliwy, uważny odbiorca jest w stanie bezbłędnie odczytać.

Tak łatwo poznać intencje ludzi, ich podejście, możliwości, nastawienie, patologie. Z listów wyziera szczera prawda. Liwia też tak uważa. Poza Vladimirem, to właśnie listy szczególnie ją zajmują. Może dlatego w końcu postanowiłem utworzyć to ministerstwo. Dla niej. Dla mojej Władzy, mojej najukochańszej Liwii.

– Władza musi być blisko ludzi. Jej obowiązkiem jest słuchać ich głosu. Dać im szanse i możliwości, bez względu na to, czy mają internet, komórki, są biedni i pokrzywdzeni. W listach wszyscy są równi. Mogą napisać, co tylko chcą i do kogo chcą, choćby z błędami, a ktoś winien to przeczytać i jeśli trzeba zareagować…

– Ale takiego odzewu się chyba nie spodziewałeś?

Prawdę mówiąc oczekiwałem jeszcze większego. Jakkolwiek nieskromnie to zabrzmi, miałem nie tylko dar prognozowania politycznych reakcji, ale również odgadywania ludzkich pragnień, dlatego moje analizy tak często się sprawdzały. Ponadto… nikomu się nie przyznaję, ale tym pomysłem z Ministerstwem Listów zostałem zainspirowany przez jeden z kalifatów, gdzie władca utworzył taki resort w celu kontroli nastrojów społecznych i uzyskał znakomite efekty. Jego ministerstwo zatrudniało więcej urzędników niż cały pion bezpieczeństwa. I było skuteczniejsze.

W pierwszych miesiącach Ministerstwo Listów otrzymało prawie trzysta tysięcy pism. Potem było już tylko lepiej (dla urzędników gorzej). Obywatele chcieli komunikować się z władzą. Pragnęli pisać do władzy, dzielić się z nią swoimi emocjami, potrzebami, obserwacjami, złośliwościami. Pisali zatem… Donosy (zjadliwe), pochwały (gorące), zawiadomienia (skrupulatne), skargi (uprzejme), ale przede wszystkim (oczywiste i nieśmiałe) prośby.

Chcieli pisać do mnie, do Prezesa, Naczelnika, ich wodza, dobrodzieja, władcy dusz i najwyższego powiernika. Wierzyli, że ów załatwi ich sprawy, pomoże, byli przekonani, że wcześniej czy później…

– Starałem się przeczytać jak najwięcej. Do dziś czytam. Czasem trafiam na list sprzed dziesięciu, dwunastu lat i zastanawiam się, czy jeszcze w czymś mógłbym pomóc. Pamiętasz, mój Waldku, była taka historia. Kobieta napisała, że odebrano jej dziecko z powodu otyłości. Ktoś jej pomógł (jakiś podejrzany typ), przyjechała telewizja, zrobili wielki reportaż, ale potem i tak stało się, jak się stało. Dzieci trafiły do domu

dziecka, a ona walczyła, jak lwica, aż ten list napisała i na okrągło o tym mówiła: „Prezes przeczyta jej list i się ułoży”. Nie przeczytałem wtedy. Kobieta jednak tak mnie kochała, tak we mnie wierzyła, że była pewna, że po prostu sama się wygłupiła i jeśli nie weźmie się do roboty, to nikt za niej sprawy nie rozwiąże. No i wyobraź sobie, że brak odpowiedzi ją zdopingował jeszcze bardziej, odchudziła się, wzięła w garść, zdobyła pracę, lecz dzieci nie chciały już jej widzieć. Myślały, że ona je oddała, porzuciła. To był brat i siostra, oboje odmówili powrotu do domu, nie chcieli z mamą rozmawiać. Strasznie ją to przybiło, więc napisała do mnie drugi list, powtarzając część historii, opisując nowe rzeczy i puentując, że w zasadzie ona niczego nie oczekuje, rozumie, że sama jest sobie winna, nikt jej nie może pomóc, ale strasznie się cieszy, że może mi to napisać, że może podziękować za spokój, który dzięki naszej (jednostronnej wszak) korespondencji, zyskała, może komuś opowiedzieć o swojej tragedii. Szczęśliwie Miłosz znalazł ten list, wyłowił i wyczuł szansę. Obaj rzewnie płakaliśmy w trakcie czytania. Wiem, nie uwierzysz, że Miłosz płakał, Miłosz przecież nigdy nie płacze, Miłosz nie ma uczuć, nie ma serca, ale… tak było. No i pojechaliśmy do tych dzieci, opowiedzieliśmy im całą historię, powiedzieliśmy, że chcemy im przywrócić mamę, w świetle kamer zrobić gwiazdami, odwrócić zło, przywrócić ich dawne życie. Płakały jak norki. Przygotowaliśmy całość tak, żeby zrobić niespodziankę. Mama dostała informację, że wygrała weekend w luksusowym domu na przedmieściach, tam były kamery, no i oni.

– Znam dalszy ciąg, nie mów dalej – Waldemar otarł łzę z policzka, ja też już płakałem, ale mówić nie mogłem przestać.

– Jak zacząłem, to już muszę… Jak wiesz, wszystko było świetnie przygotowane, dopracowane, ale gdy stanęli naprzeciwko siebie, matka… po prostu szlag ją trafił, zawał czy coś, padła trupem niespodziewanie, bez żadnego znaku, wprawiając obserwatorów, dzieci, ukrytych kamerzystów i dziennikarzy w osłupienie i nic nie było w stanie jej uratować.

– Pamiętam.

Milczeliśmy dłużej, w końcu Waldemar szepnął:

– Nie napiszę o tym.

– No tak.

– Ale jedno chciałbym wiedzieć.

– Co takiego?

– Ty zdecydowałeś, żeby te dzieciaki przekupić? Ty pozwoliłeś, by ukryć śmierć matki i relację zmontować tak, jakby się udało, a śmierć nastąpiła potem…

– Śmierć była jej przeznaczona, tak to przedstawiono. Naczelnik łączy rodzinę, zapewnia w szczególnych okolicznościach wizytę dzieci u umierającej matki.

– A że nie umierała.

– Tego nie wie nikt.

– No więc jak, klepnąłeś to czy po prostu się stało?

Nie odpowiadam. Na wiele pytań nie odpowiadam. Czasem zwyczajnie nie znam odpowiedzi, nie pamiętam, a może nigdy nie znałem. Jestem w końcu szefem państwa, dużego, dumnego państwa z bogatą historią, szczytnymi tradycjami i jeszcze większymi ambicjami, nie jakiejś fasadowej przybudówki, marionetkowego księstewka, nie muszę wszystkiego pamiętać.

Ufam Waldemarowi najbardziej na świecie, bardziej niż Miłoszowi dawniej, ale może właśnie przez owo zapomniane już uwielbienie dla Miłosza i przez pamięć dla jego zdrady, nie jestem w stanie się odciąć i dać Waldemarowi siebie w całej okazałości i wspaniałomyślnej szczerości.

Przez Miłosza mamy dziś do siebie ograniczone zaufanie. Zostaliśmy na zawsze skażeni i żadna lustracja, żadne oczyszczenie nie pomoże.

Pamięć. Bywa taka okrutnie bezwzględna…

Jak jesteśmy przy Miłoszu, to musicie wiedzieć, że polecił mi go wspomniany wyżej Toni Bródka, na długo przed tym, zanim okazał się ruskim agentem.

Wiem, trudno uwierzyć, ale to właśnie Toni powiedział: jeśli chcesz mieć dobrze zorganizowany lobbing, skutecznie kontrolować strony i graczy, weź Miłosza. To człowiek bez serca, bez sumienia, prawdziwy wij. Tylko interesy. Zawsze będzie szedł z tym, który zapewni najlepiej realizację jego spraw. Dopóki będziesz go odpowiednio prowadził, nagradzał i udowadniał, że masz szansę wziąć wszystko (bo Miłosza interesuje „wszystko”), dopóty cię nie zdradzi. Mały błąd i przemieni się w jakiegoś typowego Miśka i szybko ucieknie tam, gdzie będzie odrobinę cieplej, z szansami na gorąco.

– Tylko pamiętaj, by nie stracić go z oczu, gdy już dość urośnie i stanie się niebezpieczny – powiedział wówczas mój najważniejszy minister. –

Trzeba wtedy wyciąć do grzybni jak prawdziwka, żeby się nie odrodził i nikt inny nie skorzystał. Potem będzie gorzki, trujący niczym szatan.

Toni Bródka, draniu, gdzie dziś jesteś? Gdzie są dziś te twoje mądrości, wizje, proroctwa, zapowiedzi o dozgonnej przyjaźni, o twojej miłości do mnie i narodu? Do czystej rasy i tradycji? Do Boga i honoru? No gdzie? W jeden piątek wyparowały, stały się tylko wiecznym koszmarem, jak niechciany sen po przedawkowanej heroinie!

Z Miłosza najbardziej pamiętam zęby. Duże, białe, jakby nienaturalne (bo pewnie kupione). Pamiętam też zarost, (taki męski, gęsty, trochę zwierzęcy), oliwkową skórę i odrobinę mdlący zapach japońskiej nori, który zawierał w sobie jakiś seksualny przekaz.

Nawet ja go czułem, choć przeznaczony był przecież dla kobiet, bo Miłosz, jeśli się nie mylę, sypiał z mężczyznami tylko w interesach, zdecydowanie preferował płeć przeciwną, zwaną piękną. Ciało Miłosza robiło co należy, żeby ją uwieść, przekonać, zdobyć. Ale miało też nutę tego czegoś, co nie wyzwala w innych mężczyznach agresji czy zawiści, tylko podziw.

Wielbiłem Miłosza, skrycie, rzecz jasna. Nie przeszkadzało mi, że tuż przed przejściem do mnie pracował dla Huberta Wolskiego, słynnego Cesarza. W końcu to nieostrożność i głupota tego szemranego biznesmena pozwoliła nam wygrać tak naprawdę, a w konsekwencji ostatecznie przejąć władzę.

Przymykam oczy i znów to czuję. Pierwsze wielkie, spektakularne zwycięstwo, pierwsza owacja na stojąco, niosące się daleko, po horyzont, okrzyki, wspaniałe, wypełniające całą pierś uczucie wszechmocy. Tak budujące, że i wrogom się przebacza, choćby przebaczało się nieszczerze. Serce podchodzące do gardła i bijące mocno, po męsku, patriotycznie. Podpowiadające: potrafisz zbudować nową Polskę. Oto twoja szansa.

Wła.Dza. Czubek języka w dwóch stąpnięciach, na dwa uderza o białe miłoszowe zęby…

Widzisz, mamo. Dałem radę. Zdobyłem świat. Spójrz, co osiągnąłem. Jak przegoniłem także twojego ukochanego Grega, choć oczywiście, masz rację, to też jego zwycięstwo, bez niego by się nie udało. Nic nie jest do końca białe, tak jak nie jest do końca czarne. I nikt nam nie wmówi, że jest inaczej.

A już szczególnie Lew Dawidowicz.

Przez jedną krótką sekundę twarz tego nieszczęśnika przebiega mi przed oczami, surrealistyczna, jak samotny wielbłąd bez jeźdźca na pustynnym szlaku. Przystaje, spogląda prosto w oczy i z sarkazmem oddaje honor, mówiąc coś o „dobrym człowieku”, którym wciąż dla niego pozostaję, mimo że to ja odpowiadam wręcz bezpośrednio za jego cierpienia, a pośrednio za to, co zrobiliśmy jego dziecku i żonie.

– Wróćmy do początków? Jak to się zaczęło?

Chrząknięcie Waldemara. Widzi we mnie przemianę, widzi, że się wzruszam, czuje, że jestem na granicy załamania. Nie może pozwolić mi na to, bo z pracy nici, no i dla mojego zdrowia. Lekarz wyraźnie zakazał zbyt mocnej gry na emocjach. Muszę coś powiedzieć. Muszę opowiedzieć o swoim żalu i nadziejach, jak najszybciej, by zaraz przejść z upadków do wzlotów. Muszę.

– No właśnie, jak to się zaczęło…

Rozdział 2

Najlepszą rozrywką było rzucanie kamieniami. Grzegorz, mimo że niższy i miał krótsze ręce, rzucał najdalej z chłopaków z podwórka i bardzo celnie. W powojennej Warszawie zalegało więcej gruzu niż całych budynków, amunicji nigdy nie brakowało.

Dzieci zbierały się w bandach i wywoływały wojny pomiędzy sobą, chyba że trafiał się jakiś zewnętrzny wróg. Grzegorz był asem. Gdy nie mieliśmy naturalnych przeciwników z sąsiedztwa lub innej dzielnicy, dzieliliśmy się na połowę i Grzegorza zawsze wybierano jako pierwszego, a z czasem, mimo że należeliśmy do młodszych, został przywódcą i to on wybierał.

Zazdrościłem mu, lecz nie chciałem zająć jego miejsca. Nie rzucałem tak dobrze. Poza tym wolałem stać w jego cieniu i szeptać do ucha, jak powinien postępować, w którego z przeciwników celować najpierw i jaką siłę wkładać w każdy rzut.

W zasadzie nie potrafiłem rzucać kamieniami w ogóle. Brakowało mi skupienia, precyzji, a głównie wiary. Nie uważałem kamieni za skuteczną broń. Wolałem bezpośrednie starcia, które przy nabraniu wprawy stawały się mniej nieprzewidywalne. Gdy Grzegorz trafiał jakiegoś chojraka zbyt celnie, za dotkliwie i ten chciał się zemścić wyskakując z pięściami, ja byłem już gotów i ochoczo zastępowałem mu drogę.

Szybko nauczyłem się, że wygrana jest kwestią psychologii, a nie siły ciosu czy postury, których także szczęśliwie mi nie brakowało.

Wygrywałem dzięki dwóm żelaznym zasadom. Patrzyłem prosto w oczy i biłem zawsze pierwszy, zupełnie zaskakując przeciwnika i pokazując mu, że ma do czynienia z kimś naprawdę groźnym i zdeterminowanym, komu nie należy stawać na drodze.

„Pierwszy błąd już popełniłeś, dzieciaku” – przekazywały moje oczy, a zaraz potem przemawiały mocniejszymi argumentami pięści. „Masz szansę nie zrobić drugiego.”

A gdy ktoś robił i okazał się równie zdeterminowany albo silniejszy, wkraczał Greg. We dwóch potrafiliśmy pokonać każdego, osiągnąć założony cel. Honorowo lub nie; w walkach ulicznych honor nie miał wielkiego znaczenia, szczególnie jak się biło komunistów, a wtedy prawie każdy na ulicy był komunistą z zamiłowania, niewiedzy lub przezwiska.

Grzegorz nie zazdrościł mi umiejętności bicia, co odrobinę mnie drażniło. Uważam, że fair byłoby, gdyby trochę się postarał i chciał być jak ja choć w jednej, mało istotnej kategorii, mógłby udawać. Uważał jednak, że skoro ja lepiej walczyłem wręcz, należy zostawić mi takie konfrontacje, no chyba że trzeba było pomóc. Zresztą w ogóle mi ustępował, czego nie znosiłem. Jeśli chciałbym za niego rzucać kamieniami, też by mi je zostawił, mimo że byłem w tej dyscyplinie zwyczajnym nieudacznikiem.

Grzegorz już taki był. Zupełnie nie chciał być mną.

* * *

Staram się nie wracać zbyt często do czasów młodości. Nie, nie z powodu tych bzdur, że mój ojciec rzekomo wysługiwał się komunistom, był posłusznym, zapatrzonym w naukę, pogodzonym z losem, spacyfikowanym konformistą, miał romans (albo i wiele romansów), a matka kochała bardziej brata niż mnie (bzdura).

To podłe kłamstwa, wymyślone tylko po to, żeby mnie sprowokować do wybuchu, podszczypać, znieważyć, urazić, wywołać jakiś rodzaj samobiczowania i poczucia winy.

Wymodelowane w pracowitych, bezdusznych głowach piarowców, tych podłych miłośników Bachusa i sztuk wszetecznych, dziwki zwykłe mówiąc wprost, kurwy zawzięte, nieczyste, zdradzieckie.

Kanalie!

Agresja i nienawiść – myślicie, że tak wygracie?

Mógłbym (pewnie powinienem) odpowiedzieć im dosadnie, powiedzieć wprost, co myślę, jak się mylą, ale przecież to byłby ich sukces. Prowokacja przyniosła efekt. Spowodowała wybuch Naczelnika. Dała nam pretekst do protestów i demonstracji, donosów i telewizyjnych rozpaczań. Tego chcecie!

Ale nie ze mną.

Jeśli chcesz ich wkurzyć, po prostu się uśmiechaj (rada Miłosza). Zachowaj wstrzemięźliwą wyższość, pokaż, że nie zasługują na twój

wybuch.

Ojciec był wspaniałym mężczyzną, prawdziwym patriotą, rannym w walkach, bohaterskim, zresztą odznaczonym za wojenne zasługi przez dwa niezależne rządy (emigracyjny i stołeczny), co również w tamtych czasach miało swoją wagę. Jednocześnie człowiekiem skromnym i zasadniczym, a przecież znaczy to wiele szczególnie dziś, gdy wszyscy chcą być gwiazdami, mieć coś swojego, własną przestrzeń, choćby w tym całym nieszczęsnym internecie.

Jego dziad walczył w powstaniu, a któryś z pradziadów nosił z dumą tarczę z dwugłowym orłem o złotych szponach pod Grunwaldem. Często śniłem w młodości o tym pradziadku. Widziałem go siedzącego za grubym, dębowym stołem w zbroi i potężną dłonią unoszącego do ust większy od głowy udziec albo galopującego na koniu na wprost hord barbarzyńców z uniesionym nad głową zerwikapturem, mieczem zdolnym obciąć naraz i trzy tatarskie, ruskie, szwedzkie czy krzyżackie łby.

Wielu krytyków mojego ojca powinno zamiatać podłogę przed jego stopami.

Owszem, lubił flirtować, może nawet odrobinę uwodził koleżanki i obce kobiety, przez co mama miewała złe dni, chwile gorsze i rozdarte, ale w gruncie rzeczy nigdy nie dał jej powodów do prawdziwej zazdrości, a już na pewno nie płaczu.

Moja mama była twardą kobietą, potrafiła sobie poradzić z tym dupkiem (wykreślić). A te zamykanie się z asystentką, a te późne powroty, a te nagłe wyjazdy – zapytacie? (nie zapytacie – wykreślić). Jak odpowiedzieć na kłamstwa? Chyba tylko milcząc lub innym kłamstwem. Albo… pistoletem.

Waldemar sądzi, że to dlatego tak lubię broń. Daje mi poczucie przewagi nad ludźmi, którzy uważają, że bydlaki kłamać mogą zupełnie bezkarnie, obrażać innych, rzucać kalumnie, pluć i chlapać śmierdzącymi wydzielinami, nie czekając na swoją kolej przed drzwiami w toalecie.

Ale innym broni nie dam, bo przecież wiem, co to by znaczyło. Broń jest dobra tylko, jeśli mają do niej dostęp odpowiedni ludzie.

Wedle jednej z teorii sprzedajnych lewacko–liberalnych analityków i historyków zajmujących się moją skromną osobą, w młodości i stosunkach z rodzicami kryje się także źródło mego rzekomego homoseksualizmu i uwielbienia dla zwierząt.

Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze: nie jestem homoseksualistą. Brzydzę się mężczyznami w sensie uczuciowym, a co mówić o cielesnym. Może nie

pociągają mnie kobiety (dziś, a może nigdy mnie nie pociągały, z wyjątkiem Joanny rzecz jasna), ale czy to jest równoznaczne z uranizmem. Na myśl, że coś mogłoby łączyć mnie fizycznie czy choćby platonicznie z jakimś spoconym, włochatym, pachnącym czosnkiem i przeciągającym samogłoski osobnikiem, robi mi się zwyczajnie niedobrze.

Tak więc zwalczając homoseksualistów, zamykając ich w obozach koncentracyjnych, poddając operacjom i przymusowemu (ale jakże skutecznemu) leczeniu, nie odnoszę tego w żaden sposób do siebie i do swojej osoby, nie robię zasłony dymnej, ani nie próbuję zemścić się na Bogu za to, że uczynił mnie tym, kim uczynił.

Wszelkie sugestie, że zdrady mojego ojca i oziębłość mamy wywołały u mnie taką, a nie inną potrzebę odreagowania, traktuję jako poważne oszczerstwo, zasługujące na najwyższą karę. Jednocześnie stanowczo zaprzeczam, że to dlatego przywróciłem jej wykonywanie.

Przestępców zwyczajnie trzeba karać srogo, sprawiedliwie, nieuchronnie, a tych najgorszych… nieodwracalnie. Jak to lubił żartować Marcel:

– Jeśli komuś obetniesz głowę, trudno będzie mu apelować do Brukseli.

Władza powinna być skuteczna i sroga dla patologii, empatyczna i wyrozumiała dla ofiar i wiernych.

Co innego ze zwierzętami.

Fakt, że nie było w naszym domu miejsca dla zwierząt, a mama nie zgadzała się na pieska, kotka czy choćby świnkę morską, istotnie spowodował u mnie braki, poczucie krzywdy i wielką potrzebę naprawy, którą z roku na rok w sobie podsycałem. Pamiętam też z młodości wiele okrucieństw, jakie moi rówieśnicy czynili zwierzętom, krojąc żaby, przyczepiając psom puszki do ogonów, strzelając do nich z proc, wrzucając małe koty do wody, rozczłonkowując ślimaki, raki, dżdżownice i myślę, że to podbudowywało we mnie poczucie winy, domagające się reakcji.

Jedna sytuacja szczególnie mnie uderzyła. Na moim osiedlu mieszkał chłopak (syn robotnika, palacza w szkole) zadziorny i prostolinijny, o ksywce Piącha, który za pieniądze pozbywał się niechcianych zwierząt w sposób niezwykle okrutny, tworząc dla łaknącej krwi widowni pełne barbarzyńskich praktyk przedstawienia.

Chłopak ten zabijał zwierzęta na opuszczonym lotnisku za miastem. Chętni mogli oglądać egzekucje za pieniądze. Na jeden z takich spektakli zaciągnął mnie sąsiad, założył za mnie za bilet, bo sam bał się pójść, gdyż bywalcami byli głównie chłopcy starsi i czasem po znęcaniu na

zwierzętach, mieli ochotę przenieść swoje rozbudzone emocje na młodszych. Ja byłem już wówczas dość rosły i silny, umiałem się bić i nie schodziłem z drogi także sporo starszym i czasem większym, więc byłem pozornie dobrym zabezpieczeniem.

W tym dniu Piącha przywiózł wózkiem podłączonym do roweru trzy klatki ze zwierzętami. Były tam dwa koty oraz pies, tak wychudzony i wymęczony, że pewnie i tak nie przeżyłby jednego dnia dłużej. Nie jestem w stanie teraz, po latach, opisać tego, co się działo. Mimo że przecież oglądałem wiele egzekucji, potworności, tortur, ta jedna chwila w tamtym dniu na opuszczonym lotnisku pozostaje momentem skrytym w cieniu, niewidzialnym, nieistniejącym, częścią rzeczywistości, którą wykluczam, wyrzucam z umysłu z całym bagażem towarzyszących jej emocji.

W każdym razie, gdy się zaczęło, zamknąłem oczy i wyobrażałem sobie, że kiedyś zrobię z Piąchą to samo, co on z tymi zwierzakami, ale w tym dniu nie czułem się na tyle silny, by protestować. Za to mój sąsiad następnego popołudnia postanowił, że nie tylko pójdzie jeszcze raz na lotnisko, ale też zaniesie tam swojego ukochanego chomika, a mamie powie, że zwierzę jakimś cudem uciekło, wypadło z okna czy coś podobnego.

Po tych wydarzeniach do dziś mam poczucie winy oraz przeświadczenie, że muszę to odpokutować, choć przecież nie przyłożyłem palca do krzywdy tych biedaków (ale Waldemar uważa, że samo patrzenie było takim przyłożeniem). Może też dlatego podwyższyłem kary dla dręczycieli zwierząt i zrównałem je z tymi, które nałożyłem na homoseksualistów. Nie zrobiłem tego dla poklasku, tylko ze szczerej potrzeby, rzekłbym: dla przyzwoitości.

Bo tak naprawdę trudno się nie zgodzić z tym psychopatą, który pociął nauczycielkę angielskiego na kawałki: czym człowiek różni się od zwierzęcia?

Wracając jednak do mojej skromnej osoby, w żaden sposób nie chciałem także przenieść na zwierzęta miłości i odreagować preferowania przez mamę brata, co zwyczajnie nie miało miejsca. Mama kochała mnie równie mocno jak Grzegorza, a czasem mocniej. Trudno ponadto winić ją za słowa wypowiedziane pod wpływem emocji zaraz po jego śmierci. Każda matka po utracie dziecka ma prawo do takich słów.

I nie, mój ojciec nigdy nie wypowiedział zdania:

– Dobry Boże, strzeż naszą ojczyznę przed moimi synami narwańcami.

To powiedział zupełnie inny ojciec o zupełnie innych synach.

* * *

Mieliśmy jednak rozmawiać o politycznych początkach, a nie mojej młodości.

– Ludzie lubią poznać władzę – tłumaczy Waldemar. Czuje, że się zdenerwowałem, że jestem wybuchowo nieswój, że lepiej odpuścić. Wciąż liczy, że dowie się o mnie czegoś więcej, że się bardziej otworzę, uzewnętrznię, bo on przecież chciałby dogłębnie mnie poznać, swojego idola, człowieka, w którego jest autentycznie, szczerze zapatrzony. Którego podziwia i kocha całym czystym sercem. Ale jest też dobrym psychologiem, więc wie, że dotarł do granicy, której nawet jemu nie wolno przekroczyć, za którą kryją się najgorsze demony.

– Widzą ją czasem w oknie Zamku – żartuję, by trochę rozładować atmosferę. Władza lubi przesiadywać w oknie i patrzeć na demonstrantów, bez względu na to, czy przychodzą mnie poprzeć, czy protestować, a przychodzą co miesiąc, zawsze dziesiątego. Dla niej jest obojętne, jakie mają intencje. Ona lubi tłum, pod warunkiem, że jest za oknem, a nie w domu. Tu akceptuje tylko mnie. Koty już tak mają, że są nieufne w stosunku do obcych. Cenię u Władzy te zachowania. Również jestem nieufny.

– O twojej miłości do Joanny też nie opowiemy? Moglibyśmy… sam wiesz…

Wiem, zadać ostateczny kłam tym homoplotkom. Pokazać na przykładzie, że są wymysłami nie mającymi nic wspólnego z prawdą. Widzę po Waldemarze, do czego zmierza i dlatego mówię:

– Nie zamieścisz jej zdjęcia.

Tego jednego nie wolno ci zrobić!

Kiwa głową, ale jakoś tak niepewnie. Czyżby też chciał mnie zdradzić, oszukać?

Zamykam oczy i widzę ją. Joannę. Taką, jaką zachowałem w pamięci i jaką mam na tym jednym jedynym zdjęciu w szufladzie, schowanym głęboko przed podłymi medialnymi krwiopijcami.

Ma na tym zdjęciu piętnaście lat, jak dziś Władza. Warkocz białych włosów błyszczy w pełnym słońcu, odbija promienie, mieni się barwami. Trzyma mnie za rękę i prowadzi przez pola pszenicy w las. Nie jest

zmyślona, nie jest wytworem mojej wyobraźni ani żadnego innego stratega. Spędzamy ze sobą noc i cały dzień, a potem wracam do domu, szczęśliwy jak nigdy i mam nadzieję, że wszyscy będą się dopytywać, gdzie byłem i z kim, będą się martwić i nagabywać, a oni… zwyczajnie nie zauważyli, że zniknąłem, że mnie nie było.

Nie pytają, nie mają do mnie żadnych uwag, nie chcą strofować, narzekać czy chwalić. Mama patrzy tylko na mojego brata i głaszcze go po głowie. Oto jej syn umiłowany właśnie dostał się na studia, będzie kimś ważnym, radcą a może doktorem Grzegorzem, może i profesorem, odgrzebie szlacheckie korzenie, przywróci rodowi należne miejsce. I jej wzrok, a w nim pytanie: A ty, nieszczęsny nieudaczniku bez ambicji, który nie potrafi zdać z klasy do klasy? Kim ty chcesz zostać?

Czy gdybym powiedział jej: właśnie się zakochałem, zyskałbym choć cząstkę jej szacunku, jak wtedy, gdy wiele lat wcześniej także zniknąłem i gdy mnie szukali. Wówczas byłem ważny, byłem ich oczkiem w głowie, chronionym, wychuchanym, obłaskawianym, wówczas naprawdę się cieszyli, że mnie znaleźli. A dziś?

Powrót, szybki powrót. Już, natychmiast. Pokój, gabinet, Zamek, Waldemar. Nie ma wspomnień, nie istnieją. Jest tylko dziś i teraz. Przeszłość po prostu była, nie ma do niej powrotu, nie da jej się naprawić, wyprostować, po co więc tłumaczyć? Jakie ona ma znaczenie poza historycznym? Całą przeszłość najlepiej wyciąć, wspomnienia to zło, co było jest złe.

– Może później – ucinam.

Waldemar chrząka, nie jest zadowolony. Patrzy na zegarek, mamy jeszcze trochę czasu w tej sesji.

– Dobrze, o czym zatem porozmawiamy? – Pyta, a ja mam wrażenie, że na końcu języka ma dwa słowa, których nie wolno w mojej obecności dziś wypowiadać. Trzynaście głosek, pięć sylab.

Lew Dawidowicz.

* * *

Według gazet i części podań sprzed przełomu, do polityki wciągnął mnie Grzegorz, co jest kolejnym kłamstwem rozpowszechnianym przez moich przeciwników i krytyków. Owszem, on osiągnął początkowo znacznie mocniejszą pozycję polityczną, miał więcej szczęścia i możliwości,

w końcu był starszy. Jednak tak naprawdę to ja byłem pierwszy. Ja go namówiłem do udziału w konspiracji, ja pociągałem za sznurki.

JA. JA. JA. Rozumiecie?

Grzegorz, mówię to z bólem, początkowo zupełnie nie wierzył w sens walki i możliwość zwycięstwa.

– Jak niby można wygrać z komunizmem? Jak walczyć bez broni? Jak w końcu walczyć z tak potężnym przeciwnikiem jak Sowieci? – Pytał i przekonywał: – Jeśli nam się uda lokalnie coś osiągnąć, to tylko sprowokujemy Rosjan, jak to już było na Węgrzech czy w Czechach. Nie mamy żadnych szans.

Wierzył za to w możliwość ewolucji systemu w kierunku przez nas pożądanym i to wykorzystałem, by go namówić do reprezentacji „naszych" postulatów. Gdyby nie moje podszepty, do dziś byśmy tkwili w mrokach komunizmu.

Nie wierzcie więc tym wszystkim „publicystom", że to Grzegorz był większym opozycjonistą niż ja.

Mój brat był umiarkowanym, wyważonym człowiekiem kompromisu. Walecznym, jednak dość przewidywalnym i dlatego łatwym do manipulowania. Owszem, potrafił się postawić, zaskoczyć stanowczą postawą, jednak to negocjacje były jego główną bronią; primary weapon – jak to po latach, trafnie zresztą, oceniał Miłosz.

W przeciwieństwie do mnie widział we wszystkich dobro. Uważał, że człowiek rodzi się dobry i nabiera złych cech przez otoczenie, a nie jest nimi obciążony genetycznie przez przodków.

– Wystarczy, że dostrzeżemy w nich dobro i je wydobędziemy na wierzch – mawiał.

Ufny i głupi (wykreślić).

Beze mnie nic by nie osiągnął. Beze mnie i Marcela, bo to spotkanie z nim tak naprawdę uświadomiło mi możliwości i kierunki, w których należy podążać. Marcel. Jakiż to był niezwykły człowiek. Jakie dawał nadzieje na przyszłość.

Pamiętam jak dziś nasze pierwsze spotkanie na zebraniu jednego z zarządów studenckiej opozycji z robotnikami. Siedział z tyłu, cichy i posłuszny, a w oczach aż wrzało od buntu i agresji. Inni rozmawiali o rokowaniach, fortelach, podstępach, pili i jedli, mówili i znów pili, a on knuł swoją intrygę, modlił się o krew, bo to krew daje przemianę, gniew jest silniejszy od słów, pięść mocniejsza od uśmiechów i uścisków.

Rewolucja wymaga ofiar. Rewolucja jest prawdziwą zmianą. To do niej trzeba dążyć. W sposób ewolucyjny można się tylko zestarzeć i zorientować po czasie, że przegraliśmy naszą szansę, nasz czas. Pokój to łatwy kompromis, zgoda na układ, konserwowanie politycznej dyspozycyjności. Tłum porusza agresja i nienawiść. A przecież to jest nasza szansa. Niedźwiedź przysnął, jest słaby, wymęczony, za tłusty i nażarty. Nie będzie walczył, nie będzie mu się chciało przebudzić.

Miał oczy wojownika, ciemne, mroczne, uważne, przenikliwe. Oczy prawdziwego, zdolnego do największych wyzwań walczaka. One nie chciały układów, życzyły nam niepowodzenia, bo wtedy będzie mógł zrealizować swoją wizję. Takie były te oczy. Takie jak moje, tyle że ja potrafiłem skrywać prawdziwe uczucia. Marcel musiał się tego dopiero nauczyć, a i tak chyba nie do końca mu się udało, bo też trudno nauczyć wilka bycia owcą.

Gdy spytałem o niego Grzegorza, mój brat powiedział:

– Marcel Stonawski, ksywka Republikanin, ale najbliżsi nazywają go Norbert z powodu zapatrzenia w tego francuskiego adwokata z Arras. Walczy z komuchami bez żadnej taryfy ulgowej. Gdy trzeba bić, bije. Gdy trzeba pokazać, że jest twardy, nie ustępuje. Profanuje pomniki, organizuje protesty i demonstracje, nie przebiera w słowach, język ma ostry jak brzytwa, planuje zamachy, jeśli zdecydujemy się na walkę zbrojną, jest gotów stanąć w pierwszej linii. No i ruskich by chętnie wytłukł…

Robespierre. Szalony człowiek zdolny do największej daniny, niewyobrażalnych poświęceń. Wyznawca jedynej słusznej prawdy sprowadzającej się do stwierdzenia, że choć terror bez cnoty jest zgubny, to jednak cnota bez terroru staje się bezsilna.

Do celu po trupach.

– I na pewno nie jest kretem – dopowiedział Grzegorz, błędnie interpretując moje milczenie.

Tego wieczoru nie spuszczałem z Marcela wzroku budując różne scenariusze. Dajcie mu szansę, a udowodni swoją wartość – szeptałem do siebie. Jest gotów do największych poświęceń. Po to żyje. Dla sprawy. I dla władzy. Bo władza to sens naszego działania. Nie wolność, o nią może walczą inni. Nie poetyckie, wzniosłe hasła, nie ta cała radosna twórczość. On (podobnie jak ja) jest człowiekiem konkretu. Istniejemy dla władzy. Przyznajmy to i dojdziemy do porozumienia, będziemy wiedzieli, na czym

stoimy. Naszym celem jest przywództwo, a skutecznie go osiągniemy, jeśli nie będziemy szukać kompromisów.

Kompromisy są dobre dla Grzegorza i innych… cienkich Bolków, prawda?

Tak, już wtedy coś zagrało.

Jakąś cząstką duszy wiedziałem, że wkrótce znów się spotkamy i w końcu zawiążemy porozumienie, z którego wyniknie wiele korzyści dla nas, partii, ludzi. Że w końcu przejmiemy władzę i….

I nigdy już jej nie oddamy (wykreślić).

Zmienimy świat (podkreślić).

– A jednak odsunąłeś go na boczny tor przy Okrągłym Stole – przypomina Waldemar.

Wszystko by zepsuł. Chciał ich wciągnąć w pułapkę i wykończyć zaraz potem. Naiwny był wówczas, bo młody, myślał, że nie dostrzegą podstępu, uważał, że da się wygrać siłowo, gdy wszyscy wiedzieli, że dostajemy pewnego rodzaju ultimatum. Zgadzamy się na historyczne oszustwo w zamian za daną nam na przyszłość szansę. Kompromis, a dla Marcela nie było kompromisów. Te wydarzenia zbudowały jednak prawdziwego, znacznie bardziej zdeterminowanego i niebezpiecznego Marcela. Pokazały mu, że otwarta walka z silnym przeciwnikiem, choćby był najbardziej znienawidzony, nie ma sensu.

Tylko intrygi i podstępy…

– Sam się usunął, gdy zobaczył, że jest osamotniony, że to nic nie da. Usunął się, żeby nikt nigdy nie mógł powiedzieć: ty też przyłożyłeś do tego dłoń, też tam byłeś i zdradziłeś. Patrzył z boku jak podpisujemy porozumienia, wchodzimy w układy z diabłami, a zaraz za drzwiami zaczął spiskować, tworzyć konspiracyjną siatkę bezlitosnych buntowników, wiernych dusz, z którymi pójdzie po ostateczne zwycięstwo.

Chyba wtedy jeszcze nie był mnie pewien, próbował wybadać, ciągnęło go do mnie (dwóch takich samych się przyciąga, choć jak dojdą zbyt blisko, może zadziałać efekt jednoimiennych biegunów magnesu), ale się nie odważył odkryć kart, jeszcze na tyle mi nie ufał.

Może dlatego, że tak mi go potem brakowało, dałem dachowcowi na imię Marcel.

– To prawda, że kot przybłąkał się do twojego domu zaraz po wyjściu Marcela? – pyta Waldemar.

Przez chwilę mam przed oczami starego, dobrego dachowego kocura, czarnego jak smoła, o oczach jeszcze bardziej świdrujących i zielonych niż Liwii. Zdecydowanie pasował z wyglądu na agenta dołu.

Będziecie się śmiać, ale są ludzie, którzy do dziś święcie wierzą w te bzdury, że dachowiec był szpiegiem Stonawskiego. Taki doktor Tumański napisał nawet o tym pracę naukową (szczęśliwie przez promotorów schowaną głęboko dla potomnych). „Szpiedzy i rosyjska agentura wokół Naczelnika.” Tak to chyba leciało. Dowodził, że z pewnością kot był znakomicie wyszkolonym agentem bezpieki, jednak Naczelnik, dzięki własnym kadrom, przenikliwości, analizie psychologicznej, dobremu Panu Bogu (i Maryi Zawsze Dziewicy) oraz nietuzinkowym umiejętnościom kontrwywiadowczym Marcela Stonawskiego, potrafił go „odwrócić”.

– Rozbawił mnie tą analizą i powagą, z jaką przyjmował najbardziej absurdalne teorie spisku, ale nie bardzo wiedziałem wtedy czy można jakoś z tego żartować. Tumański, podobnie jak Toni Bródka, w ogóle nie znał się na żartach. Uważali, że absurdalność wcale nie jest śmieszna, jeśli potrafimy przedstawić ją na poważnie i zyskać dla niej poparcie czy choćby uwagę tłumów. Kwestia interpretacji. Wszystko może być… PODEJRZANE. „Głupców jak wiadomo jest więcej niż mądrych” – mawiał Toni. – „Wystarczy ich przekonać, że głupota jest zaletą i że są w tłumie silniejsi od tych drugich (mądrych lub – co bardziej prawdopodobne – uważających się za mądrych), pokonają ich bez trudu.” Byli zatem śmiertelnie poważni w jakimś tajemnym porozumieniu (szaleństwie), nigdy nie pozwalali sobie na mrugnięcie okiem i odrobinę dystansu (szpiedzy czuwają) i sprawiali wrażenie, że naprawdę w to wierzą. Tak przekonująco, że ewentualne żartobliwe potraktowanie absurdu byli gotowi przedstawić na dowód jego nie–absurdalności, a tych szydzących wpisać w poczet agentów i przeciwników. Gdy któryś wdepnął w psie odchody, poddawali je analizom w laboratoriach.

Tumańskiego wiecznie obsrywały gołębie. Dlatego zakazaliśmy ich hodowania. Uważał, kto wie, może słusznie, że gołębie są genetycznie zmodyfikowanymi ruskimi szpionami (nieprzypadkowo tak się namnożyły w PRL), i srają na niego, bo taki mają rozkaz, żeby jeszcze bardziej utwierdzić go w tym przekonaniu, bo wiesz jaka jest logika takich pasjonatów i weteranów starć z bezpieką: najlepiej podsycać coś, w co nie sposób normalnemu człowiekowi uwierzyć. Tak właśnie produkuje się na użytek plebsu paranoików, którzy w rzeczywistości są geniuszami

przenikliwości i odkrywania spisków, głównie tam, gdzie ich nie ma, ale gdzie z pewnością być mogą.

Głupiec ze mnie, że tego nie przeciąłem, ale cóż, potrzebowałem wtedy poplecznikó w, choćby byli największymi ekscentrykami. A obaj z Tonim mieli wsparcie Ojca Dyrektora, którego zwyczajnie kupowali tym swoim nieśmiertelnym: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Zawsze Dziewica”, zaś Ojciec, jak powszechnie wiadomo, to był dopiero szarlatan w zakresie władztwa dusz i inżynierii ich pozyskiwania.

Kto jak kto, ja nie mogłem się im przeciwstawić.

– Ale z tymi wąsami Tumańskiego to fejk?

Gromię Waldemara wzrokiem, chyba niezbyt stanowczo, bo on tylko się uśmiecha.

– Mów do mnie po polsku – upominam.

– Kiedy trudno czasem po polsku mówić w takich sytuacjach – odpiera ze śmiechem.

Ja też się śmieję, przypominam sobie dawnego siebie, jeszcze z czasów gdy Grzegorz żył i gdy naprawdę miałem poczucie humoru. Oni, Mirka i Waldemar, potem Miłosz i inni, a nawet Marcel, mieli mnie za starego, śmiertelnie poważnego zgreda, a ja przecież taki nie byłem. Może daleko mi do postaci z komediowych filmów czy seriali, lecz poczucie humoru miewałem całkiem często. Tak naprawdę lubiłem żarty, w duszy śmiałem się częściej niż możecie sobie wyobrazić.

– No więc Tumański przyszedł kiedyś do mnie z projektem książki naukowej, w której dowodził, że establishment to układ, dzieci układu i układ na układzie. Całą genealogię porobił tym sędziom, dziennikarzom, doktorom, nauczycielom, wreszcie listonoszom. Uważał wręcz, że listonosze są z nich najgorsi, szpiegują i knują, przekonywał mnie, że gdybym chciał to Ministerstwo Listów zrealizować, to muszę listonoszów wywalić, tak jak wywalę prezenterów telewizyjnych, dziennikarzy, a sędziów i lekarzy pozamykam. „Listonosze na bruk” – zakrzyknął. Wtedy mu powiedziałem, że dla własnej wiarygodności powinien zapuścić wąsy. On z początku nie dosłyszał i chyba do końca nie był pewien, czy dobrze zrozumiał. Widać było po nim, że go zbiłem z tropu. On przychodzi mi tu z bardzo poważnymi sprawami bezpieczeństwa narodowego, a ja mu o wąsach. Z tego co słyszałem, chodził potem strapiony i pytał moich zauszników, czy wąsy są jakimś znakiem w naszym towarzystwie – w końcu ja też miałem wtedy wąsy. A oni (bo żaden z moich

współpracowników wąsów nie miał) mu powiedzieli, że tylko prezesowi i ludziom szczególnym wolno mieć wąsy. Wtedy on sobie dopowiedział, że ja mu dałem tajny znak, zapraszając do grona najbliższych kompanów przez te wąsy. No i zapuścił, biedak, a ja zaraz potem zgoliłem. Do dziś zastanawia się, co to miało znaczyć.

* * *

Waldemar wychodzi tego dnia wcześniej, opuszcza mnie, a ja nie chcę jeszcze iść spać z Liwią, podążam więc na spacer, chodzę ciemnymi korytarzami, bo na zewnątrz wyjść nie mogę, nie mogę już od lat. Przerażające jest to, że chcę dobrze, a wzbudzam agresję. Nic nie zawiniłem, zawsze dbałem o ich dobro, o dobro kraju, nic dla siebie nie biorąc, a ludzie widząc mnie dostają jakiegoś szału. Rzucają we mnie papierowymi kulkami, pomidorami, jajkami, krzyczą i wyzywają. Za co?

Czuję się strasznie samotny. Brakuje mi wolności, plaży, parku. Kiedy ostatni raz byłem w parku? Czytałem w jakiejś książce o Wolskim, że jemu też tego brakowało. Co z niego za Cesarz, skoro nie ma czasu na spacery, no chyba że po lesie, ale las jest spiskowy, bliżej mu do cmentarza niż parku. Las to praca, nie odpoczynek. Przyznaję więc, brakuje mi tego parku, pełnego wypoczywających spacerowiczów, uśmiechniętych, szczęśliwych, beztroskich, bezpiecznych ludzi. Tak, wiem, nie ma już takich parków, a może nie ma takich ludzi? Lepiej więc jeździć do lasu, jeśli chce się pooddychać naturą – radzą mi kierowcy oraz ochroniarze.

– Jak dawniej, Naczelniku, pamięta naczelnik? – zaproponował kiedyś nowy kierowca. Młody i głupi, ale judoka, jak mój najulubieńszy dawniej kierowca. Pewnie taki sam furiat, a dodatkowo najpewniej szpieg i agent, bo teraz na kierowcę innych nie dają. Dla kogo szpiegujesz?

– Nie z tobą – mruczę tak, żeby nie zrozumiał.

Z Kaziem mogłem jeździć, bo Kazio, choć miał wiele przywar – wręcz bywał nieznośny, za dużo pił, za wulgarny był, i za krnąbrny, i za wysoko głowę nosił – to Kazio był chłopak oddany i zaufany.

Nigdy na mnie nie doniósł. Nigdy nikomu nie powiedział o naszych leśnych spotkaniach, z kim się spotykałem, z kim spiskowałem, słodko szepcząc na skrytych w leśnych ostępach polanach Kampinosu.

Za oknem znów tłum, choć chyba nie jest dziesiąty. Patrzę przez szybę, stojąc w ciemności, więc mnie nie widzą. Świeczki tylko palą. Nie krzyczą.

Nie nucą. Stoją i czekają. Na co? Oni też są samotni, też im brakuje ojców, braci, synów, córek, sióstr, których… nie ma.

Tak jak nie ma moich przyjaciół.

Marcel, Grzegorz, Kazio, Adam, Henio, Toni, nawet ty, zdrajco. Gdzie jesteście?

Wtedy, czterdzieści lat temu Marcel odszedł z bólem, zostawił mnie w łapach Bolka i jego siepaczy, ale – jak wyznał potem – nigdy nie stracił z oczu, zawsze się modlił za swojego naczelnika i czekał na odpowiednią chwilę, by zrealizować plan. Bo wierzył, że owa chwila nadejdzie. Wierzył że obaj z bratem przejrzymy na oczy i zobaczymy właściwą drogę do władzy.

Jedyną słuszną.

Absolutną.

Rozdział 3

Mój nowy szef ochrony nazywa się Tomasz Lis i nie jest to żart. Tłumaczy się dość długo, bez wątpienia wiedząc, jaką niestosownością jest mieć takie imię i nazwisko. Zapewnia mnie zatem, że nie ma nic wspólnego z tamtym Tomaszem Lisem, sprzedajnym niemieckim pachołkiem, zdeklarowanym wrogiem Naczelnika, Boga, narodu, sukinkotem słusznie zresztą wielokrotnie upomnianym przez or-gana administracyjne odzyskanego niepodległego państwa, a następnie osądzonym i skazanym przez niezawisły, sprawiedliwy sąd.

– Tomaszów Lisów wtedy było wielu. Mnożyli się w internetach jak króliki. A to jednego porwali, innego oskarżyli o malwersacje finansowe, kolejnego o szpiegostwo. Sam osobiście jednego z nich broniłem przy pewnym nocnym klubie przed kamieniowaniem, bo tak się naraził chłopakom z Falangi głośnym reklamowaniem ukraińskich prostytutek i ich wyższością nad polskimi prostytutkami, krnąbrnymi, nieczułymi i nastawionymi głównie na szybki zarobek, że ci postanowili go przykładnie ukarać na modę wschodnią łamaną przez radykalną. Żaden z tych Tomaszów Lisów nie był jednak tak zły i godzien potępienia jak ten główny, najpopularniejszy – reasumuje.

Tomasz Lis nie wygląda na ochroniarza. Jest szczupły, pozbawiony twardych, wyrobionych mięśni i ma delikatne dłonie o długich palcach pianisty lub projektanta mody. Nie wierzę, że kiedykolwiek trzymał w nich broń. Podejrzewam więc jakiś spisek lub oszustwo. Jestem w tych sprawach wytrawnym graczem, nie dam się sprowokować i pokazać prawdziwej twarzy.

Cóż zatem masz mi do zaoferowania, Tomaszu Lisie?

Mówi, że przez parę dni Waldemara nie będzie, bo ma coś do załatwienia za granicą i prosił go o przekazanie tej wiadomości. Ja sobie ją – rzecz jasna – interpretuję po swojemu. Zastanawiam się, czy może jest szykowany jakiś kolejny zamach, o którym (żebym się nie przejmował) nie chcą mi powiedzieć i czy powinienem jakoś zareagować.

Stary już jestem. Może nadszedł mój czas. Może powinienem dołączyć do Grzegorza, oddać władzę następcom. Tyle spisków przetrwałem, tyle prowokacji, intryg, zamachów. Kiedyś musi w końcu nadejść kres. Nawet Fidel wiedział, kiedy ze sceny zejść.

– Proponuję, żebyśmy wykorzystali te parę dni na badania i odpoczynek.

Zgadzam się. Biorą mnie więc do lekarzy, do szpitala MSW na Wołoskiej, tego samego, który Marcel z Birkutem tak skutecznie oczyścili z korupcji, zwalniając lekarzy na trzy pokolenia do przodu, a potem zatrudniając swoich, którzy musieli się co prawda dużo nauczyć, ale koniec końców, po serii niezawinionych śmierci, doszli do mistrzostwa, bo jak wiadomo (słuchajcie trenerów mentalnych), każdy może dojść do mistrzostwa, nie jest to kwestia talentu czy predyspozycji, a jedynie ciężkiej pracy (no chyba że układu).

Opukują mnie, osłuchują, pobierają wydzieliny, oglądają i macają. I nigdy (jak ja tego nienawidzę), przenigdy nie powiedzą, czy coś mi jest, coś dolega, czy też jest po staremu, czyli źle, ale może być gorzej. Ciągle te niewzruszone spojrzenia, wystudiowane ruchy, bezduszne gesty i lekceważące moje pytania słowa.

– To guz? Groźny czy tylko zwyczajna narośl?

– Naczelnik się obróci.

– Tu boli! To niebezpieczne?

– Nabrać powietrza, przytrzymać.

– Kiedy nie mogę…

– Nabrać, przytrzymać. Ile może.

A potem przejeżdżamy ulice Warszawy, pozbawione krzykliwych reklam, kolorowych świateł, neonów, wyszukanych i kłamliwych witryn, szarą, jak z najlepszych wspomnień dzieciństwa i tak przymilnie zwyczajną, taką prawdziwie polską, prowincjonalnie spokojną, jak za dawnych dobrych lat, gdy jedyną rozrywką były msze w kościele, a na straganach można było kupić głównie polskie jabłka, a nie jakieś banany gmo.

Gdyby nie ja, co byście tu mieli? Kurewstwo, nocne kluby, ruje i całodobowe kebaby, oszustwo na oszustwie, modyfikowane warzywa, niepsujące się kiełbasy, chleb tygodniami świeży, masło niejełczejące, orzechy o smaku truskawek zamiast prawdziwych, kaszubskich.

Kobiety musiałyby chodzić w chustach na głowie, w kawiarniach byłoby więcej czarnych, żółtych i czerwonych niż białych i pewnie większość

w galabijach i innych burkach, a jakby pomiędzy nimi trafił się jakiś normalny to albo bankier albo Żyd, albo co gorsza dwa w jednym (najpewniej dwa w jednym).

Antysemita? Ja i antysemita? Nikt więcej nie zrobił dla walki z antysemityzmem w polityce niż ja. Nikt bardziej nie pomógł w pojednaniu. Nikt potem tego tak szybko… nie zepsuł.

Parady równości byście też mieli, kurwy nagie autobusami wożone, tęcze sztuczne zamiast prawdziwych, gwałcicieli oficjalnych i cichych, onanistów w tramwajach, gangi dziecięce na mocarzach, automaty z prezerwatywami o smaku malinowym i nieskromnej wielkości, długowłosych, brodatych obszczymurów na rogatkach, budy z burgerami i lemoniadami, różowe lamperie, wszędzie zepsucie byście mieli.

Taki kolorowy, paskudny świat.

Mkniemy ze szpitala przez Mokotów do Śródmieścia, w trzy rządowe limuzyny plus dwa radiowozy, wszystkie auta na sygnałach w kolumnie, głośno jedziemy, a wokół wszędzie szaro i cicho, spokojnie. Ludzie mają spokój.

Tomasz Lis nie pozwala mi niestety jechać jak dawniej, obok kierowcy, ale może to dobrze. W końcu on jest wrogiem, szpiegiem moich wrogów, nasłanym na mnie przez tych, którzy czają się za moimi plecami, czekając tylko na chwilę słabości. Nie darzę go zaufaniem. Czuję, że w każdej chwili może mnie zdradzić, wbić w plecy nóż, choćby tylko przysłowiowy. Pewnie dlatego odwdzięczam mu się, nie pozwalając na otwarcie okien czy włączenie automatycznej klimatyzacji.

– Przeziębię się – uzasadniam, a on wie, że to bzdura, ale zaciska zęby i akceptuje tę duchotę, poci się, twardy jest i honorowo męski, nie poprosi drugi raz.

Bazarek przy Wołoskiej za to żywy, jak dawniej. Zjeżdżają się handlarze warzywami, owocami, butami, papierosami z przemytu, spirytusem sowieckim, białoruskim, niemieckim. Ja się do nich uśmiecham i macham palcem niby grożąc, a oni wiedzą, że to taka groźba na niby, i też się śmieją. No bo co z tego, że nielegalne, jak to właśnie takie polskie.

Na rogu jest taki handlarz – Leon, sprzedaje skórzane wyroby, ale od czasu do czasu ma coś specjalnego, świeżo kradzionego, zaś w środy zawsze można u niego dostać polędwicę, taką prawdziwą, na krwisty befsztyk (smażyć tylko krótko, cienko pokrojone, na dużym ogniu, gorącej patelni, minuta z jednej, minuta z drugiej, jak krewetki, tyle że bez białego

wina i nie na maśle tylko na czymś bardziej konkretnym, na takiej polskiej słonince na ten przykład), ale dziś nie środa, więc siedzi tylko ze skórami i innym badziewiem, którego nikt nie chce.

Dalej Iwan, ruski, ale ruski w porządku. Jak trzeba to też Żyd, a po wódce to i do Araba pradziada się przyzna. Murzyn w sercu i z przyrodzenia. W dzieciństwie zaczytany w książkach o Indianach, duchem zatem Indianin. Z wyznania pół katolik, ćwierć muzułmanin, z zamiłowania buddysta i trochę też myśliciel. W chwilach zwątpienia agnostyk, ale do przekonania. Obywatel świata. Wnuk budowniczego Pałacu Kultury. Poliglota. Adres zameldowania: brak. Zamieszkały na Jelonkach, przy Czumy numer sześć. Dobry człowiek, żaden szpieg.

Pali teraz ukraińskiego fałszywego camela z Biedroniową, która ani w życiorysie nie ma się czym pochwalić, ani w głowie. Zwykła prosta kobieta, tyle że paląca. Pije mało, przynajmniej do obiadu, bo potem to wiadomo, trzeba pić, żeby mężowi za dużo mińskiego spirytusu lotniczego nie zostało w butelce, bo jak za dużo wypije, to mu się włącza chodzony i agresja, jeszcze mógłby dodatkowo zdechnąć, a to kłopot, bo jak wiadomo najwięcej kłopotów jest z pogrzebami i ślubami. Do tego politycznie potrafi zakląć, dziś zaś każde słowo w eter puszczone, zapisane zostanie i nie wiadomo kiedy się przeciw nam obróci. Kopnie taki w kalendarz, a Biedroniowa będzie się musiała tłumaczyć.

Ma wszystko ta Biedroniowa w sprzedaży, co chińskie, oprócz ajfonów. Zarzeka się, że tego jednego sprzedawać nie będzie.

– Co jak co, ale nie ajfonów! – podkreśla.

Bo ajfony nie tylko zakazane, ajfony to prawdziwe zło.

– Dlaczego? – zapytałem ją kiedyś (przed wyborami), a ona nachyliła mi się do ucha i powiedziała, że ten Jobel, czy jak mu tam, co to wymyślił, to wcielony diabeł i jeszcze na domiar złego buddysta z ojca Araba (co go wcale nie chciał) i ojczyma komunisty. On pragnął, żebyśmy mu dusze zaprzedali. Dzieciaki w te jego komórki wchodzą i jakby przepadły, nie ma ich, nie ma innego świata dla nich, a kabelki od ładowarek wysiadają szybciej niż nadąży się kupować, a bez kabelków to jak bez duszy. Wszystko na kabelku być musi.

Wołoska, bazarek, Leon, Ruski i Biedroniowa przypominają mi stare czasy, gdy jeździłem po całym kraju budować poparcie i lubiłem wtedy oglądać prowincjonalną Polskę, jak się zmienia, jak ryneczki kwitną

kwiatkami ozdobione, jak kamienice się remontują, rosną nowe domy, ładniejsze, parki zadbane, jak się zmieniamy na dobre.

Po co im te autostrady – myślałem wtedy (i myślę nadal), jak prawdziwą Polskę można obejrzeć tu, na tych podziurawionych dróżkach lokalnych, powiatowych, gminnych?

Autostrady to zbytek dla bogatych. Tylko żeby szybciej przez biedę przemknąć, po co takie autostrady?

Ani jednej reklamy po drodze, ani jednego otwartego supermarketu. Tylko rodzinne sklepiki, rodzinne firmy, rodzime produkty. Skupione na sobie, zdrowych towarach, dobrej żywności, a nie tych kolorowych świecidełkach.

– Pusto na tych półkach – szepcze Tomasz Lis, a może tylko mi się wydaje, że szepcze, bo czy odważyłby się na taką otwartą krytykę ten szpieg i zdrajca? Patrzę na niego z gromami w oczach i mam ochotę wykrzyknąć: POWTÓRZ! Ale nie krzyczę, bo może on ma trochę racji. Obrona rynku i wartości musi mieć koszty, wiąże się z koniecznością poniesienia ofiar. Bezpieczeństwo ma swoje dobre i złe strony. Ale przecież wy wolicie bezpieczeństwo, ono jest najważniejsze.

– Nie uważa Naczelnik, że zabrakło mu wizji?

Znów ten Lis i znów chyba tylko w mojej głowie.

No dobrze, może te szarości, puste półki nie są dobrem transformacji, może to nie jest dobra zmiana, ale lepszy taki kompromis niż wybuchy, meczety i zgraja islamistów na ulicach. Uchodźcy? Jacy to uchodźcy, jak z komórkami, ajfonami latają, w dżinsach i z wywieszonymi, sami wiecie czym, narzekając w telewizji, że nie jedzenia i wody, ale seksu im trzeba. I te propagandowe filmiki z Aleppo, jakbyśmy nie mieli swoich snów o zniszczonej Warszawie. My mamy swoją historię, wy trzymajcie swoją za morzem.

Pamiętam ten dzień, gdy zdecydowałem o całkowitym zamknięciu granic. I co? Sondaże poparcia, ot, kurwa, co! Prawie osiemdziesiąt procent za, margines przeciw, więcej takich bez zdania, bo ci bez zdania zawsze się znajdą, nawet jak wiedzą, że coś jest dla nich dobre, a nie złe. Że sondażownie i media już były tylko moje, przekupione, propagandowe? Dobrze, ale przecież prawdę podawali, bo wiem, co czytałem. Najpierw sondaże trafiały do sztabu i do mnie, a dopiero potem przerobione do mediów. I te były prawdziwe, nie trzeba było nic a nic kolorować, takie uczciwe. Osiemdziesiąt procent za mną. Dziewiętnaście nie ma zdania.

Przeciw: śladowy mały procencik. Takie klepnąłem do podania ciemnej masie (choć może było trzeba, jak u Baćki, troszku podkręcić dla opozycji, żeby nie skamlała). Właśnie takie.

Batorego, Bagatela, Szucha. W jednym z okien miga mi jakaś czerwona twarz faceta w żółtym sweterku i widzę w niej (choć prawdę mówiąc to niemożliwe) starego, dobrego przywódcę komunistów, na którego nasłałem kiedyś Birkuta i Marcela, a ci go niby przypadkiem „pomylili" ze znanym gangsterem i trochę poturbowali, a potem przeprosili z minami: „na żartach się nie znacie, drogi towarzyszu?" „Dziękujcie, że tak się skończyło, a nie jak z panią posłanką, co zamiast perfum w łazience trzymała pistolet z ostrą amunicją." A może wcale nie przeprosili?

Zmieniają trasę dla mnie, żebym zobaczył w łazienkach pomnik Grzegorza. Większy jest niż Statua Wolności, w kraju jedynie pomnik Chrystusa go przerasta, no ale większego niż Chrystus zrobić nie mogłem, bo co by Ojciec Tadeusz powiedział.

Nastawiałem mu za to w całym kraju trzysta pomników, ale ów jest najwspanialszy, jedyny w swoim rodzaju, większy i piękniejszy niż ten Chopina, który był tu wcześniej. Przyćmiewa także majaczący w oddali monolit na cześć Wła… a tego wam nie powiem, bo jeszcze bym tajemnicę państwową zdradził, a Marcel by się zezłościł, bo to jego wielka intryga.

Kierowca zwalnia, żebym mógł sam ocenić wielkość Grzegorza. Jest w porządku. Nic się nie zmieniło. Mój brat patrzy na mnie wzrokiem męża stanu, wizjonera, mistyka. Patrzy tak, aż powoli niknie za drzewami.

Ktoś mnie kiedyś zapytał, czy mi nie żal, że ja takich pomników mieć nie będę. Początkowo chciałem na niego naskoczyć, bo skąd on wie, że mi po śmierci nie postawią (przecież na pewno postawią, i to może jeszcze większe, nawet jeśli ku przestrodze, a nie dla chwały), ale potem odparłem dyplomatycznie:

– Wielkość mojego brata jest niezaprzeczalna i bezdyskusyjna.

Czuję woń drzew i krzewów ogrodu botanicznego, pachnie intensywnie i świeżo, tak ładnie pachnie, a nie jakimiś kebabami i chińszczyznami.

Ujazdowskie, Agrykola, Mauzoleum Przyjaźni, ważne muzeum, bo jak się buduje na nienawiści, trzeba gloryfikować i wynosić ponad chmury przyjaźń.

Nad głowami skrzy się błękitnym światłem Pomost Czterech Wiatrów, który łączy Mauzoleum z Sejmem. Dawniej przemierzałem tę drogę niemal codziennie, dziś jest już zamknięta, nie z mojej winy.

Oficjalnie: zasady bezpieczeństwa nie pozwalają, a tak naprawdę po co droga łącząca, skoro sejm nie działa.

Tomasz Lis zerka do tyłu, czy mnie zbyt nie wzrusza ten obraz. Kiwam mu głową z podziękowaniem.

Oj, jak brak mi Marcela, Grzegorza, Toniego.

Piękna, Pałac Rembielińskiego, tłumy, jak zawsze tłumy. Stoi kolejka po wizy do ambasady USA naprzeciwko. Pięćdziesiąt lat kolejek. Codziennie to samo. I nigdy nie przeminie. Zawsze tak będziecie stać, jakby ta Ameryka była taka wielka i ważna. Pies was, a zresztą…

– Szybciej – ponaglam.

Nie chcę patrzeć w oczy tym biednym ludziom, uciekinierom z własnego kraju, z których i tak większość obejdzie się smakiem. Nie dla psa kiełbasa, nie dla łachmyty i kloszarda wiza. Ameryka szanuje tylko bogatych, tylko z nimi gra. Biednych może uratować, może im dać dolary, ale tylko jeśli biedni będą usłużni, grzeczni i będą amerykańskie dolary na amerykańskie towary wymieniać. U siebie, nie za oceanem.

Dobra polityka ta amerykańska polityka. Bardzo dobra. Dużo mnie nauczyła.

Jeden taki z tłumu patrzy na mnie z miną zakapiora. Wyróżnić się chce, to ubrał się jak starożytny rycerz. Ma czerwoną pelerynę, metalowe naramienniki, w dłoniach tarczę i miecz, a na głowie hełm. Pewnie chce udokumentować, że jedzie na jakieś historyczne widowisko. Mam ochotę otworzyć szybę i zawołać żart średniowieczny, który mnie niezmiennie do dziś bawi:

– Co z ciebie za rycerz, jak nie umiesz gołą dupą jeża zabić.

Plac Trzech Krzyży poraniony, nieswój, modne kawiarenki pozamykano (gejowskie i kurewskie, to pozamykano, niech się nie czepiają), nie z mojej winy, ja chciałem je utrzymać, naprawdę chciałem, no ale Marcel, jak to Marcel, twardy był i nieustępliwy.

Zło do grzybni, spalić raz, wyrównać, spalić drugi raz i trzeci dla pewności…

Giełda. Nieczynna, spekulantów pogoniono. Po co w kraju dobrobytu, gdzie każdy dostaje, co chce i na co zasłuży, taka giełda złodziejska, zepsuta, bezprawna, oszukująca? Z giełdy to tylko samobójstwa są, złe praktyki, finansowe przekręty i inne malwersacje. Ależ Marcel się śmiał, jak nas te unijne kurwy chciały do pionu ustawić i zagroziły:

„Jak się nie opamiętacie, to wam kurek z kasą zakręcimy, giełdę zamkniemy…”

– No to zakręcajcie – odparł. – Sami sobie pieniądze wydrukujemy. Giełdę też sami zamkniemy. Wyrzucimy te wasze złe banki i inne korporacje, przemysł odbudujemy, ludziom pracy przywrócimy szacunek i będziemy chwalić i nagradzać ich dwieście procent normy na czerwonych sztandarach, a nie ukrywać w kalkulacjach Excela. Stop moralnej prostytucji! Stop wyzyskowi pracujących mas!

Dom Partii za to reaktywowany. Zwiedzają go ponoć częściej niż Muzeum Narodowe. Nie dziwota, skoro tam tyle eksponatów, tyle ciekawostek i duch starych, a jakby nowych czasów.

Na Moście Poniatowskiego coś dwa dni temu wybuchło. Pojawiły się plotki, że terrorysta się wysadził, ale przecież to niemożliwe. Nie przy tych zabezpieczeniach, więc pewnie chodzi o jakiś gaz albo złe zabezpieczenie transportu materiałów wybuchowych.

W nowej Polsce nie ma terroryzmu, nie ma meczetów, nie ma domów publicznych, nie ma bezdomności, nie ma prostytucji, nie ma złodziei, nie ma mafii. Nic nie ma.

– Tylko dziewic pod dostatkiem – śmieje się czasem Waldemar i mruga okiem: – Czekają na seks instruktora.

Pamięta, stary szubrawiec, te stare dobre czasy początków, gdy w małej kanciapie układaliśmy pierwsze partyjne spiski, pamięta ten pierwszy wyborczy sukces, jak się potem okazało zwycięstwo pyrrusowe, ale wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy. I pamięta mnie, młodego, szczęśliwego, roześmianego, lekko frywolnego, wpatrzonego w dziewczyny tańczące na stole. I tę moją śmieszną czapeczkę z pozłacanym napisem:

Seks instruktor. Pierwsza lekcja gratis.

Taki ze mnie instruktor, jak z Waldemara dziewica.

Zatrzymujemy się, żeby przepuścić transport wojska. Jadą godzinami. Ze wschodu na zachód, no bo teraz zachód groźniejszy niż wschód, a i kierunek przyjemniejszy, przynajmniej się nie oszukujemy, nie pozwolimy zdradzić jak dawniej.

– Coś wiadomo o tym… wybuchu?

Lis wzrusza ramionami. Mam wrażenie, że nie odpowie albo zadrwi trzynastozgłoskowcem, że to Lew Dawidowicz, bo przecież jak nie można

znaleźć winnego, to Lew zawsze się nada, ale on w końcu odwraca głowę i mówi:

– Wypadek. Śledztwo trwa.

Ile to śledztw trwa i trwa.

Nowy Świat jak dawniej piękny i oświetlony. I czysty też jak dawniej, wysprzątany, witryny sklepowe reprezentacyjne, upstrzone świecidełkami, błyszczkami, bursztynami, paciorkami, złoconymi różańcami 2.0, restauracje zapraszają zagranicznych turystów, bo to dla nich przygotowane i wysprzątane, żeby widzieli, że ta Polska bogata i dostatnia, wielka i dumna, wspaniała i gościnna, a nie jak przedstawiają na Zapadzie, smutna i szara. W sercach jest taka jasna i wielobarwna jak tu, ot co. W sercach. I tu możecie w nasze serca zajrzeć.

Tylko tu.

Ludzi mało, bo późno się nagle zrobiło i ciemno. Śpią, do pracy przecież chodzą, a to nie wakacyjna pora, to i niewielu. Turystów też brak. A studenci? Uczą się. Mają się uczyć. W akademikach pozamykani, w bibliotekach, w salach cichej nauki.

Przed Uniwersytetem mijamy patrol konnej policji. Tradycja wróciła, dobra tradycja. Policjanci powinni się wyróżniać, a najbardziej się wyróżniają na koniach.

Karowa i w końcu Pałac Namiestnika. Nalegali, bym go zajął, bym pogonił prezydenta figuranta, ale ja im odparłem: prezydent musi być dla narodu, a Naczelnik najlepiej jak będzie skromny, schowany w cieniu, w swojej biednej mysiej norze i stamtąd tym… sterujący.

Kolumna przyspiesza, zjeżdżamy w dół, pod Placem Zamkowym, salutujemy kolumnie Zygmunta, mkniemy Wisłostradą przy fontannach, potem w prawo, by skręcić w lewo, czarne wody Wisły żegnamy i zaraz jesteśmy na miejscu.

Mały, przytulny domek na rogu dwóch niepozornych ulic. W pobliżu sady, parki, wyszukane wille, a moja posesja taka skromna, zwyczajna.

A jednak nazwali ją Zamkiem.

* * *

Liwia łasi się i ociera o nogi z taką gwałtownością i tęsknotą, że muszę przystanąć i ją pogłaskać. Wygina się, pręży, pokazuje, w których miejscach

oczekuje pieszczot, przewraca na plecy i oddaje mi swój brzuch, ale tylko na chwilę.

Lis znika.

Znów jesteśmy sami, tylko ja i ona. Od kiedy mama odeszła, skazani w zasadzie na tę samotność, na smutne, ponure życie w czterech ścianach i na te piękne wspomnienia. Jest już późno. Badania zajęły cały dzień. Potem ta koszmarna droga, pełna znacznie mniej chętnie przywoływanych duchów przeszłości.

– Poczytamy?

Korytarz, drzwi do gabinetu, kuchnia, sypialnia. Liwia wchodzi pierwsza, ja za nią.

Zamek, moja samotnia, mój dom, moja warownia. Ogrodzona dziś wyższym murem, uzbrojona w dyżurki strażników, w dniach miesięcznic obstawiona przez policyjne kordony, pod ciągłą obserwacją aparatury pełnej kamer, sensorów, czujników, sygnalizatorów, ale wciąż taka sama, jak przed laty, spokojna, cicha, skromna kamienica.

Spokojniejsza nawet, bo w końcu udało mi się wyplenić zło – myślę, patrząc z okna na willę naprzeciwko, w której kiedyś mieścił się dom publiczny i nijak nie dało się go zlikwidować, aż do dnia, gdy musiałem naprawdę na poważnie zaostrzyć przepisy.

– Taki niby byłem wszechmocny. Tak mi zarzucano, żem apodyktyczny i sterujący jednoosobowo każdą służbą, a prostego burdelu nie mogłem się pozbyć.

Do czasu…

Dziś mieszka tam inny skromny człowiek, z którym machamy sobie ręką. Sądzę, że to on jest autorem większości zdjęć mojego domu, publikowanych ostatnio w mediach. Uważam, że dobrze dba o to, by oddać prawdziwie to, co się obecnie u mnie dzieje. Tak właśnie niepozornie i skromnie…

Dawniej w Internecie pełno było memów, które pokazywały wielkie, złocone, drogie pałace i wille ludzi władzy w zestawieniu z moją niewielką, przytulną posesją, o szarych ścianach i zwyczajnych białych oknach.

Komu bardziej ufasz? – pytały retorycznie.

To zawsze wpływało na wzrost poparcia. Ludzie darzyli mnie sympatią, bo byłem taki swój, ich. Sam brzydki, nieciekawy, generalnie dość

prymitywny, choć chwilami szarmancki, z przywarami, czasem może trochę głupi, bezczelny, wulgarny, mocno zaściankowy i złośliwy, pokrętny, dwulicowy, pokazujący od czasu do czasu prawdziwą, nienawistną twarz, która zawsze nad własny sukces będzie przedkładała, by to sąsiadowi się coś nie udało. Mieszkający w brzydkim, nieciekawym domu, nieznający języków, niezbyt mądry, zamknięty na nowości i inności, zapatrzony w siebie i tradycje, niezdolny do otwartego myślenia, konfrontowania się z poglądami przeciwników (po co, jak moja racja jest najmojsza), którzy zasilą liczną ligę wrogów.

Taki im pasowałem. Taki byłem im bliższy. Taki uczciwy, choć nieprawdziwy, pełen radosnej prostoty, pozbawiony odcieni, jednobarwny przekaz im odpowiadał.

Ale zdarzali się też złośliwi dranie, którzy pisali znacznie bardziej oszczercze kalumnie i komentarze.

– Jaki dom, taka wizja kraju!

Ten mnie chyba zabolał najbardziej.

* * *

Trach. Okulary stuknęły o blat. Musiałem przysnąć. Liwia nastroszona, też zła tym nagłym przebudzeniem. Dziwi mnie to, że zasnąłem, choć w moim wieku to się zwyczajnie zdarza, ale jeszcze bardziej jestem zaskoczony, że zasnąłem nad zdjęciem, a nie listem czy książką Vladimira.

Jej zdjęciem. Tym, na którym biegnie przez pola i nagle ktoś ją woła, a ona odwraca wzrok i wtedy następuje zwolnienie migawki, czy jak to się w tych aparatach nazywa. Jej twarz uwieczniona w jednym kadrze. Uśmiechnięta, niezwykła, cudowna.

Joanna.

Nie myśl o niej, nie myśl – szepcze coś w głowie. Lepiej pomyśl o tym, co się teraz stało, dlaczego zasnąłeś. Może to już koniec jest blisko, może trzeba pomyśleć o jakiejś formie spowiedzi, może zadbać o rozgrzeszenie.

Przecież spowiadam się Waldemarowi. A że częściej kłamię, cóż, tak lepiej. Rozgrzeszenie? I tak ostatnie słowo należy do Niego. Ludzie nie będą mnie rozgrzeszać, nie tacy ludzie, jak ci tam za oknem, czy ci, którzy przychodzą w ich imieniu, tych albo tamtych. Pogarda jest zła? Lepsza niż naiwność.

Ale o tych utratach przytomności muszę pomyśleć. Toni podobno miewał je dość często. Zryły mu banię (jak to przyznał kiedyś młodzieżowo) tak, że w chwili egzekucji krzyczał: „Za Naczelnika!” Gotów był umrzeć za mnie, uważał, że w ten sposób udowodni swoją niewinność i dozgonną wierność. Wiedział, że to ja tak naprawdę jestem jego katem, pociągam za sznurki, kieruję dłońmi oprawcy, a mimo to krzyczał.

Niech żyje Naczelnik!

– Jestem patriotą. Jeśli to pomoże w budowie wielkiej Polski pod berłem Naczelnika, umrę ze śpiewem na ustach – powiedział w ostatnim wywiadzie dla Gazety Narodowej, jedynego dziennika, który przetrwał ekonomiczną zapaść, dzięki czemu Polacy mogą mieć dziś informacje z pierwszej ręki, podane wiarygodnie i bezspornie, bez tego dawnego szumu informacyjnego rojącego się od tych „fejk newsów”.

Od kiedy zlikwidowaliśmy przeklętą wolność słowa (którą ja nazywam wolnością obrażania i znieważania) w internetach, od kiedy pozbawiliśmy tych drani anonimowości, wyłapaliśmy trolli i naciągaczy, nałożyliśmy drakońskie kary na prowokatorów i pieniaczy, nie ma już… fejk newsów, są same dobre wiadomości.

Miłosz, jak przystało na propagandystę, nagrał egzekucję Toniego dwudziestoma kamerami, z różnych kątów, odległości, perspektyw, obiektywami jakie tylko istnieją, z dronów, helikopterów, sterowców i przy użyciu wszelkich możliwych filtrów, w tym wodnych i uranowych. Zarzekał się, że zrobi z niej spektakl lepszy niż pojedynek Brada Pitta z onym drugim przybłędą pod murami Troi, ale kiedy już skręcił całość, zmontował i okrasił efektami specjalnymi i muzyką, mimo że nad całością czuwał ten genialny wyrzutek Roman (przekornie ułaskawiłem łobuziaka, choć to hedonista i zdrajca), to okazało się, że nie da się tego puścić.

– Zbyt wstrząsające – orzekli. – Jeśli nadamy to choćby anonimowo, będą cię na zachodzie porównywać do tych okrutnych, fanatycznych obcinaczy głów z ISIS, a oni, jak wiesz, są u nas od dziesięcioleci na topie.

Mnie się podobało. Toni zagrał życiową rolę. Wspaniale, entuzjastycznie, z przytupem i honorem zarazem. Zero łez, głowa uniesiona (do czasu) wysoko, czoło niewzruszenie odbijające promienie słoneczne, oczy szeroko otwarte, wpatrzone z mocą w dziki tłum. Głos pewny, dźwięczny, doniosły. Słowa porażające siłą i erudycją. Emocje buzowały jak na najlepszym melodramacie.

– Ludzie uznają, że rzeczywiście był oszołomem a nie żadnym ruskim szpionem – przekonywał Miłosz. – A co gorsza, to nas mogą uznać za szaleńców, a z niego zrobić ikonę, męczennika. Najgorsze, co może się stać, to zrobić z Bródki ofiarę systemu.

I tak Toni umarł na próżno.

Zero mediów, zero kadrów, zero nagrań.

Toni był, się zmył. Nie ma Toniego.

Zniknął. Gdzie teraz jesteś, draniu?

Stop. Koniec. Nie myśl o tym. To nie twoja wina. Nie ty go aresztowałeś, nie ty oskarżyłeś, nie ty skazałeś. Nie podpisałeś wyroku śmierci. Jest ktoś, kto wziął pełną odpowiedzialność i jest z tego dumny.

– Omdlenia i ataki epilepsji mogą mieć wiele przyczyn. Najczęściej jednak jest to wynik alkoholizmu lub narkomanii. Oczywiście bywają też choroby psychiczne uwarunkowane genetycznie…

Nie wiem, kto to mówi, ale mówi. Na pewno nie Liwia. Nie, ona nie może mówić. Kocham ją ponad wszystko, bardziej niż Joannę, ale nie chcę, by mówiła.

– Utrata świadomości charakteryzuje się tym, że chory jakby podróżuje do innego świata i w chwili powrotu jest absolutnie nieświadomy, że sekundę wcześniej był gdzieś zupełnie indziej, w innym miejscu, innym czasie. W ogóle był kimś innym. Może nawet był dyktatorem.

Stop. Kłamstwo. Wyrzuć to słowo. Nigdy nie byłem dyktatorem. Zawsze pracowałem dla ludzi, chciałem by było im lepiej, cokolwiek robiłem, robiłem dla świata. Mój jedyny cel to dobro Polski, dobro społeczeństwa. Ile mam udowadniać? Ile dobrego zrobiłem? To jest cel mojego życia. Zapisać się w historii jako twórca, reformator, modernizator. Dobrodziej, nie tyran. Nigdy nie byłem tyranem.

Szaro, ponuro, bez reklam. Jedna prawda, zero kłamstwa. Dwa kolory. Czerń i biel. Żadnych szarości. Żadnej różowości. Żadnej żółci. Żadnej tęczowej iluzji. Wszyscy kochają system. Wszyscy są niepodzieleni, wszyscy są… jednomyślni.

– Znane są ponadto przypadki budowania w umyśle chorego wielu alternatywnych osobowości, które potrafią ze sobą żyć jak sąsiedzi lub obcy sobie ludzie, nieświadomi swojego istnienia. W nieodgadniony sposób uaktywniają się, wypierając wcześniej funkcjonującą osobowość i postępując bardzo często wbrew jej intencjom, być może walcząc z nią świadomie lub nieświadomie…

Zero uchodźców, żadnej prostytucji, świat doskonały, dobro wspólne, nie ma przestępczości, nie ma bezdomności, każdy ma pracę, sądy skazują jak trzeba, tak jak chcą ludzie, a nie jak chce bezduszne prawo, tak jak chce Naczelnik, który wszak jest przedstawicielem ludu, gwarantem dobra suwerena. Nikt nie jest sam, dzieci rodzą się jak nigdy, Bóg zwycięża.

I tysiąc złotych na każde dziecko, a nie żadne pińćset. Tysiąc, na każde!

Szaro, ponuro, cicho wszędzie, ciemno wszędzie…

– Wielce zagadkowy, a zarazem pouczający jest przypadek kobiety, która po wypadku samochodowym zapadła w śpiączkę, a po przebudzeniu uważała się za zupełnie inną osobę. Była tak pewna, że jest kimś innym, że zbudowała sobie całą historię i osobowość tej innej postaci. Po latach uznano ten przypadek za oszustwo dokonane na potrzeby przeprowadzenia eksperymentu i przewodu naukowego. Lekarz został pozbawiony uprawnień i wydalony z zawodu. Związał się ze swoją rzekomą pacjentką, po czym wspólnie napisali książkę o podwójnych osobowościach, która została przetłumaczona na dziesiątki języków i stała się międzynarodowym bestsellerem.

A kysz, precz. Koniec tego, koniec.

Miau.

Miał kolację? Miau.

Liwia skacze na dół, odbiega, zastyga, patrzy z niepokojem.

To ja czy nie ja?

Swój czy obcy?

Wciąż jestem jej kochanym Naczelnikiem czy też właśnie miłość zmienia się w nienawiść?

Rozdział 4

Maciarz. Duży, ogromny wręcz, tłusty, spasiony. W drogim garniturze, drogich butach, z drogim zegarkiem na ręku, w okularach z kolorowymi oprawkami i rubasznym, kłamliwie przyjaznym uśmiechem jakby przyklejonym do twarzy. Jego prawdziwe imię: oszust.

Inny, modniejszy przydomek też na „o” : oligarcha.

Przyszedł na audiencję, płaszczy się jak suka w rui, obłudny krętacz, podstępnie udaje przyjaciela, grzecznego i wiernego sojusznika, skrywa głęboko za chromowanymi szkłami zdradę i spisek.

Taki…

Stop. Nie przeklinam, nie wulgaryzuję (won, mnie nie wypada), nie nienawidzę (szlag każdego może trafić). Miłość, to miłość mną kieruje. Miłość bliźniego jest najważniejsza.

– I jego kasa – Grzegorz uśmiecha się kąśliwie, dwuznacznie.

– I możliwości, jakie nam daje – dopowiada Marcel.

– Wszystko jest kwestią perspektywy – kończy Toni (żyje jeszcze, ma się dobrze).

Maciarz myśli, że nas roluje, że ma w garści, że właśnie uwiódł Grzegorza, a tak naprawdę podpisuje na siebie wyrok. Nie wie tego, skąd ma wiedzieć? W końcu myśli, że my jesteśmy tacy zwyczajni, że tylko na niby walczymy z układem, dawną nomenklaturą, ze służbami, tajnymi współpracownikami, agentami, dyspozycyjnością, grupami interesów, oligarchią, że hasła mamy tylko na sztandarach, nie zależy nam na Polsce i zmianach, na dobru plebsu (bo kto by się plebsem przejmował), na normalności, na szacunku. Uważa, że jesteśmy jak komuchy, jak Olek i Jurek i cała ta banda troglodytów, chcemy tylko swoje ochłapy, walizkę z dolarami, milionik tu, milionik tam, obraz jakiś w prezencie, willę w Kazimierzu, apartament na Wilanowie, worek z dolarami za więzienia si–aj–ej, działeczkę tu, działeczkę tam, chcemy się załapać, wziąć swoje, procent, kawałek tego tortu, co to on pożera od dwudziestu lat w ilościach

nieprzyzwoitych, w porcjach mdlących i prowokujących wymiony, ale skoro obżarstwo jest w modzie, nie ma wyjścia. No więc jak, sztama?

Pewnie że sztama.

W końcu Maciarz się dobrze stara, kamufluje, dba o pozory i co jak co, jest honorowy, uczciwy w układach, rzetelny w relacjach. Jak obieca milion, da z górką, jak się od niego zażąda dwudziestu, też da, byle druga strona się wywiązała. Nikt się na nim nie zawiódł, dlatego ma tylu przyjaciół, dlatego każdy waży słowa, gdy o nim mówi, ostrożny jest w sądach, wstrzemięźliwy w ocenach. Nikt nie nazywa Maciarza po imieniu. Nikt nie mówi: oszust, ani nawet oligarcha.

Pamiętam, że poznał mnie z nim ksiądz Kordecki, dobry kapłan, przyjaciel Ojca Wiesława. Szepnął jedno słówko, drugie, a potem drania przyprowadził. W akompaniamencie uśmieszków, pląsów, umizgów, ruchawek i innych godnych pożałowania wyrazów skorumpowanej sympatii, a może bardziej uzależnienia, które to na mnie działało jak… sami wiecie, jak.

Dużo o nim wcześniej słyszałem, że taki wpływowy, elokwentny, mądry, szarmancki, przebojowy, szczerze lubiany, sprawny organizator i naprawdę przedsiębiorczy biznesmen, nieco może rozrzutny i frywolny, ale przecież swój chłop, poza tym ceniony, bo potrafi cenić i siebie, i innych.

WSI? A kto dziś nie ma związków z WSI? Poza tym, czy to źle zatrudniać byłych oficerów, przecież oni wyszkoleni, najlepsi z najlepszych, przecież dla Polski walczyli, a że dla innej? Zostawić ich samopas to jeszcze bunt zorganizują albo zamachy? Lepiej zatrudnić i trzymać na smyczy, a przy okazji ze znajomości się skorzysta…

Przyszedł taki wyciszony, usłużny, grzeczny, poddańczy i chyba tym mnie ujął. Zna swoje miejsce. Pomyślałem, że mogę się z nim zaprzyjaźnić i jak tak będzie dalej dobrze się sprawiał, to może mu stare komusze winy darujemy, może kumpelstwo z Bolkiem też, sztamę z Olkiem i Jurkiem, wagony przekupionych urzędników, wysypiska systemowych odchodów, szamba pełne niegodziwości, świadomych i przypadkowych, może przekręty i łapówki również.

Może.

Greg wymyślił, że zrobimy to przez prawników, tak będzie najbezpieczniej, gdyby coś nie poszło, się nie udało. Będzie można zrzucić na innych. Prawnicy to specjalna sekta ludzi, wyrachowana w swoim surowym cynizmie, perfekcyjna do bólu przy negocjacjach z diabłem,

w ostateczności zawsze zadbają o dobro klienta, wezmą porażkę na klatę, przecież mogą przestać być prokuratorami, adwokatami, sędziami i stać się zwykłymi poczciwymi radcami, adiunktami, mizantropami. Zawsze jest droga ucieczki od katowskiego topora.

Prawnicy to zło (zapisz sobie). Zło w czystej postaci.

Niesamowite, że Maciarz nie wyczuł podstępu, myślał, że mu się naprawdę uda. Że jesteśmy jego. Zero psychologicznego rozpracowania. I to ma być agent, specjalista, wywiadowca? W sumie miał prawo dać się oszukać, ale mimo to uważam, że poszło za łatwo. Zapewne dzięki córce Grzegorza, mojej słodkiej bratanicy.

Och, Liwio ty jedyna, nieskromna…

Nawet taki drań jak Maciarz nie mógł sobie wyobrazić, że jesteśmy skłonni zaryzykować córkę (bratanicę), jej karierę i rodzinę w wojnie o władzę, bo przecież osobiście nic do niego nie mieliśmy, więc nie chodziło o starcie z nim personalnie.

Władza to straszna rzecz.

Liwia też tak uważa. Po tej akcji z Maciarzem przestała się do mnie odzywać, uznała, że zdradziłem własnego brata, choć przecież Greg mnie bronił, mówił, że nic nie wiedziałem, że to robota Marcela i (trochę) Birkuta, że to wina tych niezłomnych drapieżców, a ja nic nie mogłem poradzić. Z radykałami jak Birkut i Marcel nic nie można poradzić. On przecież próbował ratować, a że nie wyszło, to ja też musiałem się dostosować.

Ale ona wiedziała, że to kłamstwa. Patrzyłem jej w oczy i widziałem, że wie. Pewnie, gdyby nie to, co się zdarzyło później, nigdy by się już do mnie nie odezwała, ale po śmierci Grzegorza winy zostały darowane.

Nastąpiło nowe otwarcie, zresztą i ona go potrzebowała, bo swoje miała na sumieniu, oj miała.

Dziś zaprasza mnie do swojego domu w odwiedziny, namawia, bym przyjechał i pobawił się z jej dziećmi. Ma dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Lubię chłopca trochę bardziej (choć jego ojca – prawdziwego czy nie – nie znoszę), więc więcej miłości i względów okazuję dziewczynce, jakby w ten sposób starając się to zrównoważyć, oszukać samego siebie.

Strategia być może skuteczna, bo dzieciaki zdają się nie rozumieć moich intencji. Chłopiec jest bardzo bystry, sądzę, że kiedyś pójdzie w ślady ojca,

człowieka interesu, dla którego wszystko jest interesem (ślub i dzieci także).

Dziewczynka prawdopodobnie zostanie artystką lub naukowcem. Jest wyciszona, zamknięta w sobie, wysublimowana, cicha, myśląca. Widzę ją w roli słynnej malarki lub poetki, ma też ładny głos, więc może będzie piosenkarką, wówczas może zaśpiewa na moim pogrzebie Ave Maria, bo chciałbym, żeby właśnie ta niezwykła pieśń mi towarzyszyła w ostatniej drodze, tak jak innym zwykle towarzyszy na ślubach.

Jeśli zdecyduje się na karierę pisarską, wiele bym dał, by to ona napisała coś po mojej śmierci, choć pewnie byłoby to coś mało dla mnie przychylnego. Ona najpewniej jednak będzie pisać poezję albo powieści, będzie pisać o nieistniejących światach, chcąc jak najdalej uciec od tego realnego, stworzonego w dużej mierze przez lub z udziałem stryja potwora.

Patrząc na tę rodzinę myślę, że gdybym nie poświęcił się Polsce, też mógłbym tak żyć (rodzinnie), albo się zmienić pod konkretne refleksje. Z Joanną albo inną kobietą. Czy jednak naprawdę tego bym chciał? Skoro nie ma powrotu do tych starych, wspaniałych czasów, gdy wieczory spędzało się na intelektualnych rozgrywkach w gronie ludzi prawych i wspaniałomyślnych? Gdy ziemiańskie dworki moich wujów i dziadów pełne były finezyjnych ripost, oratorskich parad, erudycyjnych wolt śmietanki towarzyskiej dbającej nie tylko o wykształcenie swoich pociech, ale wychowującej je w katolickiej tradycji i moralności, dających podstawę do nadziei, że przyszłość będzie coś warta, a nie taka…

Niektórzy uważają, że narzekam na swoją samotność, że ona mi doskwiera, a tak naprawdę jest to zwykłe stwierdzenie faktu. Lubię być sam (w tym świecie bez zasad). Lubię moje życie takim, jakie jest. A że Grzegorz wolał inaczej? To dobrze, mogę tłumaczyć, że on spełnił nasz rodzinny obowiązek wobec społeczeństwa. Dał mu rodzinę, przedłużenie gatunku, dał mu kolejne komórki. Ja mam obowiązki wobec narodu i historii.

Każdy niech robi swoje.

Liwia! Łapię ją często na tym, jak mi się przygląda badawczo, raz z miłością, innym razem z nienawiścią.

Grzegorz nadał jej imię kota (chichot). Dobra, ona była pierwsza, więc może ja nazwałem kota jej imieniem.

Córka Grega, moja chrześnica. Ładna była od zawsze, od urodzenia. Grzegorz cieszył się jak dziecko, gdy przyszła na świat. „Moja córeczka,

wspaniała córeczka” – wołał, chwalił się, zdjęcia pokazywał, a ja patrzyłem i myślałem o tym, o czym on nie chciał myśleć.

„Diablica z niej wyrośnie” – rodziło się już w mojej chorej głowie. Wstyd ci zrobi, tyle wstydu, że nie wystarczy farby do zamalowania. Pewnie byłem zazdrosny, przepełniała mnie zawiść i stąd ten krytycyzm, ale trudno ponownie odmówić mi wizjonerskiego zmysłu.

„Tyle ci wstydu zrobi, że nie będziesz mógł ścierpieć, przestaniesz oglądać telewizję, czytać gazety, tak się będziesz wstydził” – napisałem kiedyś w pamiętniku, a potem te zapiski spaliłem, żeby nikt nie pokazał Grzegorzowi, żeby nigdy nie wyszły, żeby po mojej śmierci nie odnalazły się w żadnych wdowich szafach, także jeśli wdów nie będzie.

Nie wiedziałem, nie mogłem przecież wiedzieć, co z niej za ziółko, a jednak coś mi mówiło, że właśnie tak będzie. Mogłem oczywiście się mylić, może się pomyliłem. Może chciałem się mylić.

– Nie pozwól, by nienawiść tobą zawładnęła. Nie pozwól, by te myśli zepchnęły cię z drogi. Nie pozwól… – Ojciec Tadeusz bardzo mi pomógł zrozumieć. Owszem, świat jest pełen zła. Świat jest złem. Nie możemy go akceptować, ale nie możemy odrzucać efektów działania zła. To jak z aborcją. Większość dzieci jest wynikiem działania w świecie zła, ale to nie znaczy, że ich usunięcie zniszczy zło. Wręcz przeciwnie, będzie ostatecznym świadectwem jego wygranej.

– Zło dobrem zwyciężaj…

– Właśnie. Twoja bratanica uległa złu, ale wciąż jest dobrem. Okaż jej serce, zrozumienie, miłość, a wróci, tak jak wróciła twoja miłość do brata…

Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę.

Wróć. Wykreśl. Wróć.

Liwia. Liwię kocham. Kocham Polskę. Ludzi kocham. Chcę dobrze.

Marcel długo analizował tego Maciarza. Bardzo długo się zastanawiał, jak to rozegrać, aż w końcu mu się ułożyło i przedstawił plan. Tak spektakularny, wielki, oszałamiający, genialny.

Jakie to proste – myślałem wtedy. Dzięki błędom komuchów wykluczyliśmy Wolaka. Teraz jebniemy frontalnie Maciarza. Potem przyjdzie pora na ostatniego – Wolskiego. Na Cesarza.

I zostanie tylko jedno imperium.

* * *

Myślałem, że to Waldemar, więc trochę się zawiodłem, gdy w progu stanął Piotr Pietrowicz. Nie mam nic do niego, uważam wręcz, że mamy ze sobą wiele wspólnego, na pewno dzielimy część upodobań.

Pietrowicz też uwielbia Vladimira. Jest ponadto fanem Dostojewskiego, Erasta Fandorina, Marii Czubaszek i Wolfa (nie bardzo wiem, którego). Spędziliśmy już wystarczająco dużo czasu na rozmowach o literaturze, filozofii i religii, by nabrać do siebie chłodnego szacunku i sympatii.

Mówi dużo, czasem wpada w słowotok. Jest człowiekiem apodyktycznym, wielce pewnym siebie, również wobec mnie nie ma skrupułów. Dobrze go rozumiem. To młodość idzie, a młodość ma pęd do władzy, zaznaczenia własnej osobowości, pokazania, że teraz to jego czas. Kto jak kto, ale ja powinienem wiedzieć o tym najlepiej. W końcu moja bezczelność w młodości obrosła legendą przez to, jak potraktowałem kiedyś tego niby ważnego, wiecznie rozbawionego żula z Roztocza.

Wypowiada krótkie zdania, jak rozkazy. Stara się odzywać stosunkowo grzecznie, jednak zarazem dobitnie, stanowczo. Uważa, że jego zawód, rola i pozycja to usprawiedliwiają, wręcz determinują.

Prokurator powinien być odporny na wszelkie naciski (sprawiać takie wrażenie, udawać jeśli trzeba, a najlepiej udawać szczerze). Jeśli Naczelnik zechce go puknąć, odsunąć od sprawy, znienawidzić, trudno, ale on i tak będzie robił, co do niego należy.

Ma zbadać to, co ma do zbadania.

Wiele ma do zbadania.

– Jak minęła noc, panie Naczelniku?

– Dobrze, Pietia – mówię, a on nie widzi w tym żadnej złośliwości czy prowokacji. W końcu Piotr to Pietia, albo odwrotnie.

– Pamięta pan na czym skończyliśmy ostatnio?

– Nie – mówię zgodnie z prawdą. Gdybym tak pamiętał każdą rozmowę z nim i z Waldemarem, te wspomnienia i mieszanie czasów…. chciałbym, lecz to niemożliwe. W końcu to on jest tu od zapamiętywania. Bo też i pamięta, ale dobrze ściemnia, w określonym celu.

Ten cel to moje rozmiękczenie, oszukanie mnie, uśpienie podejrzliwości i rozsądku.

W międzyczasie rozkłada na biurku przede mną akta spraw, swoje notatki, w końcu wyjmuje małe czarne pudełeczko z diodami. Krzywię się na tę nowoczesność. Wolałbym normalne urządzenia, a nie jakiś Zinoview.

Ta mała czarna skrzyneczka nie tylko rejestruje dźwięk i obraz, ale też jest w stanie odtworzyć przestrzeń, czas, inne okoliczności zdarzenia w sposób trójwymiarowy. Dzięki temu nagranie zostanie zaprezentowane w sądzie tak, jakbym tam był. Przemówi mój hologram, ale ludzie nie będą mieli wątpliwości, że to ja wypowiadam słowa i przekazuję świadectwo. Ja sobie jednak myślę, że jeśli rzeczywistość można tak dokładnie nagrać i odzwierciedlić, to za chwilę będzie ją można równie doskonale podrobić.

– Gotowy?

Gotowy? Musicie wiedzieć, że nie lubię prokuratorów. W większości zawsze są usłużni i bardzo skrupulatni w dążeniu do własnych celów, rzadko ponad nie przedkładając interes państwa czy sprawiedliwość. Ich legendarna dyspozycyjność wobec władzy nie jest przesadzonym mitem.

O sprawiedliwości, zdaje się, wiedzą mniej niż sędziowie, a przecież to dopiero była plaga. Jeśli zachowywali w stosunku do władzy właściwą postawę, nigdy nie można było tak naprawdę na nich polegać, bo zawsze najważniejszą zasadą było chronienie własnego tyłka (w tej trosce nie mieli równych).

To przez ich niekompetencję, nieuctwo i lenistwo przegrałem jakże znaczącą dla życia mojego i Grzegorza debatę z tym przeklętym, niepoważnym piłkarzykiem, zdziecinniałym wypierdkiem mamuta, którego nazwisko w jego ojczystym języku (przecież nie polskim) oznaczało Psa. Tak też go sam nazywałem: Pies. Albo Sabaka.

Gdyby wówczas prokuratorzy wypełnili swoje zadanie, opublikowali filmy, na których uwieczniliśmy jak podwładni i wspólnicy Sabaki biorą w łapę, debata byłaby wygrana. Ale oni musieli się spóźnić. Jak zwykle coś w trybikach maszyny się sknociło, złamało, nie zgrało. Zapewne celowo, choć na torturach zarzekali się, że to przypadek.

Trach.

Kamery, światła, krzyki.

Znów tam jestem, lata temu. Przywożą mnie rządową limuzyną, pod główne drzwi, z obstawą. W końcu jestem aktualnym szefem rządu i nikt jeszcze nie wie, że stracę władzę, że zostanę pokonany, i to przez kogo, przez zwykłego Psa.

Sondaże są przecież dla nas korzystne, fakty są korzystne. Oczywiście, gdyby wybory były pół roku wcześniej, jak to spiskowo zaplanowaliśmy, sukces byłby pewny, wynik jednoznaczny, debaty nie byłyby potrzebne. Ale słusznie mnie przecież ostrzeżono, że wtedy wygrałby Szpieg, mój

przydupas, niby wierny, a już spiskujący drań (przejrzałem go). Ostrzeżono więc, straciliśmy szansę, spore poparcie, ale wciąż możemy je odzyskać. Wciąż mamy większość atutów w rękach i dobrze schowane dżokery. Nic nie może tego zepsuć. Poza mną.

Coś jest w przeznaczeniu takiego, że przeczuwamy porażkę. Bokserzy (jakże ja lubię boks) tak mają. Podobno wielu z nich po wielkich porażkach twierdziło, że na długo wcześniej przeczuwali klęskę. Blokowali się przez to, nie mogli normalnie trenować, przed samą walką dochodziło do kumulacji niekorzystnych czynników, wstawali niewyspani, łapali kontuzje, które ukrywali, gdyż byli przekonani, że i tak sobie poradzą. Lekceważyli przeciwnika, bo przecież oni byli najwięksi, oni nie mogli przegrać z takim leszczem…

Ileż było pomiędzy nami podobieństw.

Tego dnia słabo spałem, wstałem o czwartej, zakatarzony, na granicy zapalenia płuc i czułem to. Wiedziałem, że choruję nie z powodu bakterii tylko jakiegoś wyroku przeznaczenia, że to znak od Boga: „synu, dziś przegrasz”, ale jednocześnie chyba miałem świadomość, że Bóg dopowiada: „przegrasz, żeby potem wygrać”. Bo przecież nieważne, ile razy upadamy, tylko jak się podnosimy.

Tak więc wiozą mnie, takiego przemęczonego, niewyspanego, chorego, na granicy zapalenia płuc, a ja nie oponuję, udając niezbyt szczerze i skutecznie pewność siebie i przeczuwając porażkę, która przyjść musi, żeby mnie wzmocnić.

Tłum przed drzwiami. Tłum skanduje:

NACZELNIK! NACZELNIK! NACZELNIK!

Unoszę dłoń i pozdrawiam.

– Rozlicz ich! Rozlicz! Zamknij! Wybij! Zabij! Krwi!

Panie Premierze, jesteśmy z panem – krzyczy mi w ucho jakaś kobieta. Ściskam jej dłoń, całuję. Zawsze całuję kobiety w dłonie i nie ma w tym żadnej propagandy, choć moje zwyczaje często są dla niej wykorzystywane. Miłosz nakazał potajemnie przede mną zgrać parę ujęć z kamer monitoringu partii i zmontował z nich internetowy przeciek, który ocieplał mój wizerunek. Na ekranie całowałem w rękę sprzątaczkę.

Ten filmik puściły wszystkie telewizje, podpuszczone przez Miłosza programy satyryczne drwiły ze mnie, darły łacha, jak to mówi dziś młodzież, naśmiewały się nabijając balon, a mój strateg jeszcze to podsycał udanie grzmiąc i protestując, twierdząc, że taśmy zostały skradzione,

oburzając się, że tak są wykorzystywane i zauważając, że to dowód na inwigilację służb i działanie układu, a tak naprawdę szykując druzgocący kontratak.

I tak – niby zupełnie przypadkiem – puścił w jednej z gazet reportaż nawiązujący do tego filmiku z innymi moimi zdjęciami i relacjami kobiet, jaki to jestem szarmancki, jak je dobrze traktuję, jak elegancko i równo podchodzę także do najbiedniejszych i najmniej znaczących.

– Prezes zawsze z kwiatami. Zawsze pomaga. Zawsze grzeczny. Zawsze spolegliwy. Zawsze po stronie kobiet. I nie ma różnicy: biedna czy hrabianka.

Człowiek wielkiego serca.

– Jak ktoś nie ma pieniędzy, pomoże, czasem naiwnie da się oszukać, nigdy się nie chwali, nie pozwala propagandowo wykorzystywać wielkiego serca, a wiecie, że koty i psy w Warszawie to za jego pieniądze są dokarmiane?

Poparcie skoczyło jak nigdy.

Ale tamtego dnia nie mogłem na to liczyć, musiałem liczyć na siebie i na prokuraturę. A ona zawiodła. Ty, Pietia, zawiodłeś!

– Zaczynajmy – potwierdzam.

– Niech pan powie, drogi panie… – chrząka, gdy musi wymówić moje nazwisko, jakby było zakazane, a ja sobie myślę, że może kiedyś właśnie tak się stanie. Zdejmą je wtedy z ulic, rond, alei, skwerów, parków, szkół, zdejmą te setki tysięcy tablic i powiedzą: już nie wolno wymieniać nazwiska naczelnika, już jest zakazane, jak tych komunistycznych kacyków. Czasy się zmieniły, inni szatani będą tu czynni. –… kiedy uznał pan, że należy całkowicie przejąć władzę sądowniczą?

* * *

Prawdę mówiąc, zawsze uważałem, że najważniejsze są media. Sądy? One działały wolno, mieliły w tych swoich trybikach praworządności, źle mieliły, mało sprawiedliwie, powolnie, ospale, czasem tragicznie czy wręcz groteskowo, ale były trochę obok.

Trzecia władza? To czwarta wyszła na prowadzenie, ona się liczyła najbardziej. Ona wydawała wyroki od razu, z dnia na dzień, brała strony sporu przed kamerę, redaktor–prokurator zadawał pytanie, a ława przysięgłych, najbardziej reprezentacyjna z ław, liczona w milionach

wpatrzonych w szklany ekran widzów, wydawała wyrok. Wystarczyło dobrze redaktora–prokuratora nastroić, odpowiednio przyciąć i podkręcić narrację, a ława przysięgłych była powolna jak nastolatki pod wpływem flunitrazepamu. Dziś to ona rządzi politykami, sejmami, ustawami i sądami.

Zadziwiająco łatwo i bez żadnych protestów wzięliśmy główne media. W końcu to było już dość przyjęte. Każda nowa władza przychodziła i brała. A pozostałe media kłamały od zawsze, ludzie przestali im wierzyć, więc tym łatwiej poszło.

Ale chyba byli zaskoczeni, jak bezkompromisowo uderzyliśmy. Z jaką otwartością, determinacją i pewnością siebie. No i z jaką bezczelnością i zupełnym brakiem skrupułów. Rok i było po mediach publicznych. Trzy lata i wyprostowaliśmy kłamliwe gazety „opozycyjne”, po pięciu wzięliśmy się za internet.

A mówili, że się nie da… (chichot)

Że sieć jest wolna… (rozkoszny chichot)

Że kto podniesie rękę na blogerów, ten sam zawiesi sobie stryczek (szczery śmiech).

I co teraz powiecie wy, którym wystarczyło zajrzeć do kieszeni, zagrozić odpowiednimi sankcjami, dać służbom właściwe narzędzia do egzekwowania prawa.

Twarde prawo, ale prawo!

I tak kłamstwo stało się zaletą, intryga przyprawą, prowokacja smaczkiem, szyderstwo puentą.

Na żywym organizmie udowodniliśmy, jak można błyskawicznie stworzyć propagandę totalną.

No i jak z tym tak łatwo poszło, to dlaczego nie mieliśmy spróbować z sądami?

* * *

Pamiętam, że lato tamtego roku zapowiadano wyjątkowo upalnie, jak zresztą kolejne nadchodzące. Dlatego Birkut uważał, że będzie to najlepszy moment na przeprowadzenie zmian. Atak miał być nagły, zaskakujący, frontalny. Blitzkrieg. Tylko taka strategia jest skuteczna na współczesnym, technologicznie urozmaiconym i cyfrowo oplecionym sieciami zależności polu walki.

Gdy pierwszy raz zaprezentował mi trzy ustawy, które umożliwiały nam w zasadzie przejęcie całkowitej kontroli nad sądami na każdym szczeblu, prężył się dumny jak paw, sam pod wrażeniem własnego geniuszu. Oto ja, przyszły władca, twój następca omijam sprawnym fortelem konstytucyjne zabezpieczenia, Naczelniku, daję świadectwo swojego oddania i umiejętności, pokazuję, jak wiele się od ciebie nauczyłem.

Spójrz, jak pięknie wykorzystałem oddany pod moje władanie inwentarz, jak zaprzęgłem do wozu propagandy sądowe afery, prawnicze dywagacje, radcowskie nieścisłości, profesorskie wybiegi i płatne protekcje. Jak wszedłem do stajni Augiasza, odbezpieczyłem granat i – niczym pamiętny Jasio Himilsbach – zakrzyknąłem:

– A teraz, kto inteligentny, wypierdalać!

Tylko pomyśl, co nam to da, gdy się uda. Jaką władzę zdobędziemy. Jak dosłownie zmiażdżymy przeciwników i ich opór, bo potem zrozumieją, że nic już nie jest proste, że nie ma żadnej szansy w walce z nami. Jak za dawnych lat. Nieposłuszni będą musieli zejść do podziemi (nimi zajmiemy się później). Mądrzy przypełzną na kolanach (tych będzie wielu), poproszą o ochłapy (usłużnie), o jałmużnę, o odrobinę tej konfitury, której my będziemy mieli już pod dostatkiem, na zawsze.

Będą się ślinić i płaszczyć, a ty przecież to lubisz najbardziej.

Może nie oczekiwał podziwu, znał mnie przecież, wiedział, że nie jestem zbyt wylewny, szczególnie w stosunku do niego i jego dość chorobliwej ambicji. Ale takiej reakcji chyba się nie spodziewał. I takich słów.

– Pan zwariował, Birkut – syknąłem.

W gabinecie byliśmy we trzech. Ja, Birkut i Marcel, wyciszony, trochę wycofany i małomówny, udający, że dopiero dziś dowiaduje się o szczegółach planu Birkuta, fingujący udanie (jak zawsze), a ja jestem pewien, że jego wiewiórki dawno mu całą zawartość głowy Birkuta przeskanowały, może dlatego miał dla mnie przygotowaną przemyślaną strategię.

Birkut przytył trochę od czasu, gdy ostatnio go widziałem. Ktoś mi powiedział, że niedawno wziął ślub z aktorką, podobno bardzo urodziwą i seksowną. Pomyślałem, że ta aktorka musi gotować lepiej niż sprawiać się w sprawach intymnych skoro tak utył, bo większość znanych mi mężczyzn zaraz po ślubie chudnie, a tyje dopiero po roku czy dwóch, całkowicie się zapominając i zaniedbując po pierwszym dziecku. Ale może to niewłaściwe spostrzeżenie.

Birkut wyglądał trochę jak Leonardo DiCaprio. Był niewysoki, filigranowy, miał twarz dziecka, wesołe oczka i lśniące usta, jego twarz była nieco pucołowata, bardzo blada, przez co, gdy w chwilach podekscytowania i zdenerwowania się rumieniła, stawała się dla każdego, także mało uważnego obserwatora, strasznie czytelna.

Marcel pogardzał nim z tego powodu. Uważał, że Birkut jest zbyt oczywisty, jednoznaczny, prostolinijny, zupełnie niemetaforyczny i łatwo go przejrzeć, a zatem rozpracować, sprowokować, doprowadzić do zachowań oczekiwanych przez prowokatorów.

Strasznie szybko, jak to dziecko, dawał się wyprowadzić z równowagi i wtedy był nie do powstrzymania. Wszelkie strategie traciły na znaczeniu, bo ważne było jego ego. Ego większe niż słoń i o takiej gracji.

– Nie pozwolą panu tego przeprowadzić – dodałem nieco łagodniejszym tonem. – Nawet jeśli uda się nam przepchnąć ustawy w sejmie i senacie, opozycja wyprowadzi ludzi na ulice.

Pierwszy rumieniec, jeszcze wstrzemięźliwy. Ale wiedziałem już, że gdy stąd wyjdzie, jego twarz będzie przypominać soczystego arbuza.

– Opozycja jest słaba. Protesty nie będą liczne. W grudniu przed świętami też…

– Wtedy chodziło o drobiazgi. Daje pan tymi ustawami im broń do ręki. Jeśli ją wykorzystają, możemy mieć duży problem, by się z tego wycofać.

– Nie zamierzam się wycofywać.

Pewnie, że nie zamierzasz.

– Prezydent będzie miał wątpliwości…

– Prezydent jest nasz.

– Znów pójdą do Unii.

– Będzie już za późno, by coś zmienić. Unia zresztą jest słaba, podzielona, na skraju upadku. Boi się, że każdy następny odszczepieniec ją od środka rozniesie, doprowadzi do upadku jej struktur i całego tego wielkiego planu pięknej, zjednoczonej Europy, utopijnego, z gruntu złego, bo antychrześcijańskiego, lewackiego, beznadziejnie korporacyjnego. Unią więc przejmować się nie trzeba, skupmy się na naszym podwórku.

– Obyśmy na nim sami nie zostali – mruknąłem nie dopowiadając tego, co naprawdę mi zaprzątało myśli: zachód czy wschód, coś trzeba wybrać. Bo utopią jest, że wybierać nie trzeba. Byli już tacy w historii, co chcieli balansować pomiędzy wschodem i zachodem, no i jak się to skończyło?

Z drugiej strony, gdyby tak zaryzykować, gdyby mi się udało, jakże to by się zapisało wspaniale w historii. Oto jest Naczelnik, któremu się udało.

– Proszę zobaczyć, Naczelniku, jakie te ustawy dają nam możliwości. Nasi sędziowie, nasz KRS, nasz Sąd Najwyższy, nasz Trybunał. Każdy potencjalny przeciwnik będzie się musiał dobrze zastanowić, czy wystąpić przeciwko nam, zdając sobie sprawę, że media też są nasze.

– Nie wszystkie.

– Za pozostałe weźmiemy się po wakacjach. Nałożymy im kaganiec, a potem po kolei wykończymy ich własną bronią. Manipulacją.

– Sędziowie nie są głupi.

– Szybko się zatem zorientują, kto tu jest silniejszy, z kim warto grać do jednej bramki. Zrozumieją, że mają do czynienia z bezwzględnym przeciwnikiem, który nie pozwoli na opór. Albo będą z nami, albo pozostanie im tylko droga do drzwi. To my zdecydujemy kto zostanie, kto będzie dalej wybierał, kto dostanie awans. Kto nie z nami, ten…

Przekonywał jeszcze długo, coraz bardziej rozpalony, czerwony, rozdrażniony, a w końcu mimo tych potwornych pąsowych rumieńców, zadowolony. Wiedział, że się w końcu zgodzimy. Wyczuł moją słabość, bo dobrze ją odegrałem.

Sądy, nasze sądy – mówiło moje kłamliwe spojrzenie. Pewnie że dobrze mieć swoje sądy. Dobrze jest nimi sterować, bo wtedy działają jak chcemy, nie przeszkadzają, a ponieważ my chcemy dobra ludu, to lud też będzie zadowolony.

A te nieliczne przypadki, gdy nie będzie… To margines. Na nie znajdziemy sposób.

Wyszli potem, z Marcelem, bo Marcel dobrze udawał. Wrócił dopiero, gdy Birkut był już w drodze do sejmu, by zrobić pierwszy krok do założenia sobie stryczka na szyję.

– Ten gad wierzy, że jest genialny – szepnął Marcel.

– Jak każdy narwaniec. Dlaczego nie oponowałeś?

– Bo ty chcesz zaryzykować.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Jak dobrze mnie znał.

– A jeśli przesadzimy?

– Nie przesadzimy. Karty atutowe są w naszych rękach. Birkut gra dla siebie, oczywiście w powszechnym odczuciu dostanie się i nam, ale tak naprawdę dość szybko przerzucimy całą winę na niego. A my? Zobacz jakie mamy możliwości: ocenimy ryzyko realnego, poważnego oporu przed

najważniejszymi zmianami, będziemy mieli scharakteryzowaną całą opozycję, oszacujemy jej prawdziwe możliwości i determinację, zobaczymy, czy liderzy mogą się podnieść po tych bolesnych upadkach, a może jacyś nowi zdołają się wykreować, no i najważniejsze (ścisza głos): Birkut przestanie się całkowicie liczyć, wykona za nas brudną robotę, a my i tak zrobimy swoje.

Taki był jego prawdziwy cel. Pozbyć się Birkuta, największego przeciwnika w walce o fotel po mnie. Ale ja przecież nigdzie się nie wybierałem. Zamierzałem rządzić jeszcze długo. Bardzo długo.

– A jeśli mu się uda? Jeśli ludzie nie wyjdą na ulicę? Jeśli przepchnie te ustawy i co gorsza zacznie odnosić sukcesy w reformach, co w tej sytuacji jest bardzo prawdopodobne, jego pozycja…

– Nie ma takiej możliwości. W razie czego… pomożemy protestującym, nakręcimy ich trochę naszymi metodami. Cięgi zbierze Birkut, sądy będą i tak nasze, może zostawimy im odrobinę wolności dla pozorów i zagranicznej opinii publicznej, prezydent oderwie się od nas i pokaże rzekomą niezależność, dzięki czemu nikt już mu nie zarzuci, że podpisze wszystko jak notariusz czy jakiś Adrian,

– Oby tylko się mu to niepodpisywanie nie spodobało.

Marcel uśmiechnął się pod nosem. Nie miał takich obaw i ja też nie powinienem. Za dużo mieliśmy haków na prezydenta, za dużo ciemnych sprawek nad nim wisiało, wydumanych i prawdziwych, takich, które mogliśmy podkręcić. Wystarczyło robala wypuścić z pudła, nasłać na niego i po problemie, bo robal interesowny, sprawny, bezwzględny, sumienny w swojej pasji uwalniania szamba…

– Po wakacjach i tak… zrobimy swoje – zakończył Marcel. – Ale już nie na konto Birkuta, tylko… twoje.

– A może twoje?

Uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie, ja zawsze pozostaję w cieniu.

Ukłonił się, a ja miałem wrażenie, że ma ochotę dodać:

– Na razie.

Tak, na razie. Czekał grzecznie tyle lat, poczeka jeszcze. Poza tym byliśmy do siebie tacy podobni. Obaj lubiliśmy sterować z tylnego siedzenia. Tylko czy może być dwóch takich sterujących w jednym imperium?

* * *

– Więc to wina Birkuta?

Pietii oczywiście tego nie mówię, przynajmniej nie tak szczerze jak wam. Oficjalna wersja, ta do podręczników i prokuratorskich akt jest krótka i zwięzła:

– Sądy wymagały głębokiej reformy i przywrócenia im niezależności, po tym, jak zostały całkowicie zawładnięte przez polityków, jak popadły w totalny, niczym nie usprawiedliwiony, administracyjny serwilizm. Trzecia władza musiała być wolna od wpływu dwóch pozostałych, (ale nie mogła też w niej przecież panować anarchia i zepsucie), zostać naprawiona, oczyszczona z tajnych współpracowników, elementów przestępczych, dywersyjnych, układowych, nieuczciwych. Skoro sama nie była w stanie się naprawić, musieliśmy to zrobić za nią, pokazać, że realnie zmieniamy kraj. Należało przeciąć ten ciąg niekompetencji, złych wyroków, dyspozycyjności politycznej i ulegania grupom wpływów. Nie tylko usprawnić procedowanie, ale realnie przywrócić sądownictwo obywatelom, sprawić, że prawo będzie równe dla każdego, bez względu na status materialny. Odbudować wiarę w sprawiedliwość i w autorytet sędziego, nawet jeśli wcześniej wymagało to jego podkopania czy całkowitego zbrukania. Przyspieszyć bieg postępowań i ich przewidywalność (właśnie, ta przewidywalność!). Tego chcieliśmy.

– Birkut jednak pragnął władzy, powiedział pan – przypomniał Pietia.

– Birkut pod pozorem zmian dążył do zwiększenia popularności. To była jego akcja wizerunkowa. Jednak szczerze popieraliśmy zmiany.

– Weto prezydenta pana zaskoczyło?

Och, jakże mi się ciśnie uśmiech na usta, ale jak wytrawny gracz zachowuję powagę.

– Było dla nas oczywistym ciosem. Byłem jednak przekonany, że prezydent po odpowiedniej analizie i konsultacjach przedstawi znacznie lepsze, bardziej przemyślane, społecznie akceptowalne i nie dzielące tak obywateli propozycje zmian. Ufałem, że prezydent, jak to już wielokrotnie udowodnił, pokaże nam właściwy kierunek…

Teraz to Pietia szczerzy kły, ale szybko poważnieje.

– Znów dobrze pan prognozował.

– Prezydent – powiedziałem głośno.

Marcel – dodałem w myślach.

Następnym razem, gdy go zobaczyłem, trudno było mu ukryć cisnące się na twarz poczucie triumfu. Birkut krwawił, miotał się, walczył sam ze sobą, głupiec wystąpił przeciwko prezydentowi, całkowicie się zatracając i pogrążając, bo prezydent przecież swoją decyzją zyskał takie poparcie, że każdy przeciwnik skazywał się na śmieszność. Birkut, jak już nieraz bywało, zatracił granicę, całkowicie odleciał i zupełnie nie przewidział konsekwencji. Był dobrym piarowcem, przekonującym mówcą, udanym, zdolnym dzieciakiem, szczerze uczciwym i kierującym się dobrymi intencjami, ale przy tym był słabym politykiem.

Jednak trochę go rozumiem. Żeby porażka go całkowicie nie przybiła, musiał sobie stworzyć wirtualnego przeciwnika, bo Marcela i mnie atakować nie mógł, a ataki na opozycję byłyby całkowicie bez sensu. W tej sytuacji prezydent był jedynym rozsądnym obiektem, którego należało obarczyć winą za porażkę, żeby wprost nie wypowiedzieć nam posłuszeństwa.

Widziałem, jak go to męczyło, jak przerażająco destrukcyjnie oddziaływała na niego klęska.

Wciąż był małym chłopcem. Dzieciakiem jak pętak Sabaka. Do piaskownicy.

Marcel tymczasem błyskawicznie ułożył się z sędziami, podzieliliśmy kompetencje, ustaliliśmy zasady nowego rozdania. Obie strony udawały gotowość do ustępstw, ale tylko jedna była przygotowana do dalszej wojny.

Sędziowie chyba o tym wiedzieli, zdawali sobie sprawę, że wcześniej czy później muszą skapitulować. Zbyt dużo było argumentów przeciw nim. Jak każdy rozsądny przeciwnik uznali, że trzeba paktować i zachować, ile się tylko da w zaistniałych okolicznościach.

Głupcy, nie wiedzieli, że ze mną się nie paktuje.

A już z Marcelem…

Marcel nie bierze jeńców.

Gdy dziś wspominam ten burzliwy okres, myślę że mogłem przeprowadzić zamach dużo sprawniej, szybciej i zupełnie bezkrwawo. Nie przyznam się Pietii, bo jednak jest tym prokuratorem i musi dbać o przestrzeganie prawa, nawet jeśli prawo jest nasze, wam jednak powiem szczerze: po cichu kibicowałem Marcelowi, żeby coś się wydarzyło, coś znaczącego, krwawego, coś co uzasadni ogłoszenie… wojny.

– Uważa pan, że nie złamał konstytucji? – Pyta Pietia, czym mnie zaskakuje, bo myślałem, że przejdziemy do wniosków końcowych, a on

wraca do tego… całego dziadostwa.

Konstytucja, dziwka przeklęta. Przecież uchwaliły ją komuchy, agenci bezpieki, zwykłe sprzedawczyki. Nie? To było już w czasach wolności? Może, ale i tak pełno było wciąż aktywnych gnid. Zepsuli państwo, doprowadzili kraj na skraj upadku, boleśnie osłabili aparat władzy, by dać pole aferzystom, zboczeńcom, przestępcom. Doprowadzili ludzi do nędzy, zadłużyli, wpędzili kraj w głębokie mroki beznadziejnego unijnego wasalstwa.

Tak naprawdę to żadna konstytucja, potrzeba było nowej, zwyczajnie tak byłoby sprawiedliwie. A że nie mogliśmy jej zmienić legalnie…

Powiem ci Pietia, jak chcesz, co było w naszych głowach, mojej, Marcela, może też trochę Birkuta. Nie żadna żądza władzy, podległości, upodlenia narodu, tylko zwyczajne pragnienie zaprowadzenia rządów prawa. Sprawiedliwości. Wiesz, co to znaczy? Wiesz, czym jest sprawiedliwość?

To taki twór, który mówi, że nie ważne, czy są jakieś kruczki prawne umożliwiające ludziom podłym unikanie więzień i odpowiedzialności, a ludziom prawym dążenie do prawdy, nieważne że tak jest, ale sędzia mówi: sprawiedliwość to tak i tak. Przecież to takie proste. Każdy wie, co to sprawiedliwość. Po co więc prawo? Jak coś ukradłeś, jesteś złodziej. Jak zamordowałeś, morderca. Jak chciałeś dobrze, jesteś niewinny. Takie proste.

Oko za oko, Pietia, ząb za zub.

Nasi sędziowie mieli tak orzekać. Żeby się ludziom podobało, a nie prawu.

Wróćmy do korzeni.

– Tak, najlepiej do średniowiecza – wyrywa się Pietii, a może on tylko w głowie tak marudzi. – Do obcinania głów i rąk. Tak będzie skuteczniej, sprawniej, no i będzie się ludziom podobało…

– Wcale nie tak. Wcale nie tak.

Mam taki sen. Budzę się w kraju, w którym wszyscy są dobrzy i uśmiechnięci. Ale coś złego się dzieje, wtedy idę do sądu, a sympatyczny sędzia mówi, jest tak i tak, tak jest dobrze, a ty przestępco masz naprawić zło. Czy taka wizja ci się nie podoba? Pewnie, wam się podoba, jak można kluczyć i zwodzić, jak wynajęte papugi w drogich garniturach, butach i zegarkach będą wywodzić, że przestępstwo może i miało miejsce, ale dowód jest wadliwy, dowodu zatem nie ma, bo być nie może w państwie

prawa. Tak byś chciał, Pietia? Cała wasza przeklęta, pachnąca kłamstwem, zdradą, interesownością korporacja tak by chciała?

Bo wy, Pietia, wszyscy w tej swojej prawniczej kaście odjechaliście na jakiś drugi biegun, wyrwało was z tej ziemi, fruwacie gdzieś w kosmosie, sami sobie, a najbezczelniejsi z was zdejmują portki i pokazują ludowi pryszczate cztery litery.

Taka jest ta wasza sprawiedliwość.

To znaczy byłaby, gdyby nie ja.

No i Birkut, w małym stopniu.

I trochę Marcel. I Toni Bródka. I Ojciec Tadeusza. I czterdzieści procent narodu. Tego, który chciał nas, a nie was.

Pewnie że wam się to nie podobało. Jak każda kasta władzy usuwa się na widok bydła, śmierdzącego, spoconego, wulgarnego, które wdarło się do salony, tak wy uciekliście na taras i zaczęliście knuć, jak tu to bydło wygonić, ale Marcel was dobrze wyczuł, dobrze namierzył i każdemu bransoletki założył. I tak bydło zostało, a wy się musieliście, Pietia, pochować do dziur albo… dostosować.

A jak nie? Konia do wora, wór do jeziora!

Pietia chrząka znacząco, bo mu oczywiście tego nie mówię, nie odkrywam kart, zamiast tego milczę, więc on chrząka, żeby mnie trochę przywołać do porządku. W końcu on tu jest prokuratorem.

Och, Pietia, jakże chciałbym ukazać ci prawdziwego siebie, powiedzieć szczerze, jak na spowiedzi. Ale ani ze mnie samobójca, ani z ciebie Anioł Gabriel. Tak więc posłuszaj, Pietia:

– Spierdalaj!

Wydaje mu się, że się przesłyszał, a może mi się wydaje, że jemu się wydaje. Przeciera okulary, zakłada z powrotem.

– Szanowny panie naczel…

– Won – przerywam. – Won i to już.

Cholerny prokurator. Będzie mnie tu o konstytucje pytać. O łamanie. O trybunały. Won i już! Natychmiast.

Zbiera pospiesznie, co rozłożył i zajmuje mu to trzy razy mniej czasu niż wcześniejsze rozkładanie (taki cwaniak). Nie patrzy na mnie, szybko się zwija, nie chce wywołać kolejnego ataku. Po co mu mój wybuch? Chce teraz po prostu wyjść, jak najszybciej, byleby nie słyszeć więcej, nie być świadkiem kolejnych upokorzeń (własnych). Taki to prokurator.

Rozdział 5

Maciarz, Wolak, Cesarz – mieszają mi się w głowie, pewnie jak dawniej Marcelowi. Waldemar twierdził, że w sypialni Marcela wisiały ich podobizny, a gabinet miał cały wytapetowany doniesieniami i informacjami o tej trójce największych oligarchów, o trójce największego polskiego zła w czystej postaci.

– Co ty robiłeś w jego sypialni? – Zapytałem wtedy żartem, a Waldemar nawet nie spąsowiał, tylko odparł najzupełniej poważnie:

– Częściej bywałem w gabinecie, ale gdy chorował na kręgosłup, przenosiliśmy się do sypialni, a jak wiesz, chorował często.

Był jedyną osobą, której pozwoliłem rozmawiać ze mną na leżąco. Jeszcze jeden taki próbował ze mnie w ten sposób zakpić, ale tego pogoniłem szybciej niż pomyślałem.

Maciarz, Wolak, Cesarz – który z nich był najgorszy? W sumie czy to ważne? Czy zło warto stopniować, jeśli stoi na podobnym poziomie? Razem i każdy z osobna odpowiadali za rozkradanie Polski, dziką wyprzedaż i prywatyzację, doili ten kraj na nienależnych kontraktach, opływali w miliardy, gdy ciemny lud klepał biedę. Byli siebie warci.

Często o nich myślę, zastanawiam się, który mógł stać za zamachem na Grzegorza. Który odcisk zbyt mocno nacisnęliśmy. A może wszyscy trzej są winni?

Z pewnością nie są bez winy – jak to mawiał Marcel. Nikt wszak nie jest bez winy.

Grzegorz też nie jest – dopowiadam w myślach. I ja, bo gdybym wtedy, dawno temu, wygrał telewizyjną debatę z Sabaką, władza już dawno byłaby nasza, nikt by nie podłożył bomby w samochodzie Grzegorza, nie wywołał sztucznej mgły, nie nasadził brzóz na trasie, nie dobił ofiar. Nikt by go nie zabił.

Trach.

Znów tam jestem. Już po wejściu. Mój tłum znacznie liczniejszy niż Sabaki. Ale to jego ludzie głośniej krzyczą.

Dy–kta–tor! Dy–kta–tor! Dy–kta–tor!

A potem:

Będziesz siedział! Będziesz siedział! Będziesz siedział!

Nienawiść. Jakże oni mnie nienawidzą – myślę sobie, staram się przywołać rady Miśka i Miłosza. Nie słuchaj, co krzyczą, nie daj się sprowokować, myśl o tym, co masz w głowie i we własnych dłoniach.

Dobrzy sztabowcy.

Przygotowali mnie jak należy. Przewidzieli możliwe ataki, odgadli pytania przeciwnika, pokazali strategię jak wygrać, dobrze ustawili, a ja i tak to zepsułem. I zapamiętałem z tego starcia tylko ostatnie zdania Sabaki, swobodną przemowę, którą na zawsze wypowiedział mi wojnę, a ja wiedziałem, że kiedyś postawię sprawę na ostrzu noża: on albo ja.

– I powiem panu, panie prezesie – zakończył Sabaka, – że jak patrzyłem wtedy w pana oczy, gdy pan stał w windzie przede mną i groził mi bronią, zrozumiałem, że nie jest pan ani żartownisiem, ani szaleńcem. Zrozumiałem, że jest pan zwyczajnie niebezpieczny. Dlatego, w trosce o Polskę, nie wolno mi z panem przegrać i dlatego wygram.

Trach.

* * *

Waldemar, Waldemar, Waldemar. Jak to dobrze, że już wrócił. Jak to dobrze, że mogę go uściskać i przejść do wspomnień, tych lepszych, bardziej przyjemnych. Ale najpierw skarżę się na Pietię. Mówię, żeby go zmienił.

– To już dziesiąty – kręci nosem. – A ten w sumie ci odpowiadał. I Vladimira czytał. Wiesz jak trudno dziś o prokuratora, który czyta książki? Czytają, kryminały czytają, ale już coś więcej… A takiego, co czyta Vladimira to ze świecą…

Już dziesięciu prokuratorów zwolniłem? Cóż, mogę zmienić dwudziestu następnych, jak trzeba. Jeśli ma dojść w końcu, po latach, do sprawiedliwości, będę zmieniał ich całymi stadami, bo zasłużyli, ot co.

– Dobrze, zobaczę, co da się zrobić.

– I nie męcz mnie dziś za bardzo. Porozmawiajmy o czymś miłym, przywołajmy jakieś dobre wspomnienia, może znów o tych imprezach na Siennej, o spotkaniach klubowych w tych pięknych czasach, gdy zaczynaliśmy, gdy byliśmy razem, wspieraliśmy się, gdy każdy wiedział, że należy wybrać przywódcę, jednego przywódcę i za nim stać murem, a nie tak jak później. A może porozmawiajmy znów o Joannie, o dziewczętach naszych porozmawiajmy, bo o dziewczętach to ja zawsze chętnie rozmawiam…

Waldemar rozkłada swoje notatki, włącza stary, dobry, wysłużony dyktafon, spogląda w zapiski, stwierdza, że o dziewczętach ma już dużo, może potem będzie chciał więcej i w końcu wybiera temat:

– To może o Piotrusiu?

* * *

Piotruś, przyjaciel Miłosza. Poznali się na studiach, byli na jednym roku. Jak się potem spotykali, to zawsze kończyli pod stołem. Takie to były dobre studia.

To Piotruś zatwierdził Miłosza, gdy go Toni nam polecił, a ja mu uwierzyłem. Ale trochę na swoją zgubę to zrobił, bo Miłosz w końcu zajął jego miejsce, wygryzł z interesu, tak to przynajmniej wyglądało na zewnątrz.

Prawda była jednak dużo bardziej skomplikowana, nieoczywista i tajemnicza.

Piotruś związał się z nami od początku. Od pierwszego roku studiów był bojownikiem w młodzieżówkach, piął się stopniowo wyżej, aż w końcu ktoś mi go przedstawił, jako młodego, zdolnego, rokującego na przyszłość.

Pracowity był wyjątkowo i potrafił mnie ująć, gdy na przykład coś ktoś inny zepsuł, a on to bezinteresownie naprawiał, bo przecież naprawić trzeba. Pamiętam jak jednego dnia przyszły ulotki z błędami i nie było czasu i pieniędzy, żeby je poprawić, a Piotruś zebrał swoją ekipę i ręcznie zaczęli te błędy naprawiać. Tysiące ulotek w noc poprawili. Ja patrzyłem zdumiony i walczyły we mnie dwie myśli:

– Kto dziś czyta ulotki, po co to poprawiać?

– Jakim trzeba być fanatykiem, żeby wykonywać bezsensowną robotę przez całą noc?

Ale osiągnął efekt. Awansowałem go dwa razy, a potem wysłałem na pożarcie do miasta, w którym zawsze z kretesem przegrywaliśmy wybory. To wyglądało jak scena z ojca chrzestnego. Zawołali go do mnie do gabinetu, ja siedziałem w fotelu paląc cygaro i popijając whisky (przyznaję, po winie to mój ulubiony trunek), on stał przede mną, a ja mówiłem bez entuzjazmu:

– To misja straceńcza, nie ma szans powodzenia, w zasadzie nie ma prawa się udać. Ale jeśli ci się uda, jeśli choć trochę poprawisz wynik, zostaniesz moim najbliższym doradcą, przeskoczysz parę szczebli, będziesz jedynką i przyszłym ministrem. Jak ci się to podoba?

Piotruś pocałował mnie w kant dłoni. Nie chciałem, ale pocałował. Ojca Dyrektora wcześniej całował, to co miał mnie nie pocałować – zażartował. A potem powiedział, że wygoni czerwonych z tego Grajdołka i rzuci mi to miasto do stóp. I jak zapowiedział, tak zrobił.

Był to najbardziej fenomenalny, niesamowity i trudny do wytłumaczenia sukces. Niemal wszystkie uniwersytety polityczne za niego się brały, próbując rozkminić, jak ten Naczelnik zdobył Grajdołek, który zawsze był tak czerwony jak krew byków na corridzie.

To się po prostu im w pałach nie mieściło i żaden nie podejrzewał jakiegoś Piotrusia.

A Piotruś był chłopak zwyczajny, pracowity i do tego bezpośredni. I nie zrażał się. Robił swoje. Setki spotkań go to kosztowało, masę upokorzeń, mówienia do prawie pustych sal, przekonywania szarych ścian i robienia z siebie idioty. Nie raz i nie dwa występował przeciwko agresji, ludziom napastliwym, nie dał się prowokować, a wręcz przytulał. Oni go wyzywali od faszysty, a on zamiast w odpowiedzi nazwać brudnymi komuchami, po prostu przytulał. Taki był w tym bezpośredni i niezwykły jak na nas, że musiał w końcu osiągnąć efekt. Ale nikt nie wierzył, że aż tak spektakularny i propagandowo użyteczny.

Pamiętam, że kiedyś w nocy zadzwonił do mnie i powiedział, że chyba znalazł sposób, wie, jak to rozgryźć, jak dotrzeć do tych ludzi, ma sposób.

Powiedział mi też, że właśnie stoi w centrum dużego miasta, na pięknym rynku, na ulicy wyremontowanej za unijną kasę, pełnej lamp, ciekawych witryn, zabytków i reklam i wokół nie ma dosłownie nikogo.

– Nie uwierzy pan, naczelniku, ale to miasto jest jak Transylwania. Umiera po zmroku.

A potem wysłał mi zdjęcia tego trupiego miasta i rzeczywiście tak wyglądały.

Trzy miesiące później wygrał dla mnie wybory. Po roku dostał gabinet na piętrze i możliwość wejścia do mnie w każdej chwili. W kolejnych wyborach startował, zgodnie z obietnicą, z pierwszego miejsca na liście, ale i tak by wywalczył mandat. Był przebojowy, wspaniały, żywiołowy, miał do tego talent. Wydaje mi się, że gdyby nie późniejszy incydent, mógłby wejść na szczyt, może zostałby premierem, a nawet prezydentem?

Wolał jednak zaprosić mnie na kolację.

Nigdy nie przyjmuję zaproszeń na kolację, a jednak dla tego jednego chłopaka zrobiłem wyjątek.

Pamiętam, że to był piątek. On już był posłem, rozpoznawalnym, występującym w mediach, człowiekiem sukcesu.

Kolację przygotowała jego żona, nauczycielka germanistyki, a do ich domu zawiózł mnie Kazik. Pamiętam, że jak dojechaliśmy, stanął trochę przed bramą, jakby chciał się upewnić, że na pewno dobrze trafiliśmy. Spojrzał na mnie, a ja potwierdziłem, że tego chcę.

Jego dom miał jakieś tysiąc metrów, basen w środku, salę kinową i był przerażająco nietaktowny. Tak właśnie sobie pomyślałem. Jest wielkim nietaktem mieć w tak młodym wieku taki dom. On chyba wyczuł, że powinien się z niego wytłumaczyć, bo tuż po kolacji powiedział:

– Kupiliśmy go od komornika. Został zbudowany przez aferzystę, który teraz siedzi w więzieniu. Ten aferzysta oszukał prawie dwa tysiące osób.

– Nie przeszkadza to panu? – zapytałem. Mimo wielu jego prób nie zaproponowałem przejścia na „ty”. Leszczy zawsze trzymam na dystans.

– Co takiego?

– Mieszka pan w domu zbudowanym na oszustwie.

– Kupiłem go legalnie.

– Ale czy to panu nie przeszkadza?

Zrobiło się nieprzyjemnie i on podjął jeszcze kilka prób ratowania sytuacji, ale pogrążyła go ostatnia. Gdy się rozsypało, wziął swoją biedną, zahukaną, całkowicie zbitą z tropu żonę za rękę i zawołał:

– Małgosiu, wszystko co mamy, zawdzięczamy Naczelnikowi. Podziękujmy naszemu prezesowi.

Naprawdę to powiedział, a ona naprawdę, czerwona na twarzy, zakrzyknęła razem z nim, że mi dziękują.

Skinąłem głową i powiedziałem, że muszę już iść. Chciałem jak najszybciej stamtąd uciec, ale tuż przy ciężkich, włoskich drzwiach nagle zaatakował mnie pies, duży, czarny doberman, który musiał być wcześniej gdzieś zamknięty, ale się wydostał.

Nie był groźny, ja zresztą niespecjalnie się przestraszyłem. Ale coś w tym psie było niezwykłego. W jego oczach migotał jakiś niezrozumiały przekaz. Nie, nie w oczach.

– Naczelniku, to jest Atos – powiedział Piotruś trochę zbity z tropu. – Atos, uśmiechnij się do pana Naczelnika.

I Atos się uśmiechnął. Rzeczywiście był to chyba pierwszy pies, który tak jawnie i bez kompleksów uśmiechał się na mój widok.

– Dzieci też trzymacie w komórkach? – Zapytałem żartem, tłumiąc bardziej kąśliwe stwierdzenie („a może w beczkach na kapustę”), i wtedy Piotruś powiedział coś, co ostatecznie przesądziło sprawę:

– Nie mamy i nie będziemy mieć dzieci.

– Dlaczego? – zapytałem, choć nie powinienem, lepiej było już wyjść, natychmiast, zostawić za sobą ten nieprzyjemny incydent.

– Chcemy być jak Naczelnik. Poświęcić się Polsce.

Wiele lat później jakaś gazeta odgrzebała tę historię, to znaczy przekłamaną jej wersję i zaczęła mnie atakować pytaniami, czy to prawda, że zniszczyłem swojego współpracownika z powodu jakiegoś patologicznego konfliktu personalnego, osobistej zniewagi czy godnej pożałowania zawiści albo czegoś podobnego.

Nie odpowiedziałem na pytania, a potem wygrałem proces z tą gazetą. Wiele miesięcy później złożyłem zeznania na policji podczas procesu tego nieszczęsnego Piotrusia, który pewnego dnia, w napadzie szału będącego zapewne wynikiem wieloletniej, postępującej depresji, zamordował swoją żonę i psa, a potem próbował zabić siebie, ale nie starczyło mu odwagi.

Twierdził rzekomo, że motywem jego działań byłem ja, utrata mojego zaufania, wyrzucenie z partii i pozbawienie wszelkich funkcji, w tym mandatu posła za rzekomo popełnione przekręty.

Policjant zadał mi szereg standardowych pytań (prokurator wypisał mu je na kartce), na które odpowiedziałem zgodnie ze swoją najlepszą wiedzą, zwykle stanowczo, jednoznacznie zaprzeczając.

Nie, nieprawdą jest, jakobym przygotował lub zatwierdził jakąkolwiek intrygę przeciw panu posłowi.

Nie, nie wiedziałem nic o oszustwach podatkowych stosowanych przez pana posła, fałszowaniu rachunków, faktur, oświadczeń, zaświadczeń i pazernym wyłudzaniu pieniędzy z Kancelarii Sejmu.

Nie, nie popieram pobierania dotacji na fikcyjne wyjazdy czy poselskie inicjatywy, które w rzeczywistości nie miały miejsca.

Nie, nie stałem za żadnymi intrygami przeciwko panu posłowi. Nie mam jakiejkolwiek wiedzy na ten temat.

* * *

– On tak cię kochał, a ty go załatwiłeś.

– Był niebezpieczny. Mógł nas zniszczyć. Polska jest najważniejsza. Sprawa jest najważniejsza.

– Ale czy zasługiwał na unicestwienie?

– Zasługiwał na uczciwe rozliczenie.

Waldemar cały czas się zastanawia, jak tę sprawę opisać w książce. Moja szczerość wydaje mu się literacko atrakcyjna, sama historia dość ciekawa i niegroźna w sensie propagandowym, jednak, gdyby, jak to on, trochę podkręcił, mogłoby się okazać inaczej.

– Cóż, zawsze warto wydobyć z historii więcej, jeśli tylko można. Słyszałeś o tym polskim zawodowym zabójcy, który pracował dla mafii. Podobno jest uważany za jednego z najbardziej spektakularnych seryjnych morderców, mają nakręcić o nim film. Przebił Włochów, Amerykanów, Portorykańczyków, Kolumbijczyków, Meksykanów. W zasadzie powinniśmy być z kogoś takiego dumni i nie dać go zawłaszczać Amerykanom i Włochom. To coś, taki zabójca. Piotruś też jest ciekawym egzemplarzem. Jak nie my, to wykorzystają to inni. Chcesz przeczytać czy obejrzeć tę historię u Szwedów, albo co gorsza Niemców? Sami ją podkręćmy, rozpalmy emocje, ubierzmy w historyczne szaty, spiszmy, a na koniec zaangażujmy do głównej roli Clinta Eastwooda albo Mela Gibsona.

– Już próbowaliśmy – przypomniałem z przekąsem, bo z oboma się pokłóciliśmy, jak zażądali scenariusza i psychologicznego pogłębienia postaci, które mieli zagrać. Aktorzy są dziwni. Uważają, że postać nie powinna być tak czarno–biała, musi mieć jakieś cienie, przechodzić przemianę.

Dużo później dowiedziałem się, że powodem zbrodni Piotra wcale nie był zawód polityczny czy jakaś inna przyczyna związana ze mną. Chłopak

dowiedział się, że w zasadzie przez całe małżeństwo żona go zdradzała, na dodatek z uczniem w swojej szkole. Choć nie podpadało to pod pedofilię, jeden z lokalnych dziennikarzy wywąchał temat i zamierzał opublikować wyniki swojego śledztwa w gazecie, co wywołało tragiczną reakcję Piotrusia.

Miłosz, już wtedy ze mną był, postanowił zatuszować sprawę i zaproponował dziennikarzowi deal. Żurnalista rezygnuje z reportażu o Piotrusiu i jego żonie, w zamian dostaje ekskluzywny wywiad ze mną, przy czym musi zapewnić, że będzie się zachowywał tak, jakby żadnego tajnego porozumienia nie było, bo ja o niczym nie wiem.

Udzieliłem wywiadu temu zdenerwowanemu dziennikarzowi, ukazał się on w jednej z gazet (za sprawą Miłosza), dziennikarz dotrzymał słowa, a sprawa została gdzieś zakopana. Może kiedyś wyjdzie w jakiejś książce. A może nigdy nie wyjdzie.

* * *

Tak jak nigdy prawdopodobnie nie wyjdzie, jak naprawdę Marcel wygrał nam wybory po raz drugi.

– Mieliśmy rozmawiać o czymś przyjemnym – przypomina Waldemar.

To jest przyjemne, sukcesy są przyjemne, także jeśli te akurat przypisujemy bardziej Marcelowi niż mnie. On się jednak do tego nigdy nie przyzna. Zawsze będzie mówił, że to przypadek, że on i jego ludzie nie maczali w tym swoich paluchów, a jeśli, to tylko przypadkiem.

– Wybory wygrał Naczelnik, to jego strategia, jego konsekwencja, jego uparte trzymanie się zasad, przywiązanie do wartości, dobry program dla Polski, dostrzeganie społecznych potrzeb lekceważonych przez lata grup i inne pomysły sprawiły, że zwyciężyliśmy, że wzięliśmy prezydenturę, sejm, senat, a potem… całą władzę.

A jak było naprawdę?

* * *

Był dwudziesty drugi dzień miesiąca lipca, przeklęte święto, przeklętego czasu…

Informator nazywał się Wiktor Faron i wciąż wydawał mi się za młody na oficera wojskowych służb. Wszystko inne miał jak należy: był wysoki, szczupły, bardzo przystojny, starannie ogolony i ostrzyżony.

Krótkie blond włosy uczesał w przedziałek bardziej po prawej stronie głowy. Stał wyprostowany jak struna, głowa wysoko, szerokie czoło do góry, pokaźny nos zadarty (lekko skrzywiony w lewo), szczęka wydatna, kwadratowa, wyraźnie podzielona, prawe ramię u boku w pół wykrzywione, jakby dzierżyło furażerkę, lewe wzdłuż tułowia równo, palce dłoni wyprostowane i przyciśnięte do spodni.

Paznokcie starannie przycięte, wypielęgnowane, jak u kobiety, one najbardziej rzuciły mi się w oczy.

Ubrany był w dobry markowy garnitur, zupełnie nie na te upały (trzydzieści pięć stopni w cieniu), przez co jego czoło, policzki i szyja lśniły, a dłonie musiał pocierać o spodnie i poły marynarki, na wypadek, gdybym zdecydował się podać mu rękę na przywitanie.

Upał. Jakiż to upał panował tego dnia.

Też mi doskwierał, miałem ochotę go pocieszyć, ale ochota nie zając, za to trzeba grać twardziela, pokazać żelazne oblicze, usta trzymać zamknięte i zamrożone, a oczami świdrować tę spoconą gębę i przekazywać:

Nie ze mną takie numery. Nie ze mną!

Mówił krótkimi zdaniami, jakby wydawał lub odpowiadał na rozkazy. Konkretnie, bez przymiotników, emocji, niepotrzebnych znaków zapytania i zbędnych pauz. Jak przystało na żołnierza.

– Dlaczego pan do mnie przyszedł?

Pytam grzecznie, ale brzmi jak trzeba. Dlaczego zdradzasz, dlaczego jesteś przeklętym zdrajcą, Wiktorze Faronie, czy jak ci tam?

Odpowiada, że i tak mu pewnie nie uwierzę, ale jest patriotą. Uważa, że razem z Grzegorzem robimy coś dobrego dla kraju, mamy wizję, jakiś pomysł na przyszłość, a dodatkowo charyzmę i wdzięk (tak, tak, wdzięk), on i oficerowie, których reprezentuje, są przekonani do owej wizji (i wdzięku), wierzą w wolną Polskę, oczyszczoną z układów, starej gwardii, relacji, grup interesów, tajnych współpracowników, agentów, służbistów, biurokratów (nadmiernych), lewaków (lewusów), związków z Rosją.

Jednym zdaniem chcą dla takiej Polski pracować, a nie szpiegować czy intrygować dla Rosji.

Rosja zła, Rosja słaba, rozpita, zjelcynowana, zbrukana, imperium wypaczone, wypatroszone, śmierdzące, biedne (choć takie bogate).

– Oczywiście rozumiemy, że musicie panowie zweryfikować dane. My niczego nie oczekujemy. Nie chcemy w zamian żadnych profitów, choć… znamy pana przekonania.

– To znaczy?

– Wiemy, że uważa pan, że jeśli ktoś konkretyzuje roszczenia w zamian za deklarowane przez siebie usługi, jest bardziej wiarygodny.

Prawdę mówi. Jak pakt to pakt, obie strony powinny znać stawkę. Tymczasem on przychodzi z darem, nie chce niczego w zamian, ale może kiedyś zachce. Takie pakty najgorsze. Trudno wycenić wartość czegoś, co przez dostawcę nie jest wycenione. Jak trafimy na wariata albo zboczeńca, może kosztować więcej niż możemy i jesteśmy w stanie zapłacić. Zdecydowanie wolę wiedzieć ile coś kosztuje, niż dostać za darmo, a potem poznać cenę. W tym świecie nie ma nic za darmo.

– Mógłbym powiedzieć, że chcemy stanowisk w nowych służbach, że chcemy pracy i zaszczytów – dodaje oficer Faron. – Dla pana byłoby to pewnie wygodniejsze, bardziej racjonalne, uczciwe, ale my nie kłamiemy. Jesteśmy patriotami i pracujemy dla Polski. To jest nasz wkład w jej odbudowę. Weźmie pan, panie prezesie, dobrze. Nie weźmie, trudno. Widać tak miało być.

Odwrócił się i wyszedł.

Ileż to narad odbyliśmy potem z Grzegorzem, Adamem, Kacprem, a nawet Kazikiem w samochodzie, innymi, a na końcu z Marcelem i przyjaciółmi z Wydziału Zagrożeń Wewnętrznych, do którego go wstawiłem, gdy jeszcze mogłem.

Ileż to pustych dyskusji, pomysłów, analiz, rachub, prognoz. Skazanych na porażkę, bo zwyczajnie byliśmy za ciency na to, nie mieliśmy wystarczających danych, doświadczenia w podobnych sprawach, nie potrafiliśmy ocenić ani przeciwnika, ani sojusznika.

Jak dzieci we mgle.

Opinii i zdań było tyle, co ludzi. Ale w gruncie rzeczy już to kiedyś przechodziliśmy z Grzegorzem. Na zajęciach u jednego z profesorów wiele razy dyskutowaliśmy o rodzących się protestach w środowiskach władzy. Młodzi zawsze w pewnej chwili chcą więcej, chcą decydować, a nie wykonywać rozkazy.

Sami tacy byliśmy, więc dlaczego mieliśmy nie wierzyć w intencje Farona i ludzi, których reprezentował. Wierzyć, nie znaczy przecież bezmyślnie ufać. Podać rękę można wręcz diabłu, byle nie dać sobie naciąć palca i wytoczyć tej kropli krwi potrzebnej do złożenia podpisu na cyrografie.

Faron przyjął zaproszenie i przyszedł do nas po tygodniu, stanął przed całym zarządem i powtórzył, co miał do powiedzenia.

O inwigilacji, o hakach, specjalnym zespole, który miał nas skompromitować, pogrążyć, zniszczyć, zebrać ewentualne kompromitujące dane na przyszłość, ale najlepiej zlikwidować od razu, bez żądnych gierek w odwróconych i podwójnych agentów.

Nie byliśmy im potrzebni. Oczekiwali naszego upadku, a nie trwania. Wegetacja była stanem niewskazanym. Krew to krew. Ma znaczenie dziś i teraz. Za rok czy dwadzieścia lat będzie przeterminowana.

Nie miał żadnych dokumentów, dowodów, zdjęć, nagrań. Tylko własne słowa. Gdy wyszedł, w zasadzie wszyscy się zgodziliśmy, że to koniec pokojowych działań, że trzeba się zorganizować, przygotować do walki z przeciwnikiem działającym bez skrupułów, zdolnym do największych podłości.

Dwa dni po tej naradzie próbowano mnie zabić po raz pierwszy. Nie pamiętam dokładnie, czy jechaliśmy na jakiś wiec, otwarcie wystawy czy przecięcie wstęgi lokalnej inicjatywy. Pękła lewa opona, autem zakołysało, zawirowało, Kazik stracił panowanie nad kierownicą, kręcił nią jak opętany, ale i tak wylądowaliśmy w rowie.

Późniejsze ekspertyzy wykazały, że ktoś zrobił nam dziesiątki nacięć w oponie, które przy większej prędkości mogły doprowadzić do tragedii. Jechaliśmy trochę za wolno, liczyli, że Kazik, jak to Kazik, depnie bardziej.

– Coś mnie przyblokowało, żeby nie szarżować.

Faron zastukał do mnie noc później. Do domu, który jeszcze wówczas nie był Zamkiem. Wahałem się, czy go wpuścić, ale w końcu zaprosiłem do środka, tylko do kuchni. Przeprosiłem, ale mama nie lubi takich wizyt. Poza tym nie chciałem, żeby się dowiedziała.

Ani ja, ani Grzegorz nie mówiliśmy jej o zamachu. O tym i następnych…

Faron wykazał się zrozumieniem, a potem wyjął teczkę z dokumentami.

Nie było tego aż tak dużo, ale wystarczyło, żeby mnie dość mocno zdenerwować. Poza zdjęciami z wypadku, teczka pękała od wielu ujęć moich i Grzegorza oraz naszych najbliższych współpracowników. Był Adam, Stefan, Kazik… wielu innych. Śledzili nawet sekretarki. Ba, to cześć z nich miała być rzekomo szpiegami. Powstawiali nam agentów, dranie.

O dziwo nie było ani jednego zdjęcia Marcela, ale nie zapytałem dlaczego.

Wciąż za mało ufałem Faronowi.

– Teraz pan mi wierzy?

Przyszło mi do głowy coś szalonego, co by od razu zweryfikowało jego wiarygodność, moją determinację, doprowadziło do ostatecznej konfrontacji.

– Mogę ujawnić te dokumenty?

Zobaczyłem minę Bolka, gdybym się na to zdecydował, albo jeszcze lepiej Kapciowego, który przecież stał za tym, sterował, generował działania, finansował odpowiednie grupy za pomocą tego swojego kumpla z liceum, pieprzonego miliardera, handlarza dobrem narodowym, zwykłego, pozbawionego przyzwoitości hochsztaplera.

Nie zareagował przesadnie nerwowo. Ale jednak coś go poruszyło i pewnie przeraziło.

– Jeśli pan to zrobi, prawdopodobnie dość szybko do mnie dojdą.

– Boi się pan?

Wzruszył ramionami.

– Podjąłem ryzyko. Pana decyzja.

– Co mam zrobić?

Nawet nie mrugnął.

– Pana decyzja – powtórzył. – Ja robię swoje. Jeśli jednak ujawni pan publicznie choć jedną z tych kart, cała moja grupa zostanie spalona. Straci pan sojuszników i źródło informacji. Jednak podkreślam: zrobi pan, co uważa, my… działamy dalej.

Marcel był zdania, że powinniśmy doprowadzić do konfrontacji. Tym bardziej, że w służbach cywilnych zaczęło się dziać to samo.

Według jego informatorów, którym udało się przeniknąć do nowego Urzędu Ochrony Państwa, wydano specjalną instrukcję, która umożliwiała legalne prowadzenie działań operacyjnych przeciwko nam.

– Mój przyjaciel twierdzi, że mają dwóch agentów lub agentki blisko ciebie – wyszeptał mi pewnego dnia na polanie w Kampinosie. – Nie jest w stanie ustalić więcej, ale… bądź ostrożny, co i komu mówisz. No i nie jeździjcie zbyt szybko.

Spojrzał w kierunku Kazika akurat w chwili, gdy na głównej drodze zobaczyliśmy zwalniające światła. Ktoś zatrzymał auto, po chwili pojawiło się dwóch umundurowanych policjantów, ale nie zdecydowali się do nas podejść. Postali chwilę, wrócili do samochodu i odjechali. Kazik zabezpieczył broń, która jakby zmaterializowała się nagle w jego dłoni, lecz nie schował jej do kabury. Stał na leśnej drodze, przy swoim volvo, z dłonią

trzymającą pistolet opuszczoną w dół i wyglądał jak złowrogi mafijny zabójca.

– Podobno skręcili specjalnie jakąś sprawę przeciwko któremuś z pomniejszych pracowników biura, nie wiemy którego. To umożliwia legalne założenie podsłuchów i prowadzenie działań inwigilacyjnych. Uważaj na siebie.

– Ty też.

Uśmiechnął się, jakby to było takie oczywiste. Wsiadł do swojego auta i odjechał.

Kilka dni później Kazik sprawdził koła, dzięki czemu zorientował się, że śruby w jednym z nich są poluzowane, a Grzegorz postawił ultimatum: albo się wycofujemy, albo ujawniamy Farona. Nie zrobiliśmy tego ostatniego. A jeśli chodzi o wycofanie… cóż, ja się nie wycofałem.

* * *

Waldemar chyba przysnął z otwartymi oczami. Nie zareagował na dłuższą pauzę, zamyślony tkwił gdzieś na granicy dwóch światów, dopiero gdy chrząknąłem, poruszył się niespokojnie i przez zaciśnięte zęby syknął:

– Stare, dobre, wojenne, czasy…

– Tak, stare dobre czasy…

Wojna trwała krótko. Nie byliśmy dość silni i zdeterminowani, by wygrać. Poza tym, wszyscy stanęli przeciw nam. Tylko Toni pozostał z sojuszników. Odsunąłem Grzegorza, by go ochronić i sam podjąłem jeszcze ostatnie próby walki. Bez wiary i mocy. Tak, żeby nikt mi nie zarzucił, że nie próbowałem.

A potem….

– Nadeszły ciężkie czasy – mruknął Waldemar z lekkim rozrzewnieniem. – To prawda, że chciałeś sprzedawać odkurzacze?

– Myślisz, żebym sobie nie poradził jako komiwojażer?

On zniknął gdzieś na chwilę w jednej ze spółek skarbu państwa, potem chłopaki w pampersach wzięli go do firm doradczych, uzbroili w karty magnetyczne i inne gadżety, zapewnili trwanie, Marcel zaś trafił do telewizji z grupą przyjaciół, Grzegorz zajął się karierą naukową, a ja… zostałem sam.

Dużo miałem czasu na przemyślenia, na rozpatrywanie poszczególnych kwestii, tworzenie kolejnych scenariuszy.

Ataki na mnie i całe środowisko stopniowo przygasały, choć Faron przekonywał, że nie powinienem wierzyć w pozory, w każdej chwili wojskowi są gotowi do ich odgrzania i ponowienia ze wzmożoną siłą.

Szykowali aferę finansową, znaleźli jakichś fałszywych świadków za granicą, próbowali mnie wmanewrować w szereg szwindli, geszeftów, malwersacji, profanacji i różnych walutowych podłości, z których nic a nic nie rozumiałem.

– Jest jeszcze coś…

Pamiętam, że to było w zimie, on przyszedł późno w nocy, poprosił, żebyśmy rozmawiali cicho z przyciśniętymi do ust dłońmi, tak żeby nikt podglądający nie mógł tego wyczytać z naszych ust, a gdyby taśmy trafiły do sądu, nie można było ich połączyć z ruchem warg.

Gdy wypowiedział te ostatnie słowa, nachylił się do mojego ucha i szepnął:

– Muszę zgasić na chwilę światło.

Nie oponowałem, choć wydało mi się to podejrzane. Wiktor Faron zgasił światło, po czym przez prawie pół godziny opowiadał mi o Marcelu. O tym, że to on jest największym zagrożeniem w moim otoczeniu, że gorliwie, ściśle współpracuje z wrogami Polski, kto wie, może nawet z samymi Rosjanami.

Zmroziło mnie. Ufałem temu chłopakowi. Ufałem Marcelowi jak nikomu innemu.

Faron… jemu też zacząłem ufać w swojej naiwności, a teraz stawia mnie w takiej sytuacji. Nie chciałem tego, wolałem nie słuchać, a jednak chłonąłem pragnącymi spisków zmysłami każde słowo.

Nie ma przyjaciół! Nie ma bezinteresownych ludzi! Nie ma bezpieczeństwa! Tylko intrygi, układy, wojny. Świat bez konfliktów jest światem pozoru i zakłamania, światem ułudy, utopii. Światem, który nie istnieje. Jeśli wokół panuje pozorne bezpieczeństwo, spokój, oznacza to, że albo trafiliśmy do sekcji snów i miraży, albo coś większego się szykuje. Żeby temu przeciwdziałać, trzeba ludźmi zarządzać przez konflikt, samemu je prowokować…

Faron twierdził, że Marcel zorganizował grupę byłych agentów i zaczyna zdobywać niebywałe wpływy w bankach i firmach. Ma też już swoich dziennikarzy, finansistów, radców, adwokatów, sędziów, prokuratorów.

– To wróg. Wielki wróg. Jeśli to mu zarzucisz i pokażesz niezbite dowody, będzie udawał, że działa na rzecz pewnej tajemniczej organizacji

kościelnej. Bo to jesteś w stanie przeboleć. W końcu sam uważasz, że Kościół to tylko dobro, że warto go wspierać, także jeśli działa metodami spisków i prowokacji, bo przecież one mają służyć sprawie, Chrystusowi, dobru. Można łamać prawo dla Kościoła. Kościół jest ważniejszy, stoi ponad prawem. Ale to nie będzie prawda. Prawdziwym mocodawcą Marcela jest ktoś zupełnie inny. Jak to zwykle bywa, gdy kłamstwo usiłuje przybrać szaty prawdy. Prawdziwym mocodawcą Marcela jest ten najgorszy… diabeł.

– Dość!

Wybuchłem. Nie byłem w stanie tego ścierpieć. Podbiegłem do włącznika światła i zapaliłem je. Oczy bolały. Wiktor Faron siedział na swoim miejscu z dziwnym wyrazem twarzy, pomieszaniem jakiejś pasji, agresji, czegoś wyjątkowo podłego i… ironii.

Wtedy właśnie zrozumiałem, że uczyniłem największy błąd swojego życia, wierząc temu człowiekowi.

Stop. Kłamstwo (wykreślić).

Nie, nie będę was okłamywał. Wtedy przez chwilę chyba… mu wierzyłem. Przestałem (ale też ograniczenie) dopiero po kilku rozmowach z Marcelem, któremu nigdy nie powiedziałem o całej tej sytuacji i o tym, co tego wieczora, tej nocy, powiedział mi Wiktor Faron i co zrobił w trakcie i potem.

Trzy dni później media obiegła informacja o tym, że rzekomo znaleziono moją lojalkę. Nieudolnie sfałszowany dokument bezpieki, w którym zobowiązywałem się do donoszenia na przyjaciół.

Tak bezczelna fałszywka w zasadzie stała się potem argumentem pomocnym (niektórzy mówią, że sam ją sfałszowałem i udostępniłem), bo dzięki niemu wróciłem do gry, zrozumiałem, że to moja rola, polityka jest moim życiem. I coś jeszcze: pojąłem, że jak raz w to wszedłem, oni mnie już nie zostawią.

Zawsze będę ich przeciwnikiem. Więc albo wygram albo polegnę. Nie miałem innego wyjścia. Musiałem podjąć walkę.

Walkę o Polskę moich marzeń!

* * *

Rozmowa z Faronem wracała w moich myślach wielokrotnie. Szczególnie w chwilach, gdy spotykałem Marcela lub myślałem o jego

działaniach.

Przez lata obserwowałem bardzo uważnie, jak przechodzi przez kolejne stopnie wtajemniczenia. Jak zyskuje wpływy, buduje relacje, zakłada potajemne związki, knuje spiski, planuje zasadzki, tka te sieci umiejętnie i skrupulatnie, lepiej ode mnie.

Udawałem, że nie dostrzegam tych znaków i tajemnic, skutecznie zwodziłem siebie i innych, a gdy było trzeba, odwracałem oczy, jak wtedy, gdy dogadali się z Maciarzem na sfinansowanie tych swoich nierealnych marzeń o… a lepiej nie będę mówić, bo jak to zabrzmi: grupa najbardziej wiernych prawicowych wojowników przybija sztamę z byłym agentem, komunistycznym oligarchą, pierdolonym oszustem? No jak?

Marcel dużo później wyjaśnił mi, że to była typowa ustawka, próba wciągnięcia Maciarza w wir, tak żeby przez niego dobrać się do tych medialnie najważniejszych komunistycznych przestępców: prezydenta i premiera.

– Byliśmy tak blisko. Mieliśmy ich na widelcu, to prawdziwy cud, że się wywinęli – powiedział potem Marcel.

No ale się wywinęli, miałem ochotę zgryźliwie skomentować, choć nic a nic w te rzekomo szczytne intencje nie wierzyłem, ale lepiej było wiarę udawać.

Milczałem zatem, a coś we wzroku Marcela mówiło, że to wcale nie jest taka wielka klęska, porażka i dramat. O nie, on już tkał kolejną sieć, miał plan, by porażkę przemienić w sukces. Nawet jeśli trzeba przejść przez kolejne zawody, zdrady, rozczarowania.

– Ważne jest ostateczne zwycięstwo.

Muszę to przyznać: przy Marcelu byłem politykiem zwyczajnie mało przewidywalnym, rzekłbym skażonym utopijnymi hasłami, pewnego rodzaju filantropią i naiwnością, łatwowiernym graczem drugiej spiskowej ligi. Owszem, uważałem się za twardego rozgrywającego w zakresie wielkiej polityki, spraw międzynarodowych, historycznych, ponadczasowych, ale w tych drobnych pozornie, małych spiskach byłem jak dziecko kradnące nocą księżyc. Może zbyt tradycyjnie na to patrzyłem, może za bardzo wierzyłem w pewne prawdy niezaprzeczalne, fundamentalne, zero–jedynkowe.

Marcel uświadomił mi, że w nowoczesnej polityce należy się poruszać po szarościach, że nic nie jest jednobarwne i proste, że każdy pejzaż to

iluzja, którą należy rozebrać na czynniki pierwsze, a i tak nie odnajdziemy właściwych motywacji oraz inspiracji malarza.

Bo czasem zwyczajnie mu coś wyszło przypadkiem.

Marcel miał takiego przyjaciela z dawnych lat, którego nazywano Bodo, bo był podobny do tego aktora z międzywojnia. Razem profanowali pomniki radzieckich żołnierzy, za co obaj zostali osądzeni i skazani przez komunistycznych sędziów. W nowej Polsce piękny Bodo trafił do Urzędu Ochrony Państwa, gdzie szybko został cenionym oficerem, ale po czystce związanej z atakiem na nas, także wyleciał. Na wszelki wypadek, bo z nami nie miał żadnego kontaktu, a z Marcelem ograniczony.

Odnalazł się w bankach, gdzie szybko zyskał opinię fachowca i profesjonalisty od zabezpieczeń. Niby całkiem odciął się od Marcela i wszelkich politycznych gierek, wszedł w kilka układów z komuchami. Robił takie interesy, że nie mogło być w nich przypadku.

Przecierałem oczy ze zdumienia, gdy Marcel, wiele lat później, pokazywał mi dokumenty, jak to z czerwonymi ministrami załatwiał kwestie związane z wyprowadzaniem pieniędzy z banku, obsługą fikcyjnych kredytów i zakupem niezwykle ważnego dla bezpieczeństwa państwa sprzętu.

– Przecież to bandzior – szepnąłem, a Marcel potwierdził i bardzo powoli wycedził:

– Nasz bandzior.

Bodo działał na dwie strony. Pomagał komunistycznym kacykom w oszustwach, spinał deale, sam proponował różne możliwości obejścia prawa, skumał się z synem premiera, a prezydentowi podsuwał konta w Szwajcarii.

A potem zbierał dane, zapisywał w Excelu i jechał na polanę w Kampinosie, gdzie już czekał Marcel. Palili dużo papierosów przy wymianie danych. Obaj powinni dostać emerytury specjalne za pracę w warunkach szkodliwych – żartowali, gdy to zbieraliśmy.

Kiedy rozpoczęliśmy frontalny atak na układ, Bodo i Marcel czekali w cieniu na swoją kolej. Niech Toni Bródka weźmie swoje, niech weźmie co jego, a potem nadejdzie nasz czas, ten właściwy…

Dziś myślę, że oni to sobie bardzo konkretnie zaplanowali, dobrze przemyśleli, rozpisali, przeanalizowali.

Dokładnie wiedzieli, jak się potoczy.

Jak szachiści, przewidzieli ruchy przeciwników, znacznie do przodu.

Dlatego wygrali.

Dlatego dziś jestem w miejscu, w którym jestem, a oni są tam, gdzie są.

* * *

Wiktor Faron gasi światło, przysiada blisko i zaczyna mówić. Wolno cedzi słowa, jego głęboki głos jakby trafia wprost do mojego mózgu, pomija zmysły. Pewnie to wina ciemności. Nie widzimy się, inne zmysły też szwankują. Zupełnie nie czuję jego zapachu, jakby był całkowicie bezzapachowy, co przecież jest niemożliwe.

Za to czuję dotyk jego dłoni, jego wspaniałych, smukłych, wypielęgnowanych palców. Dotykają mnie, są na mnie, pieszczą mnie…

Mówi o Marcelu, a ja czuję tylko ten chory, grzeszny dotyk. Dłoń na mojej szyi, ledwie muśnięcie, przerwa, drugie muśnięcie, a potem już dotyk w całej okazałości.

Dłoń Wiktora Farona na mojej szyi, palce delikatnie pieszczące skórę, dłoń obiecująca, dłoń cierpliwa, znacząca, jedyna dłoń której pragnę…

Stop. Nic z tych rzeczy się nie wydarzyło. Wykreślić. Wykreślić.

Nie było tego, nie było. Kłamstwo. Kłamstwo. Jedna wielka prowokacja. Nic nie było.

Wiktor Faron nie położył na mojej szyi swojej brudnej dłoni. Nie próbował mnie molestować czy uwodzić, czy jak to tam chcecie nazwać. W naszej relacji nie było nic seksualnego.

Owszem, próbował stworzyć pozory tej seksualności, ale zostało to szczęśliwie zrealizowane na tyle nieumiejętnie, że bez trudu jesteśmy w stanie obalić wszelkie podobne tezy.

Nic mnie nie łączyło z Wiktorem Faronem. Był tylko mało znaczącym informatorem, niewiarygodnym i podejrzanym spiskowcem, sprawnie prowadzonym, pozbawionym skrupułów agentem, nasłanym na naszą formację tylko w jednym celu – by mnie skompromitować.

I tak go traktowałem.

* * *

Waldemar znika, już późno, dawno pewnie wyszedł. Nie mogę spać. Jak tej nocy przed debatą z Sabaką. Nosi mnie, czytam, myślę, piszę. A może boję się tego snu i innych. Może boję się, że przyjdzie do mnie Grzegorz,

spojrzy i pokiwa palcem. Co też najlepszego uczyniłeś? Może ojciec jednak miał rację? Tak bardzo się z nim nie zgadzaliśmy, tak bardzo krytykowaliśmy, a może teraz, po latach, należy na to spojrzeć inaczej…

Taki jesteś cwany? Taki lepszy?

Wściekam się na Grzegorza, pewnie dlatego przychodzą te myśli, które od lat wypieram, o których nie chcę pamiętać.

Zdrajca.

Nieprawda, nie było tak, nigdy tak nie myślałem. Nawet w dniu, kiedy rzekomo zadzwoniłem do niego, a on kumał się z Sabaką, siedział godzinami i rozmawiali o polityce, o wspólnych sprawach, o wspomnieniach, kiedy tak bardzo blisko się skumali, że się zapomnieli i nie wyłączyli aparatu, przez co usłyszałem, co o mnie myślą.

Potwór dzwoni? Naprawdę tak o mnie myślał? Mógł ścierpieć takie słowa? Może sam je poddawał?

Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa!

Grzegorz i Sabaka. Dwóch skumanych ze sobą zdrajców. Wściekły byłem, dzień, dwa, ale potem sobie to wyjaśniłem. Grzegorz przecież nie mógł inaczej, jest dobrym dyplomatą, musiał z nim rozmawiać, nawiązać jakąś relację, oszukaną, ale musiał. Podpuścił drania, na pewno tak, tak jak Maciarza kiedyś. Też go przecież dobrze podpuścił, a ja potem się za niego wziąłem (i za Sabakę też się już wkrótce wezmę).

W końcu prezydent musi czasem rozmawiać z premierem, nienawiść nie powinna w tym przeszkadzać. W końcu musieli zagrać do jednej bramki, bo chodziło o sprawy państwa, o nasze wspólne dobro.

Ale czy to go usprawiedliwiało?

Pewnie, że usprawiedliwiało.

Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

(Wszystko powyżej wykreślić. Wszystko!)

– Dobrze się pan czuje, naczelniku?

Pietia Pietrowicz staje w drzwiach. Myślałem że wyraźnie mówiłem, że nie chcę go więcej widzieć, sabaki. A jednak Waldemar zawiódł. Bo jak inaczej to nazwać. Człowiek, który jest zdrajcą, podłym, interesownym, pozbawionym moralnego kręgosłupa, niekompetentnym draniem stoi w moim domu i patrzy na mnie z wyższością.

– Przyszedłem tylko przedstawić panu mojego następcę, Naczelniku – mówi Pietia, usuwa się w bok, żeby przepuścić obcego.

W zasadzie powinienem wiedzieć, że to zły omen, że to się źle skończy, ale aż takiej podłości się nie spodziewałem, nie aż takiej.

Następca Pieti Pietrowicza stanął w niewielkim przedpokoju i patrzył na mnie swoim nienawistnym, przeszywającym spojrzeniem.

A ja zagryzłem mocno zęby, uspokoiłem oddech, po czym, jakby nigdy nic, podałem zdrajcy dłoń.

Rozdział 6

Kryjówka jest w lesie, głęboko w środku lasu. Joanna ciągnie mnie tam za rękę, a kiedy przystaję i domagam się wyjaśnień, zbywa moje pytania śmiechem. W końcu docieramy do szałasu i wtedy ona śmieje się tak, jakby znalazła prawdziwy skarb.

– No i jak ci się podoba?

Wchodzi do środka pierwsza, siada ostrożnie na wyściółce, pokazuje miejsce obok siebie.

Taka piękna, cudowna, uśmiechnięta, chętna.

Drżą mi nogi, ręce, cały drżę. Próbuję opanować owo drżenie, próbuję o nim nie myśleć, zapanować nad chęcią odwrócenia się i pospiesznej ucieczki, ale jednak wchodzę, siadam obok, kładę się na gorącej ziemi. Oj, jakaż gorąca ta ziemia, ta wyściółka z leśnego runa i ze słomy, w ogóle nie koli, nie uwiera, nie czuję gałęzi, kolców, igliwia, tylko to gorąco. I żeby je ostudzić zamykam oczy i myślę o tym jak staliśmy z Grzegorzem w grudniu na rogatkach, obok śnieżnych zasp, a ulicą jechały czołgi, dużo czołgów.

To twoje przeznaczenie. Wojsko, polityka, władza – tego pragniesz, a nie tej kobiety. Chcesz prowadzić Polskę do zmian, chcesz odbudować jej wielkość, chcesz przewodzić narodowi. Bo naród to siła, wiara, nadzieja. Chcesz tego, a nie tych pełzających po twoim ciele paców, które sprawiają, że jest gorąco, oj, jak gorąco.

Bawią się moją brodą, moimi powiekami. Czuję jej oddech na sobie, usta delikatnie muskają policzek, potem szyję, wzdychają tym przeraźliwym, niechcianym gorącem w ucho, palce pełzną już po piersi, zatrzymują się na brzuchu, tkwią tak, bo ona czeka aż otworzę oczy, chce, żebym na nią patrzył, chce moich oczu, chce w nich zobaczyć moją miłość, ale kiedy je otwieram, widzi tylko strach.

A potem się kończy, zanim się zaczęło.

* * *

Pamiętam że pierwszy raz o Joannie napisał szmatławiec Lechosława Uchatego. Nie wiem skąd mieli przeciek, ale szczęśliwie był on całkowicie zmanipulowany. Pełen kłamstw, zmyśleń, insynuacji, relacji nieistniejących ludzi o nieistniejących miejscach.

Miłość Naczelnika – taki miał tytuł.

Reporter szukał moich wyśnionych miłości, tych, o których opowiadali rzekomo współpracownicy i tych zasłyszanych od wrogów. Posunęli się do insynuacji, że coś zrobiłem Joannie, może coś bardzo złego.

Ale nie znaleźli ani jej, ani świadków. Za to usilnie szukali w innych miejscach. W Lublinie szukali i Warszawie, w moich sekretariatach i w nocnych klubach.

I nic nie znaleźli.

A szukali tylko po to, żeby udowodnić tę z góry założoną, właściwą, w zasadzie oczywistą tezę.

Nie było żadnej Joanny, nie było innych kobiet, bo być nie mogło. Bo Naczelnik kocha tylko Władzę, siebie i… Wiktora Farona.

Kolejny artykuł Uchatego ukazał się tuż przed wyborami, żeby skompromitować moją osobę, moralność i partię w oczach opinii publicznej, ale manipulacji i kłamstw było w nim tak wiele, że w zasadzie uzyskano odwrotny efekt.

Układ atakuje – wzięli mnie w obronę wszyscy, włącznie z Ojcem Tadeuszem i całą masą wiernych sekciarzy. Uchaty to przecież układ, jego silna strona, jego najbardziej żelazne wsparcie.

– Zero komentarza – doradził Miłosz albo poprzednik Miłosza, nie pamiętam. – Nie dyskutujemy z tabloidami, które piszą fantastykę. Niech sobie piszą co chcą. Temat umrze po dwóch dniach.

Umarł, a jednak żył. Wciąż żyje.

Ten artykuł z gazety Uchatego śni mi się po nocach do dziś, kolumny tekstu stają przed oczami, zdjęcia napływają z niebios, jak morskie fale burzą spokój. Wiktor Faron i ja. Wiktor Faron gaszący światło. Wiktor Faron z dłonią na moim karku. Z dłonią, która nigdy nie robiła tego, co robiła na zdjęciach.

I tekst. Okropny paszkwil, pełen wierutnych bzdur, podłych oszczerstw i innych wymysłów.

„Wywiad wojskowy szpiegował Naczelnika!”

Tytuł wręcz dla nas… korzystny. Podobnie jak pierwsze zdania tekstu:

„Skandal. Środowiska polskiej prawicy przez lata były inwigilowane przez służby specjalne, zarówno cywilne jak i wojskowe.

Natrafiliśmy na wiarygodne dokumenty potwierdzające, że głównym celem operacji specjalnych był sam Naczelnik, obecnie niekwestionowany lider środowisk prawicowych, ikona przemian, nieskazitelna osobowość o twardym moralnym kręgosłupie, żelaznych zasadach, wierny chrześcijańskim wartościom, przyjaciel Kościoła i świętego Toniego, nieustraszonego strażnika Najświętszej Maryi Zawsze Dziewicy.”

Wiele osób, które znały Uchatego, jego poglądy i relacje z dawną bezpieką, establishmentem i szemranymi biznesmenami, przecierało oczy ze zdumienia. Uchaty broni naczelnika? Chwali go (nawet jeśli trochę ironicznie)? Bije w układ, w WSI, w służby, w zleceniodawców tych służb teraz tak zakumanych z czerwonymi? Coś tu nie grało. Wystarczyło przewrócić stronę, żeby się przekonać, co:

„Operacja Joanna – tak nazwano w specjalnym wydziale kontrwywiadowczym Wojskowych Służb Informacyjnych akcję mającą na celu ujawnienie podwójnego agenta, dobrze zakamuflowanego kreta, który wynosił tajne informacje i dokumenty, przekazując je aktywistom jednej z partii politycznych.

Kryptonim akcji został nadany z powodu legendy dotyczącej zawiedzionej miłości szefa owej partii, znanego w środowisku opozycyjnym pod pseudonimem Naczelnik.

Dzielni wywiadowcy nabrali przekonania, że ów Naczelnik ma kreta (a może grupę kretów) w środowisku kontrwywiadu, który przekazuje mu informacje także te opatrzone klauzulami najwyższej tajności. Do wyjaśnienia sprawy powołano grupę śledczą złożoną z najbardziej zaufanych pracowników. Metodami operacyjnymi (podrzucając specjalnie spreparowane na użytek akcji informacje konkretnym osobom, by sprawdzić, która z nich trafi do Naczelnika) zawężono krąg podejrzanych, by ostatecznie ustalić, że agentem zdrajcą jest pułkownik Wiktor Faron, zaufany samego szefa WSI.

Nie to jednak, a także nie fakt inwigilowania partii politycznej, okazało się największym skandalem w tej historii. Śledząc Farona, zdumieni agenci

ustalili, że jest on nie tylko szpiegiem Naczelnika w środowisku WSI, ale także jego… kochankiem.

– Jakież było nasze zdumienie, gdy pewnej nocy zobaczyliśmy wchodzącego do domu Naczelnika Farona, który gasi w środku światło na długie pół godziny, po czym wyraźnie rozluźniony i w skowronkach opuszcza dom kochanka. Było zatem oczywiste, z czym mamy do czynienia, szczególnie, gdy odczytaliśmy zdjęcia z superczułych aparatów – relacjonuje jeden z agentów.

Część zdjęć, do których dotarła nasza redakcja publikujemy obok. Komentarza Naczelnika nie udało nam się uzyskać. Politycy partii wstrzymują się na razie od zabrania głosu. Jeden z senatorów partii rządzącej stwierdził, że to żadna sensacja, bo orientacja seksualna Naczelnika jest tajemnicą poliszynela. Polityk ów uważa za oburzające inwigilowanie jakiejkolwiek partii oraz interesowanie się sprawami sercowymi i osobistymi polityków.

– Wniosę o powołanie komisji śledczej, która wyjaśni tę bulwersującą sprawę – kończy nasz rozmówca.

Według naszych informacji Wiktor Faron złożył rezygnację z pełnionych funkcji i został wydalony ze służby. Rozważane jest skierowanie wniosku o podejrzeniu popełnienia przestępstwa do prokuratury, ale udowodnienie ujawnienia tajemnicy państwowej czy służbowej może być dość trudne. A romanse przecież nie są zakazane…”

– Podłe łamane przez kurewskie – ocenił artykuł Marcel na zwołanej w trybie pilnym naradzie szefostwa i najważniejszych osób sztabu wyborczego.

– Pozwijmy ich w trybie wyborczym – zaproponował Toni. – Odszczekają kłamstwa.

– Problem w tym, że nie wszystko jest tu kłamstwem – szepnąłem słabo.

W zasadzie byłem na granicy rezygnacji, usunięcia się na bok, wycofania. Trudno było mi wytłumaczyć przyjaciołom relacje, wiążące mnie z Faronem czy też brak tych kontaktów, a co dopiero, gdy miałem o tak intymnych sprawach rozmawiać z partnerami politycznymi, którzy, jak wiadomo, za chwilę mogą być przeciwnikami. W polityce nigdy nie ma przyjaźni, wierności. Ostatecznie pakty są po to, by je w końcu łamać.

Gdyby nie ich reakcja, pewnie tak by się stało.

– Nie wolno ci tego robić – ostro odparł Marcel. – Jest oczywiste, że to podła prowokacja w najgorszym ubeckim, uszatkowym stylu. Uchaty ryje ze śmiechu, pewnie go brzuch rozbolał. Spójrz na perfidną konstrukcję tego ataku: niby nie jest bulwarowym tabloidowym tekstem o twoich preferencjach czy życiu uczuciowym, niby traktuje o sprawach wagi państwowej, nawet korzystnych dla nas, bo potwierdzających nielegalne lub dyskusyjne działania służb wobec przeciwników politycznych, ale tak naprawdę przekaz jest zupełnie inny…

– Podwójna albo potrójna przykrywka, charakterystyczne dla tej formacji – potwierdził Toni. – Pochwal, żeby zganić. Zapytaj, stwierdzając. Zaatakuj, by ostrzec. Wykorzystaj prawdę dla okłamania. Zmanipuluj, podziel, wykreuj, zniszcz. Nic nie jest tym, czym się wydaje. Ostrzegają nas, że dalsza wojna z nimi będzie w konsekwencji prowadzić do eskalacji działań obronnych. Każda próba ogrzewania tej sprawy będzie jednocześnie wiązała się z dyskusją na tematy… osobiste Naczelnika. Jeśli zapytamy o inwigilację, w każdej informacji będzie przekazana też ta treść zamieszczona przez Uchatego. Gdy będziemy domagać się wyjaśnień, to właśnie będzie grillowane. A kiedy wytoczymy najcięższe działa i zażądamy likwidacji WSI, oni powiedzą: to zemsta.

Rozmawialiśmy jeszcze długo tego dnia i nie bardzo pamiętam większości kwestii, ale na zawsze zapamiętam ostatnie zdanie, które wypowiedziałem do Toniego:

– Rozwal to towarzystwo, Toni!

A on ukłonił się i odparł radosnym szeptem:

– Z dziką przyjemnością.

* * *

Wiktor Faron stoi teraz przede mną, jak dawniej, udowadniając, że los jest najbardziej pokrętnym i nieprzewidywalnym złośliwym karłem.

Mogłem go rozgnieść jak pchłę setki razy, miałem w garści, wsadziłem do aresztu, a teraz to on stoi naprzeciwko reprezentując władzę i immunitety, a ja jestem w jego władaniu, bo nie ma co ukrywać, nic nie jest tak, jak mi się wydaje, że jest.

Nie ma na sobie garnituru, jak dawniej, tylko mundur. Jest to błękitno–szary mundur oficera wywiadu, przywróconego do łask oficera, który po latach upokorzeń znalazł ponownie swoje właściwe miejsce.

Pietia wychodzi i zostajemy sami.

Patrzę na niego odważnie, bez skrępowania. Przecież wiemy obaj ile kłamstw pojawiło się po obu stronach, by nas podzielić, zniszczyć naszą przyjaźń, dobre relacje.

Wydaje mi się, że prawie wcale się nie zestarzał. Nie ma siwych włosów, może farbuje. Twarz wyprzystojniała. Przypomina teraz jakiegoś amanta, aktora, piosenkarza albo byłego modela. Jest w tych wyjątkowo przystojnych, nabuzowanych fizyczną siłą i duchową ogładą mężczyznach coś niezwykłego, co powoduje, że wyróżniają się z tłumu, czy mają na sobie krótkie spodenki, szlafrok, ręcznik, czy też mundur.

– Panie Naczelniku – Wiktor pręży się na baczność, stuka obcasami, krótko, energicznie oddaje mi honor żołnierski skinieniem głowy, bo u nas salutuje się do czapki, a on czapkę z daszkiem i generalskimi insygniami ma pod ramieniem, trzyma ją tak jak kiedyś trzymał przede mną powietrze. – Zechce pan spocząć?

Pokazuje mi krzesło, siadam, opadam na siedzisko z rezygnacją i bijącym nagle mocno, szaleńczo sercem. Więc przysłali jego, ostatnią osobę na ziemi, którą chciałbym jeszcze oglądać. Żołnierza, którego tak… skrzywdziłem niesłusznymi, opartymi na pomówieniach oskarżeniami. To on ma mnie przesłuchiwać. Jako kto?

– W jakiej roli pan występuje? – Pytam słabo.

Obchodzi stół, kładzie czapkę na blacie, odsuwa krzesełko, siada, poprawia się, na stole pojawia się teczka wyciągnięta z akt.

– Generał Wiktor Faron – przedstawia się zupełnie niepotrzebnie, może chcąc wzmocnić ten przekaz, że tak naprawdę nigdy go nie poznałem, znałem jedynie kilka jego niezależnych od siebie służbowych wcieleń, a teraz poznam kolejne. – Zostałem poproszony przez Prokuratorię Generalną o zakończenie prac specjalnego zespołu powołanego do zbadania…

Ach, tak, tak, zespół. Katastrofa, spisek, zamach.

Cały czas wraca. Ale zaraz, przecież ta sprawa już została ostatecznie zamknięta, przecież ubraliśmy w nią Lwa Dawidowicza i się skończyło, choć wspominamy, wspominamy każdego dziesiątego. On zaś mówi coś jeszcze, długo mówi o rzeczach, których nie chcę wcale słyszeć, nie słucham, wypieram, rzeczach, których nie ma. Nie, nie powiedział tego. Nie powiedział. Trach.

Ile minęło? Patrzy na mnie bez cienia uczucia, bez najmniejszej pokory i niestety, też bez współczucia. Cóż, po tym, co przeżył… muszę zrozumieć.

Dziś w końcu to on, jak niegdyś ja czy Grzegorz, jest byłym szykanowanym, więzionym, prześladowanym przez władzę bojownikiem o wolność. Ileż to lat bez wyroku przesiedziałeś w aresztach, Wiktorze? Ile odszkodowania państwo ci potem wypłaciło?

– Szklankę wody? – Pyta. Wstaje, nalewa wodę do dzbanka, podaje.

Liwia zagląda niepewnie do pokoju, zazdrośnica jedna się w niej budzi. Ona rozumie mnie najlepiej. Ona zna jak nikt inny. Wyczuwa, że emocjonalnie jestem dziś kłębkiem rozedrganych feromonów.

– Zacznijmy od tego, na czym skończyli panowie ostatnio – nawiązuje do chwili pożegnania z Pietią. Otwiera akta na odpowiedniej stronie. Włącza czarną skrzyneczkę Zinoviewa i rzuca nie patrząc mi w oczy: – Co pan może powiedzieć nam o operacji „Przyjaciele”?

* * *

Sam nie wiem, czy zaczęła się już wtedy, gdy Toni rozgonił to całe wojskowe tałatajstwo i wziął się za ciebie, mój drogi Wiktorze Faronie. Może tak, a może dopiero po kolejnej porażce, gdy zrozumieliśmy, że z wami inaczej się nie da, że metodami cywilizowanymi nie wygramy, bo wy zawsze będziecie mieli w zanadrzu jakąś atutową kartę, jakiegoś zdrajcę dżokera, jakąś nieprzewidzianą regułami gry puentę. Będziecie się odradzać jak wirus, mutować, chować po zakamarkach niczym karaluchy i wyzierać, jak tylko zapadnie ciemność. Nagle oświetleni zastygniecie w bezruchu, dacie się rozdeptać bez krzyku, ale za chwilę stu takich jak wy znów wylezie, znów będzie zatruwać przestrzeń, szerzyć chorobę…

Marcel gruntownie was przeskanował. Właściwie ocenił razem z Bodo i innymi. Nawet Birkut w tym podzielał jego zdanie. Oni wiedzieli.

Ale jeśli pytasz, drogi Wiktorze, o moje zdanie, moje subiektywne zdanie, podkreślę, to operacja „Przyjaciele” zaczęła się w dniu, w którym trafiliśmy na tę twoją fundację. Gdy pojęliśmy, jak wielka jest skala waszych przekrętów, zbrodni, powiązań i determinacji.

Wiem, wiem, zaprzeczysz. Powiesz, że Fundacja to była operacja szpiegowska na międzynarodową skalę, że byliśmy tylko jednym z jej trybów, że tu więcej rozgrywali Amerykanie, a efekty są tajne przez poufne,

zakłamane jak informacje prasowe czy celowo zmanipulowane przecieki, ale dla mnie to nie ma znaczenia.

Ginęli polscy obywatele, polskie pieniądze, polskie instytucje ponosiły straty. Że wy zyskiwaliście gdzieś tam w wirtualnym świecie tych swoich służb, to mnie jako premiera, patriotę, naczelnika zupełnie nie obchodziło.

Łamaliście prawo, kradliście, mordowaliście, wyłudzaliście. Tak przynajmniej was przedstawiano. Tak przedstawiał was Marcel, tak widział Toni i nie był w tym widzeniu, czuciu, przenikliwym skanowaniu odosobniony. Musieliśmy z tym zrobić porządek (grzech było z takich darów losu nie skorzystać). Prawdziwy, nie udawany. Konspiracyjnie, bo otwarty konflikt z wami zawsze kończył się jak z tym nieszczęsnym raportem i innymi aneksami.

Pierwsza próba była gdzieś na początku wieku, nie wiem dokładnie gdzie, ale był to jeden z lokali w centrum, na wiecznie słonecznej ulicy Chmielnej. Bodo go w całości podobno okablował, jak to nazywał Marcel. Przy każdym stoliku umieszczono aparaturę nagrywającą, większość miejsc, także w toaletach objęto monitoringiem. Sprowadzono dobrych kucharzy, sprawnych kelnerów, sommeliera, dziewczynki, zaczęto rozpuszczać wici, gdzie i kiedy warto bywać, co jadać, komu się przyjrzeć, kogo powąchać, komu zajrzeć za dekolt lub pod spódnicę.

No i bywali, najpierw tylko ostrożni oficerowie, tacy którzy się nagrywania nie bali, ci nęcili innych, w końcu zdarzyli się pierwsi nieświadomi, niedouczeni, ufni, głupi.

Zbyt długo jednak pociągnąć się tego nie dało. Zrobiło się głośno, zaczęto zbyt otwarcie wiązać to z konkretnymi osobami, pojawili się pierwsi zainteresowani dziennikarze, trzeba było uciekać, żeby nie spalić znakomitego patentu.

Bo Marcel wiedział już, że opracowana receptura jest znakomita, a Marcel, jak wiesz, to perfekcjonista, nastawiony na sukces totalny, dominację bezapelacyjną, eksterminację precyzyjnie bezwzględną.

Wiedział, że ów znakomity pomysł, dobrze wykorzystany, dopracowany na błędach, pozwoli nam zdobyć władzę, przez lata trzymać za ryj przeciwników, szantażować wrogów i przyjaciół, dzielić i rządzić, ustalać i rachować. Pozwoli nam wziąć wszystko.

Nie wiem, kto znalazł tych kelnerów, tego nieszczęsnego biznesmena pośrednika, dziennikarzy do opieki informacyjnej, nie wiem, czy to było tak

dobrze zorganizowane i powiązane, jak to lubił w kuluarach przedstawiać perfekcjonista Marcel.

I powiem ci: nie chcę wiedzieć.

Ale zapewniam: nic nie jest dziełem przypadku.

Skala sukcesu była porażająca już po kilku miesiącach od rozpoczęcia operacji. Po roku ci uświadomieni aż zagryzali wargi do krwi, żeby jeszcze trochę wytrzymać, nie popuścić za wcześnie, pozostawić jeleni Sabaki w błogiej nieświadomości.

Marcel nerwowo przestrzegał, groził, upominał.

– Jak ktoś puści parę, jest trup – wycedził kiedyś do tych kilku swoich zaufanych. Tak mi powiedzieli, bo ja przecież o niczym nie wiedziałem, wiedzieć nie powinienem, wiedzieć nie chciałem.

No ale chodziłem też nie mniej podekscytowany.

Sam wiesz, jak to jest, mieć coś w garści, coś wybitnie smacznego, rzadkiego, wspaniałego. Chce się to pochłonąć, wykorzystać jak najszybciej, a jednocześnie zachować jak najdłużej. Sztuka w tym, by dobrze wyczuć miejsce, czas i nastrój. Tak żeby nie zmarnować wyjątkowości i potencjału.

Trzy lata nagrań, tysiące spotkań, setki tysięcy godzin rozmów. Cały zbiór owieczek do ogolenia. Stado baranów do przepędzenia. A wszystko to w ośmiorniczkach, pastach kawiorowych, przyprawach egzotycznych i pikantnych obyczajówkach, ubabrane w języku jak z rynsztoka, uwalone konfiturami z finezyjnych paraleli i prawdziwych intelektualnych wolt, unurzane w sosach wyjątkowej arogancji i bezczelności, pomazane wymiocinami i fekaliami, zatopione w prawdziwym szambie ekscesów.

Mieliśmy materiał marzenie.

Że nie było tak naprawdę wielkich przekrętów, że nie było nic, co moglibyśmy dobrze rozpracować procesowo? Że nie było łapówek wprost, przetargów ustawianych, umów dogadywanych, ustaw maglowanych?

Jakby się uprzeć, to byśmy znaleźli. Ale komu to było potrzebne? Powiem: lepiej, że nie było, bo trzeba by jeszcze dokładnie tłumaczyć ludziom, procenty wyliczać, porównania przedstawiać, wykresy, w końcu do sądów z tym chodzić i latami mierzyć się z głupotą arbitrów, biegłych, sędziów, stenotypistek i rachmistrzów.

Sam powiedz, jak zareagowali, gdy żeśmy przy Maciarzu im całą techniką pokazali przekręt? Co robili, gdy nagraliśmy szczegóły ofert? Gdy

skręciliśmy tę fikcyjną transakcję zakupu willi? Gdy tego jełopa ludowego w milioniki reglamentowane ubraliśmy?

Kogo za to skazali? No, sam powiedz, kogo?

Ten winien, co ściga, a nie ten ścigany – tak nam sąd powiedział. Tak podziękował. A ludzie to kupili. Cieszyli się na kolejne igrzyska, zniesławiali Marcela, wytykali brudnymi, skorumpowanymi paluchami.

Oni tę potyczkę wygrali. Oni nas nauczyli, że nie można mieć skrupułów. Że trzeba być bezlitosnym, twardym, jednoznacznym. Oddzielać biel od czerni, bez szarości. Marcel przy tym wydawał się idealny. Reprezentował przecież frakcję podziemną, dawniej wręcz terrorystyczną, walczącą środkami podziemnymi i zbrojnie. W końcu najlepsze służby w wielu krajach tak powstawały. Po rewolucji tajne organizacje zmieniały szyld i zaczęły działać w ramach prawa na chwałę nowych rządów.

Dla ludzi, drogi Wiktorze, skala przekrętu i jego szczegóły, a także metody rozpracowania i sami rozpracowujący, są nieistotne. Liczą się barwy i otoczka. Liczą się smaczki i prostota. Jak ktoś wpierdala ośmiorniczkę za państwowe, bluzga i pierdzi, rżnie się pod stołem i na stole, rzyga i tańczy bez bielizny… to jest ciekawsze niż jakieś tam przekręty, państwa okradanie.

Zobacz, przecież mieliśmy Cesarza? Mieliśmy na widelcu, jak robi wałek z tą swoją transakcją życia, z tym swoim projektem Wielkiej Polski, z tym swoim marzeniem kwadratowym i pierwiastkowanym. Jak ustawia się z ministrami na deale, jak układ swój buduje. I co? Kogo to zainteresowało? W dzień przemknęło, a Cesare nam umknął, uciekł. Wiem, co powiesz, że nie umknął tylko zginął, a ja ci odpowiem: nie wierz, co piszą i co mówią, nie wierz, dobry człowieku, bo wiara tylko w Boga się liczy, a nie w ludzkich bożków.

Mieliśmy zatem dość przykładów spraw bardzo poważnych i wielkich, a następnego ranka Kowalski już ich nie pamiętał. Chciał nowej krwi.

A jak słodka Ela jebnęła świństewko, zachrypiała o stawkach niegodnych urzędniczej doli, a jeszcze romansowo można było ją ubrać w Czarnego Piotrusia, o, to się sprzedawało, to hulało po netach, to się sprawdzało i powielało. Memów z Elą było „czysta” razy więcej niż z Cesarzem, dasz wiarę? Cytatów tego jednego pięknego zdanka wyłowionego z trzech godzin rozmów tyle, że nie zliczysz. I naprawdę, nikt nie patrzył, czy tam jakieś tajemnice były łamane, jakieś wielkie służbowe histerie, jakieś układy i układziki, operacje specjalne i niejawne.

Nie, one dały nam możliwość zhakowania nieszczęśnika, po co jeszcze go ścigać i skazywać, jak już lud skazał.

Prosta sprawa: mężczyzna–kobieta, ośmiorniczki, kaska i rynsztoczek, godzina słówek w uszko, pieszczoszek, rączka rączkę, te sprawy.

To się nam sprawdziło!

To obrodziło sukcesami!

Wiedziałem? Zapytasz pewnie jeszcze nie raz, może wpiszesz to w protokołach gdzieś pomiędzy zdania, ale ten twój Zinoview cię nie poprze, bo ja nic takiego ci nie potwierdzę.

Nie wiedziałem.

Nie widziałem.

Nie słyszałem.

Nie uczestniczyłem.

Znasz przypowieść o trzech małpkach.

Ja jestem taką małpką. Jedną z nich i wszystkimi naraz.

A jeśli zapytasz o moje zdanie (prywatne takie, opinię, nie fakty), to powiem ci tyle:

– Moim zdaniem to bzdura, że Marcel stał za zorganizowaniem całej tej akcji nagrywania „przyjaciół”. Nie on tym kierował, nie on inspirował i nie on wykorzystał. Ten ktoś, kto to wyreżyserował, kto przeprowadził i tak doskonale, skrupulatnie potem kontrolował, to musiał być prawdziwy, wielki… patriota.

Rozdział 7

Trach.

Gruchnęło aż dom zatrząsł się w posadach, szyby zadzwoniły, jedna pękła. Liwia czmychnęła strachliwie za łóżko, wyjrzała po chwili, czy ze mną dobrze. Powoli podszedłem do okna. Widniało już, choć jeszcze słońca nie było widać. Czwarta nad ranem. Na południu nad Warszawą wyrastał słup czarnego dymu.

Bandyci.

Banditen.

Bandity.

To już trzeci wybuch w tym tygodniu. Ciekawe co tym razem wymyślą? Co powie Wiktor albo Waldemar? Że jakiś samochód się zapalił. Pewnie niemiecki. One oszukane i z zaniżonymi emisjami, i popowodziowe, i na polski rynek w gorszych wersjach, skłamanych, ciągle się zapalają. A może szwedzki tym razem (też gorszy, też na polski rynek specjalnie, dla biedoty szemranej, dla oligarchii nieuczciwej, skumanej). Nie oszukają mnie, wiedzą, że nie dam się zwieść, zbyć tak łatwo, ale mimo to będą dalej grać, brnąć do samego końca.

Gra absurdów, kłamców. W stylu Marcela: nic nie jest tym, czym się wydaje. Co by zrobili, gdybym stanął dziś na czele opozycji? Na czele demonstrantów? Protestujących? Bandytów? Terrorystów? Czy nie byłby to paradoks? – Naczelnik prowadzi lud na wojnę przeciwko samemu sobie. W absurdach jest najwięcej logiki. Przecież tak nas uczono. Nie możesz powstrzymać protestu, stań na jego czele. Stary, dobry zwyczaj.

Waldemar przyjeżdża po godzinie. Zgodnie z moimi podejrzeniami twierdzi, że to jakaś awaria. Transformator wysadziło. Ludzie w centrum nie mają prądu. Kolejne awarie są spodziewane. Może być tej nocy dużo awarii, bardzo dużo.

Trach. Kolejny wybuch.

– Lepiej spakuj parę rzeczy – mówi.

I jeszcze jeden.

Trzy słupy czarnego dymu rosną nad Warszawą.

– Po co?

– Na wszelki wypadek. Lepiej się spakuj.

Dobrze wie, drań jeden, co mnie czeka tego ranka, tej nocy jeszcze, przy wschodzie słońca, zachodzie przeklętego czerwonego księżyca.

Wie, że Lis przyjedzie, a z nim Wiktor i inni. Całą gromadą się pojawią, żeby mnie porwać, uprowadzić. Gdzie? Gdzieś, gdzie nie znajdą mnie ci, którzy domagają się sprawiedliwości.

– A Liwia? Co z Liwią?

Ona przecież tak nie lubi podróży, jak każdy kot przyzwyczaja się do miejsca, stapia się z nim, wiąże, kocha zakamarki, cienie, mroki. Co oni zrobią z Liwią? Zostawią ją na pastwę tych grzmotów, a może oddadzą do schroniska?

– Zabierzemy ją, nie martw się.

Lis przyjeżdża przed siódmą. Nie zwykłą limuzyną, tylko takim wielkim, czarnym, opancerzonym pojazdem, którego nie rozwali nawet bazooka. Nie jest niezniszczalny, bo nic nie jest niezniszczalne, ale mogę się w nim czuć bezpiecznie, na ile można czuć się bezpiecznie w centrum burzy.

W środku czeka już Mirka, jedzie z nami, żeby mi sekretarzować, gotować, sprzątać, opiekować się tam, gdzie trafię, bo ona, jak to ona, wierna do końca, dziewczyna na piątkę. Zdenerwowana, ściska mocno torebkę, chyba wolałaby zostać z rodziną, ale przecież dla Naczelnika jest gotowa do poświęceń.

– Od ósmej do szesnastej!

Pojedzie ze mną, a potem najwyżej wróci. Waldemar też pojedzie. I ochrona. Trzy samochody ochrony.

– Szybciej, szybciej! – Pospieszają, a ja już wiem dlaczego.

Od Wilsona idzie tłum. Dziesięć tysięcy a może i dwadzieścia – w telewizji ich policzą, że tylko setka, ale prawda jest inna, prawda tupie nogami, prawda szumi jak szarańcza, głośno nadchodzi, plaga trzęsąca ziemią, falą gorąca, prawda dudniąca. Może i sto tysięcy tej prawdy.

Idą żeby się o mnie upomnieć, a wojsko nie będzie strzelać, nie będzie mnie bronić, jak ma przykazane, bo przy tak dużym tłumie, nie ma co bronić, trzeba uciekać.

Ruszamy bokiem, wąskimi uliczkami, ale gdy w końcu docieramy do Słowackiego, widzę ten tłum i doprawdy robi wrażenie ogromem, ruchliwą konsystencją tysięcy ludzkich głów i kończyn, przeraźliwym świergotem

oddechów, krzyków, nawoływań i zwiastującego zło szumu. Potwór budowany przez te lata miesięcznic, karmiony obietnicami, podsycany kłamstwami, żądny krwi, odwetu za zniewagi i nieprawdy. Chce mnie rozliczyć, chce, bym w końcu przyznał, że jestem pieprzonym kłamcą, że jestem zdrajcą, że zawiodłem.

Jestem tylko politykiem. Nie kieruję się emocjami. Tak jak kieruje się nimi tłum. Mój cel nie jest zbieżny z dążeniami tłumu, mimo że obie strony mają na sztandarach dobro kraju. Moje hasła są szczere, wyraziste, precyzyjne, politycznie uzasadnione. A hasła ludu? Chcę im zaprzeczyć? Nie. Ale one są zwyczajnie populistyczne, zupełnie niedopasowane do realiów.

Ludzie chcą po prostu dobrobytu, dobro kraju jest u nich gdzieś tam na półce potrzeb drugiej kategorii, choć oczywiście się do tego nie przyznają.

Czasem trzeba działać wbrew nim, w imię wyższych celów, z mocy racji ponadczasowych, historycznych, perspektywicznych.

Czasem suweren nie wie lepiej.

– Szybciej! – Pospiesza Lis kierowcę.

Jakiś kamień uderza w pancerz. Potem drugi. Liwia miauczy przeraźliwie w klatce, moje głaskanie jej nie uspokaja. Szeptu nie słyszy, nie chce czułości, chce swojego domu, swoich kryjówek, miejsc, które zna od lat.

Widzę chłopaka, który bierze rozbieg i celuje w nas butelką z benzyną. Koktajl Mołotowa skuteczny też po latach. Butelka rozbija się dobre dwadzieścia metrów przed nami, wybucha, płonie.

Ochrona wydaje się niewzruszona, pojazd skręca w kolejną uliczkę, a ja mam ochotę nakazać, by się zatrzymali, wypuścili mnie do tego tłumu.

Chcę stanąć naprzeciwko i przemówić, jak dawniej przemówić. Porwać rzeszę barbarzyńców za sobą. Wykorzystać ich gniew do zmian. Otumanić ponownie, bo mam wciąż pełno siły i wiary, mimo że nie ma już Grzegorza, że stało się, jak się stało, że dobre intencje…

Kto wie, może oni wcale nie są przeciwko mnie. Może idą mnie uwolnić, a ci tu właśnie zniewalają? Podstępnie trzymają z dala od zwolenników, bym nie mógł przewodzić, jak dawniej.

Wiktor to wróg.

Lis to wróg.

Waldemar? Może Waldemar też wróg?

A Mirka? Słodka Mirka na piątkę? Ona może szpieg, Mata Hari albo raczej Krysia Skarbek. Bzdura! Bzdura! Dziewczyna na piątkę, zwykła

dziewczyna, głupia, to się mogła dać otumanić.

Kwiaty, kwiaty trzeba kupić, żeby z pustymi rękami nie jechać. Gdziekolwiek by jechać.

Trach. Znów jakiś wybuch z tyłu, potężny, jakby ze trzy transformatory walnęły jednocześnie. A potem szybkie: trach, trach, trach, znacznie cichsze, a jednak jakby bardziej przerażające, złowróżbne. Ktoś strzela. Strzelają do demonstrantów. Z automatów, nie ze strzelb gładkolufowych. Ostrą amunicją strzelają. Zaraz granat wybuchnie, wielka ciężarówka z armatkami wodnymi nadjedzie, czołgi dojadą, pod gąsienicami ludzi, demonstrantów stratują.

Nie demonstrantów – mówi mina Lisa, – tylko bandytów i terrorystów.

Trach, trach, trach. Po chwili trudno zliczyć te wybuchy. Zlewają się w jeden wielki trach razem z szumem, krzykiem, płaczem, a potem z ciszą.

Cisza i dalekie odgłosy kanonady.

Niesione złowieszczym echem, coraz dalsze.

Cisza i cisza.

Jedziemy jakąś autostradą, zjeżdżamy w bok na Michałowice czy inny Pruszków, a ja znów sobie przypominam Cesarza, bo ten jego Stelaris gdzieś tam zbudowali, stamtąd mieli podbijać świat, ale – także dzięki mnie – nie podbili. Zwalniamy na lokalnej drodze. Wszyscy milczą. Waldemar, Mirka, Lis.

Tylko ja chcę rozmawiać, ale trudno mi wydobyć z gardła głos.

Jak człowiekowi, który właśnie wymknął się śmierci, zwyczajnie mi trudno.

* * *

Jedziemy pół dnia, okolica się zmienia. Obserwuję te zmiany, pola, miasteczka, wioski. Prowincja Polski jest taka piękna. Nie zmieniły tego kataklizmy, powodzie, najazdy, grabieże, rozbiory, testowanie biologicznych, hydrologicznych i innych futurologicznych broni, nie zmieni tego żaden uzurpator.

Nieustająco piękna. Miasta sobie rosną, a wieś się nie zmienia. W każdej kościół. Zawsze na podwyższeniu, góruje nad miastem czy wioską swoją majestatyczną dostojnością. Kapliczki na rogatkach. Białe, niebieskie, zadbane, ozdobione kwiatami, uhonorowane zniczami. Starowinki przy płotach. Klęczące, modlące się, śpiewające, dobre starowinki. Cmentarz

obok dla przypomnienia, gdzie skończymy. Ten świat to tylko przystanek. Musimy dobrze go przeżyć, żeby nie stracić szansy na lepsze życie w błogosławionej wieczności.

Nikt nic nie mówi. Waldemar udaje, że śpi, ale wiem, że pozoruje ten stan. Tyle lat razem i zawsze w trudnych chwilach udawał, a potem się okazywało, że widzi, słyszy, rozumie, pamięta nawet po latach.

Nie wiem, czemu, ale myślę o Tonim Bródce. To chyba jego wina, te demonstracje. Na niego należy zrzucić. W końcu to nie mój pomysł, żeby z wypadku Grzegorza zrobić zamach, żeby to tak podkręcić, podzielić społeczeństwo, podjudzić ludzi do zła.

To nie ja, to on!

Owszem, podpiąłem się pod jego narrację, zaakceptowałem ją, przez chwilę mi się podobała, ale potem, cóż, potem odciąłem się od niej. Przynajmniej próbowałem.

To skąd te siedemset sześćdziesiąt zapewnień: „zbliżamy się do prawdy”? No skąd? Policzyli to, nie myślałem, że ktoś będzie aż tak skrupulatny, że policzy ile razy dokładnie wypowiedziałem te zdanie przez trzydzieści kolejnych lat. Czy można wiecznie żyć jakąś tragedią i utwierdzać ludzi w przekonaniu, że jest spiskiem, że ma drugie dno, że jego wyświetlenie, wyjaśnienie wymaga czasu? Cóż, jak widać można.

Czy Toni wierzył w zamach?

Wątpię, nie był przecież głupi. Ale znakomicie wyczuwał nastroje. Dostrzegał w nich szanse. Ludzie chcą zamachu, zróbmy im zamach. Nie sądzę, żeby z tym miały cokolwiek wspólnego ruskie podszepty. Po prostu chłodna kalkulacja sprawiła, że przywiązał się do myśli o zamachu i na niej popłynął.

A dobór środków do utrwalenia tego poglądu, to już jego talent i inwencja.

Ja… byłem tylko ofiarą. Jedną z wielu. Wierzącą, bo przecież wierzyć trzeba. Zawsze lepiej wierzyć niż nie wierzyć, prawda? Dobrze, możecie powiedzieć, że to słabe tłumaczenie, jak każdego, który nie oponował przeciwko złu i pewnie będziecie mieli rację, nie będę więc powtarzał, że chciałem dobrze. Albo powtórzę.

Przypomina mi się jeden z ekspertów Toniego, który naukowo udowodnił, że tego dnia mgła na drodze była dziesięć razy gęściejsza niż zwykle w rejonie wypadku, co jednoznacznie wskazuje na jej sztuczne wywołanie.

Zrobił algorytm gęstości mgły, który ponoć bawi do dziś renomowanych naukowców, szczególnie jeśli dodają dwa do dwóch, czyli inne teorie asów Toniego.

Bo jego zdaniem nie tylko gęsta mgła była sztuczna, ale i drzewa świeżo posadzone, a może były to drzewa wirtualne, z możliwością zdalnie sterowanej materializacji, wyrastające nagle i specjalnie tak, żeby samochód Grzegorza w nie akurat uderzył.

Drwina i szyderstwo, jakże bolesne są dla ludzi, którzy tracą bliskich. Ale czy na pewno należy winić za nie tych drwiących i szydzących? Czy oni nie mają prawa do prawdy i racjonalności, do normalności i rozmów na poziomie, do logiki i wymiany argumentów. Nie! Wiara to wiara! Wiara nie polega na sile argumentów i zwojach racjonalności. Wiara polega na wierze! Jest silna siłą wiary! Przekracza siłę rozumu, w zasadzie potrafi zastąpić rozum. Taka jest jej potęga, taka moc, taki ogrom wyrazu! Zaklęty w tysiącach ślepych oczu i głuchych uszu tłumów zmęczonych spacerowiczów.

– Przemęczenie kierowcy, naciski na zwiększenie prędkości jazdy, brawura i przeświadczenie o nieśmiertelności nie miały tu żadnego znaczenia – dowodził naukowiec. – Był to ewidentny, skrupulatnie zaplanowany zamach przy użyciu najnowszych technologii termobarycznych, wywołaniu sztucznej mgły seriami wybuchów próżniowych w dalekim Kazachstanie (kłania się efekt motyla) i psychotropowym skierowaniu pojazdów na drogę, na której nieostrożnie posadzono świeże, choć już dorodne drzewa wycięte wprost z chronionej puszczy przez specjalnie do tego celu wytrenowanych drwali. A gdyby ta cała wyrafinowana technika nie zadziałała, sprawę załatwiłby trotyl. Tak, tak, w bagażniku rządowej limuzyny znaleźliśmy ślady trotylu! Lekko na kacu, protestujący i szprechający, jak to trotyl, ale niebezpieczny, wybuchowy…

Toni był twardziel nad twardzielami. Mrugnięciem oka nie zdradził, że nie wierzy naukowcowi. Uważał, że skoro dostał zadanie udowodnienia zamachu, to owo zadanie wykona, choćby siedemdziesiąt procent ludzi uznało go za paranoika i oszołoma. Dlaczego?

– Zostanie trzydzieści procent wiernych wyznawców – to komentarz Waldemara. – I powiem ci, że te trzydzieści są dla niego więcej warte niż pozostali, bo ci pozostali są kapryśni, zapatrzeni we własny interes, skłóceni, racjonalni, przywiązani do przyzwoitości (nie będą więc głosować

na drani, kłamców i pierdolonych ośmiorniczkarzy). A ta trzydziestka to będzie twardość nad twardościami, nie do zdarcia. Gotowi pójść za wodzem na śmierć i życie, całkowicie wolni od rozterek. Wiara, siła, moc.

„Władimir, Władimir, ty pastroisz nowyj mir. Nie francuskij, nie niemieckij, no ty ruskij bahatir”

Kierowca włączył chyba swoją ulubioną piosenkę, bo podryguje w jej takt. Lis patrzy do tyłu, na mnie, widzi grymas, odrazę i zmienia taśmę. W głośnikach śpiewnie mruczy Laskowski:

„Siedem dziewcząt z Albatrosa…”

Przewijanie.

„Dziwny jest…”

W końcu ma to, czego szukał, o czym mu pewnie donieśli usłużni życzliwi, jak ja to lubię.

„Morza szum, ptaków śpiew, złota plaża pośród drzew. Wszystko to, w letnie dni, przypomina ciebie mi. Przypomina ciebie mi….”

– Sialalalalalalalalaa…

To ja? Chyba ja. Przez krótką chwilę cofnięty o sześćdziesiąt lat gdzieś do Chałup czy Sopotu, pozujący do zdjęcia na tle wycieczkowego statku, rozbawiony, rzucający piaskiem do morza, w kierunku zachęcającej do kąpieli tej jednej jedynej, ukochanej, najukochańszej mamy.

Lis dostrzega mój uśmiech i też się uśmiecha. Widzisz, Naczelniku, nie jestem taki okropny, mogę nawet dać się polubić. Może kiedyś w pamiętnikach czy biografii napiszesz: „Ten Lis wcale nie był taki zły, choć powszechnie budził odrazę. Dobry przewodnik i miły chłopak. Ten Lis, a nie tamten, rzecz jasna.”

Dojeżdżamy na miejsce. Jakaś leśna droga, wąska, bita, szczelnie otulona dębami, osikami, bukami, czarna pustka pomiędzy nimi, w końcu wojskowa brama i zasieki. Przed budynkiem stoi lekki czołg, przygotowany

do walki i obsadzony żołnierzami, to nie jest rekwizyt. Dwa patrole przystają i salutują na nasz widok.

Podjazd i stajemy przed szarymi budynkami jakiegoś ośrodka wojskowego. Nie znam go, nigdy tu nie byłem, choć ma swoje lata, więc powinienem przynajmniej kojarzyć. Może jakieś Kiejkuty albo inny zakazany rewir.

– Cały budynek B jest do naszej dyspozycji – wskazuje łaskawie Tomasz Lis.

Patrzę na żołnierzy wokół i jedno rzuca mi się w oczy. Jedna rzecz mi w nich nie pasuje. Aż boję się powiedzieć, co dokładnie.

* * *

Toni opowiedział mi kiedyś, że gdy badał tajne służby wojskowe, natrafił na sprawę o kryptonimie „Rzeczywistość”. Był to projekt specjalnego emitera mikrofal, które wpływałyby na myślenie ludzi.

– Ustawiało się to ustrojstwo w sąsiedztwie nadajnika telewizyjnego i komunikacyjnego, wiesz, dla niepoznaki – tłumaczył z ożywieniem, wyjątkowo podekscytowany. – Odpowiednio programowało i wysyłało w eter sygnały, które w zależności od zapotrzebowania, czyniły podatnych nań ludzi szczęśliwych lub nieszczęśliwych, przekonanych albo nieprzekonanych, wierzących czy niewierzących, złych lub dobrych. Oczywiście nie wszyscy byli na takie fale wrażliwi, jednak z badań wojska wynikało, że urządzenie miałoby siedemdziesiąt procent skuteczności. W pozostałych trzydziestu część (jakieś pięć procent) odczuwałaby znaczny dyskomfort i mogłaby na ten przykład sfiksować, znacznie większa liczba (jakieś dziesięć procent kontestatorów) zadziałałaby przekornie przeciw, a pozostałe pięć procent miałoby to gdzieś, jak dotąd miało. Generalnie emiter, który nasi spece nazwali sobie „Reality” (Rzeczywistość) miał duże szanse powodzenia, może stałby się naszym produktem eksportowym, gdyby wojskowi potrafili go jakoś propagandowo ubrać w ładne słówka, foldery i marketingowe sprzeczności. Ale nasi jak to nasi, stworzyli coś prostego (prostackiego), brzydkiego, topornego i pełnego mało istotnych wad, a potem zaczęli się zastanawiać nad kwestiami etyki. No i uznano, że projekt trzeba zawiesić, jako niehumanitarny, ryzykowny politycznie i niezgodny z obowiązującymi przepisami prawa.

– Niech zgadnę: tylko po to, żeby sprzedać prywatnej firmie? – Zapytałem Toniego, w zasadzie znając dalszą część opowieści, bo to zawsze tak się działo.

– Naczelnik jak to naczelnik, zawsze w sedno. Sprzedali wynalazek fundacji ProMilitari, a ta błyskawicznie go opatentowała i zaczęła rozwijać, by następnie handlować z krajami trzeciego świata, Rosją, Białorusią, a na końcu sprzedała pewnej spółce z USA, która chciała wywindować na urząd prezydencki zupełnego szaleńca, człowieka nie mającego żadnych szans na zwycięstwo, którego jedynym hasłem wyborczym było AZS: Ameryka Znów Silna. W każdym z tych krajów oczywiście uznawano to za przekręt, łowcy spisków i układów atakowali kontrahentów za wyrzucone pieniądze w błoto, aż w Wielkiej Brytanii jeden ze śledczych postanowił przeprowadzić eksperyment procesowy: jeśli to takie skuteczne, to namówmy ludzi, żeby zagłosowali za wyjściem Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Pomysł był tak kretyński, absurdalny i nierealny, a jednak partner ProMilitari z Wysp zdecydował się podjąć rękawicę. Wiesz jak to się skończyło?!

Toni był zafascynowany wynalazkiem i namówił mnie na ostrą walkę z ProMilitari o odebranie patentów, co też się stało. Oczywiście oficerów odpowiedzialnych za przekręt aresztowaliśmy i skazaliśmy, zaś „Rzeczywistość” postanowiliśmy wdrożyć na zupełnie niespotykaną skalę.

Przyznam, że nie wierzyłem aż tak w skuteczność urządzenia, jednak podpisałem specjalny tajny dekret o jego instalacji w każdym nadajniku telewizyjnym i telekomunikacyjnym w Polsce.

Toni piał z zachwytu (nie wiedział, że właśnie założył sobie stryczek na szyję).

– Zobaczysz Naczelniku. Za rok wszyscy będą szczęśliwi, że nie mają już dwulicowych mediów, (może trochę złagodzimy propagandę), po dwóch latach przekonamy ich, że niezawisłe sądy to mit, po trzech zastymulujemy wzrost poparcia dla ostrych działań policji i wojska przeciw buntownikom, a następnie będziemy wykańczać tych, którym odbije palma i co się będą chcieli zbytnio uwłaszczyć. Zdobędziemy władzę totalną.

– A jak zabraknie nam wrogów?

– Odnajdziemy ich we własnych szeregach. No bo Naczelnik z pewnością wie, że tego się nie uniknie. Wrogowie zawsze przenikają do zwycięzców. Czasem na bardzo wczesnym etapie. Dlatego na końcu (choć lepiej na początku) trzeba ich wyłapać.

Trzeba było zobaczyć minę Toniego (ja cały czas zestawiam ją z tą z miejsca katowskiej kaźni). A zaraz potem spojrzeć mu w oczy, gdy kończy:

– Dla równowagi powinniśmy zrobić coś przeciw własnym zjednoczonym ugrupowaniom. Może obrzydzić ludziom ten program dotacji na dzieci? Jak sądzisz, naczelniku, dość już ich przekupiliśmy?

Obruszyłem się.

– Program na dzieci to dobry program. Rodzi się ich coraz więcej.

Toni skinął głową.

– Coraz więcej… potencjalnych buntowników.

* * *

– Mógłbyś mi załatwić telewizor? – Pytam Waldemara, głaszcząc Liwię, która powoli przyzwyczaja się do nowych miejsc, choć nieszczęśliwa jest bardzo, oj bardzo, co pokazuje na każdym kroku, w każdym geście i dotyku, drapie mnie, czasem gryzie, jakby chciała powiedzieć: „wracamy już, no już!”. – Może być jakiś zwyczajny, taki kwadratowy, lampowy, mały.

Pokazuję dłońmi o jaki mi chodzi, a Waldemar śmieje się szczerze, bo pewnie przypomina mu się ta scena sprzed dziesiątek lat, gdy o to samo i tak samo prosiłem Kazika, bo sam nie bardzo wiedziałem, jaki telewizor kupić i co ma w nim być, żeby grało i działało jak trzeba. Wtedy Kazik pojechał do sklepu i za własne pieniądze kupił mi odbiornik dwadzieścia jeden cali marki takiej jak trzeba, bo działa do dziś. No ale on został w domu, a tu, w tym szarym wojskowym „sanatorium” jak zacząłem nazywać budynek, nie ma żadnego telewizora, radia też nie ma.

– Zobaczę co się da zrobić – odpowiada, wychodzi i po godzinie wraca z czymś, co pewnie dziś jest telewizorem, choć mnie bardziej przypomina jakąś tabliczkę na biurko. Podchodzi do ściany i nakleja tę „podkładkę”, naciska na dolną krawędź i to coś się rozświetla, staje się telewizorem.

– Tu masz pilot.

Kładzie na biurku przedmiot wielkości telefonu, bez żadnych klawiszy i tłumaczy jak tym sterować, jak zrobić głośniej i ciszej, jak wyłączyć i włączyć, jak zmieniać kanały, a potem przepraszająco kończy:

– Nowoczesność.

Już dobrze, dobrze. Nie znoszę nowoczesności, ale przecież czasem muszę się do niej dostosować. Nie jest tak źle. Podoba mi się ten telewizor na ścianie i to, że przełącza się kanały tylko ruchem palca, a nawet myślami, jak zaprogramujemy pilot i skonfigurujemy go odpowiednio. Nie podoba mi się tylko, że kanały są stare i czarno–białe, także sportowy. Wzywam więc znów Waldemara i się skarżę, a on odpowiada zdziwiony:

– Sam nakazałeś, by były tylko czarno–białe i tylko z kronikami.

Przypominam sobie, myślałem, że to był tylko sen, ale teraz sobie przypomniałem, że rzeczywiście kiedyś coś takiego powiedziałem.

– Jak im nie pasuje taka nowoczesna telewizja, skoro uważają, że to propaganda, to nakażmy podawanie tylko starych wiadomości. I to reglamentowanych.

Ale to był żart.

A może nie był?

– Boks będziesz miał kolorowy i na żywo – mówi Waldemar. – Choć piracki. Nikt nam nie chce sprzedawać licencji, embargo, to piracimy. Tyle że to dopiero o trzeciej nad ranem się zacznie.

– Kto walczy?

– Wnuk Alego i syn Kliczki.

– O, to będzie dobra walka.

– Dobra – wzdycha Waldemar, ale jest jakiś nieswój, jakby przeczuwał, co się tej nocy wydarzy.

Sobota musi być, skoro boks w nocy, na żywo. Boks zawsze, od lat był w nocy na żywo tylko w soboty, a dokładniej z soboty na niedzielę czyli w niedzielę nad ranem, ten wielki boks, a taka walka wnuków Kliczki i Alego to na pewno wielki boks. Ja niespecjalnie się na tym znam. Nie umiem punktować, ale w boksie często są nokauty i wtedy wiadomo, kto wygrał bez sędziów. Boks na najwyższym poziomie jest z reguły sprawiedliwy, bo w większości kończy się właśnie nokautem, dlatego tak nie lubiłem tego jednego, kiedyś najsłynniejszego boksera, którego nazywali „Money” czy jakoś podobnie, bo jego walki rzadko kończyły się nokautami i dla mnie to on je prawie zawsze przegrywał, a według sędziów wygrywał.

To mnie utwierdzało w przekonaniu, że sędziowie bardzo często, nie tylko u nas i nie tylko w prawdziwych sądach, są niesprawiedliwi, stronniczy, a czasem powiedzmy wprost: przekupieni.

Często też nie rozpoznaję bokserów, dlatego nasi zawsze muszą być patriotycznie ubrani. Również gdy walczą z Murzynami, bo przecież Murzynów też już naszych mieliśmy i wciąż mamy, choć jeden z moich ministrów wydał kiedyś zakaz bycia Murzynem, ale to przecież było pierwszego kwietnia, w prima aprilis. A i tak wywołało burzę, jak niegdyś reklamy Tigera, których twórcy rzeczywiście mieli nasrane we łbach, choć pewnie to było obmyślone specjalnie na efekt, z założonymi kosztami.

No ale generalnie Murzyna od białego rozróżniam, szczególnie w telewizorze nadającym tylko czarno–białe programy. Ale dziś będzie kolorowo. Dziś będzie szczególnie – mówi mi przeczucie i nie mylę się, bo gdy już zasiadam i się zaczyna ten boks, czuję jakąś wielką ekscytację, bokserzy wychodzą, rozpoznaję wnuka Alego i Kliczki też rozpoznaję, choć obaj mają te same stroje przy wyjściu i obaj na rękawicach specjalne pokrowce, na których widnieje tak dobrze znany mi napis: SOLIDARNOŚĆ. Wznoszą te rękawice do nieba, a potem spiker mówi coś po angielsku, coś o Solidarności i ja trochę żałuję, że nie znam angielskiego, bo chciałbym akurat zrozumieć, co mówią. A potem przestaję żałować, bo zaraz po moim nazwisku słyszę nazwisko Bolka i wcale tego nie chcę słyszeć, szczególnie że mojemu towarzyszą gwizdy, a bolkowemu oklaski.

Zaczynają się lać. Naparzają się po mordach jak trzeba. Aż podskakuję, zadaję ciosy z nimi, raz z Kliczką, raz z Alim, bo sam nie wiem, komu kibicować. Niby lepiej Amerykaninowi, ale to Murzyn. Biały Kliczko za to Ukrainiec, a ja przecież jeszcze Wołyń pamiętam, do śmierci nie zapomnę. No więc lepiej Amerykańcowi, ale wtedy mi się przypominają te filmy z dzieciństwa o Hiroszimie i lekcje, na których trzeba było się kulić pod ścianami, chronić przed wybuchami, po których się bałem tak, że sikałem w łóżko i Grzegorz musiał mnie pocieszać słowami:

– Głupiś, to tylko tak na niby, dla zgrywy. Wojny atomowej nigdy nie będzie, boby się musiał jakiś wariat dorwać do guzików, a na to przecież ludzie nie pozwolą, tak głupi ludzie przecież nie są, no chyba że są.

I czasem mam sen, że się do nich dorywam, mam sen, że mamy te swoje pociski i je potrafimy skierować to tu, to tam, a ja siedzę sobie nad guzikiem i… wtedy się budzę. I myślę sobie: dobrze że nie mamy ani bomb ani guzików, bo jakaż to odpowiedzialność i jakież ciężkie sny.

Ali tańczy przed Kliczko, ten nie może go trafić, choć próbuje ze wszystkich mocy, z wściekłością byka naciera, sierpy śle i cepy, a jak te

cepy idą, to mnie głupia myśl nachodzi: skoro Amerykańcowi się nie należy, a Ukraińcowi wstyd kibicować, to może jakiemuś ruskiemu by można. Co z tego, że ruski zabójca, że Katyń, że Grzegorz…

Wtedy myślę o Tonim i tej jego maszynie z „Rzeczywistości”. Może ona działa. Ktoś ją włączył i programuje nasze życie po swojemu, zupełnie nieprawdziwie, ono się toczy jakoś inaczej, nie ma go takiego, jakim go widzimy, jest zupełnie inne, bo przecież ja nie mógłbym pomyśleć o tym, żeby ruskiemu kibicować, nawet jakbym miał taki wybór, że samo zło, jak mają prawie wszyscy wyborcy co cztery czy co pięć lat, jak tam sobie chcecie. Ruskiemu nigdy, byle nie ruskiemu.

I wówczas nadchodzi dwunasta runda, decydująca, bo walczą znów po dwanaście rund, a nie tak jak nakazałem u nas, po dwadzieścia albo dopóki jeden nie padnie, więc oni walczą tradycyjnie dwanaście, i wiem, że coś się wydarzy, że albo Kliczko w końcu trafi, albo Ali się odwinie, skontruje i pośle białego dyszla na dechy i widzę tę akcję, Kliczko podchodzi krok, robi zwód lewą, napręża się cały, bierze zamach prawą i posyła ten swój zabójczy sierp doktora młota, ale zręczny magik Ali w tym samym momencie też czyni unik, też się zamierza i też prawym sierpem, i te dwa sierpy zmierzają do głów bokserów jednocześnie, prawy na prawy i wtedy…

Trach.

Ciemność.

Jakbym to ja dostał od jednego albo drugiego.

Nic nie widać, nic nie słychać, nawet oczy Liwii w ciemnościach nie błyszczą.

Prąd, myślę sobie, wyłączyli. Jak kiedyś, zawsze w najlepszym momencie wyłączali. A kiedy nie wyłączali i był na przykład mecz, jak w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym w Niemczech, i Polacy strzelali, gol za golem strzelali, tylko nie na zdradzieckim niemieckim wodnym boisku w oszukanym półfinale, to jak nie wyłączali prądu, w czasie bramki mama przychodziła i stawała przed telewizorem, żeby z szafki wyżej wyciągnąć coś, co jej w ogóle nie było potrzebne, i wtedy tata najbardziej się wściekał i musiał zapalić, a palił już wtedy jak smok, co go w końcu po latach zabiło, choć on upierał się, że to nie przez dym, tylko przez nas.

Zaraz, to nie moja rodzina, nie mój tata. Mój tata nie palił. Palił jak smok. Coś mówi. Rzeczywistość – myślę.

Ale przecież ja tu boks oglądałem, o Alim miało być i jeszcze o Kliczce, a nie o mamie i tacie, prawda czy nieprawda, jasno czy ciemno?

Kiedy boksu też nie ma, choć prąd jest. Bo ten „trach” to nie prąd. On tylko na chwilę przygasł, a telewizor zaszumiał, zachrobotał i zamiast boksu (kto wygrał, kto?) pojawia się na ekranie nie kto inny, tylko ja sam, we własnej osobie, choć to przecież nie mogę być ja, bo ja siedzę tutaj i Alego z Kliczko oglądam, chyba że to ja archiwalny, ale pokazane jest „na żywo” (priamoj efir). Patrzę więc zdumiony i słucham, jak spiker zapowiada:

– Przerywamy program, żeby podać niezwykle ważne przemówienie Towarzysza Naczelnika.

No i kamera już pokazuje tylko mnie. A ja cmokam, raz i drugi, a potem nabieram głęboko powietrza i mówię:

– Obywatelki i obywatele! Zwracam się dziś do Was jako Naczelnik i jako wódz Polski. Zwracam się do Was w sprawach wagi najwyższej.

Pauza. Długa, zdecydowanie za długa chwila ponurej ciszy, a następnie równie smutne, a jednak mocne:

– Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów polski dom ulega ruinie. Struktury państwa przestają działać. Gasnącej gospodarce zadawane są codziennie nowe ciosy…

Narzekam na warunki życia (jakiż to przytłaczający ciężar), na linie bolesnych podziałów, przebiegających już nie tylko przez zakłady pracy i szkoły, ale przez każdy polski dom, na konflikty, nieporozumienia i… NIENAWIŚĆ, co sieje spustoszenie psychiczne i kaleczy tradycje tolerancji, na terror, pogróżki, samosądy moralne i fizyczne, na falę zuchwałych przestępstw, napadów i włamań, na rosnące milionowe fortuny rekinów podziemia gospodarczego, na chaos i demoralizację.

– Naród osiągnął granice wytrzymałości psychicznej. Wielu ludzi ogarnia rozpacz. Już nie dni, lecz godziny przybliżają ogólnonarodową hatakumbę – wieszczę, a następnie z narastającym smutkiem przelewam czarę goryczy, mówię o cierpieniu, o historii, potknięciach i wnioskach, trudnościach i wytrwałej pracy, dobrej woli i cierpliwości, szansach i reformach.

Milknę, a w uszach rozlega się przerażająco przykry szum, który narasta i narasta, zalewa mój umysł niepokojem i drżeniem. Bo nadzieje zawiodły, nie przyszło otrzeźwienie.

– Jak długo ręka wyciągnięta do zgody ma się spotykać z zaciśniętą pięścią? – pytam zatem z ciężkim sercem, z ogromną goryczą, bo przecież mogło być inaczej. Powinno być inaczej. Ale dalsze trwanie obecnego stanu prowadziłoby nieuchronnie do katastrofy, do zupełnego chaosu, do nędzy i głodu.

W tej sytuacji bezczynność byłaby wobec narodu przestępstwem – grzmię dalej i przekonuję: trzeba powiedzieć: dość! Trzeba zapobiec, stanowczo zagrodzić drogę konfrontacji. Awanturnikom skrępować ręce, zanim wtrącą ojczyznę w otchłań bratobójczej walki.

– Obywatelki i obywatele! Wielki jest ciężar odpowiedzialności, jaka spada na mnie w tym dramatycznym momencie polskiej historii. Obowiązkiem moim jest wziąć tę odpowiedzialność…

Zaraz, myślę, przecież to już było. I nie ja wymyśliłem. Nie ja mówiłem. Toni, to twoja robota? To jest ta twoja „Rzeczywistość”?

Rozdział 8

Chłopak miał niespełna siedemnaście lat, gdy zabił ojca. Ze strachu i nienawiści. Bał się, że nie poradzi sobie ze starym, nienawidził go za całe swoje młode życie, lata upokorzeń, bicia, cierpienia. Tego dnia wrócił później niż zwykle i zastał mamę ledwie żywą, pobitą tak mocno, jak nigdy dotąd, choć bicie było normą, a nie przypadkiem.

Ojciec siedział przed telewizorem i udawał, że nic się nie stało, no bo przecież – z jego perspektywy – dzień był jak co dzień.

Młody wyznał śledczym, że zastanawiał się, czy ojciec zdąży wstać i się bronić, wtedy może plan by się nie udał. Ale nie wstał. On wziął żelazko z łazienki, (stało na desce do prasowania, było takiego starego typu, miało odczepiany kabel, którym to kablem czasem też posługiwał się ojciec), podszedł na dwa kroki, zamierzył się, czekał chwilę aż stary zareaguje, ale nie zrobił tego, siedział i pił piwo. Chłopak przestąpił z nogi na nogę, zacisnął zęby i uderzył. Walnął najsilniej jak umiał. A potem powtórzył. Sto razy powtórzył, aż już nie miał siły. Ojciec nie krzyknął przy tym pierwszym uderzeniu, potem może trochę wzdychał, może stękał, może wstrząsały nim drgawki, syn nic takiego nie pamiętał. Uderzenia były nieco głośniejsze niż telewizor.

– O Jezu - powiedziała matka, gdy dużo później weszła do pokoju.

Syn siedział wtedy i przełączał kanały w telewizorze. Taki spokojny, jak nigdy. Mógł sobie w końcu pooglądać satelitarną telewizję, którą wcześniej ojciec trzymał tylko dla siebie. Ale przecież nie zabił ojca dla telewizji.

* * *

Zapamiętałem tę sprawę chyba najbardziej, bo była tak wieloznaczna i charakterystyczna dla społecznych podziałów. Ojciec brutal, ale jednocześnie jedyny żywiciel, matka pogodzona i potulna, znosząca razy i humory, syn bez perspektyw, niewykształcony, za to z charyzmą,

zdolnościami, potencjałem, którego społeczeństwo nie potrafiło właściwie wykorzystać.

Ten chłopak w więzieniu zrobił doktorat i pobił wszystkie możliwe rekordy. Gdyby państwo (wówczas jeszcze socjalistyczne) potrafiło go dostrzec, otoczyć opieką na czas, zareagować na patologię, może byśmy mieli jakiegoś mistrza świata w tej czy innej dyscyplinie, a może tylko naukowca czy innego wynalazcę. Ale państwo wolało nie widzieć tragedii (udawało zresztą dość skutecznie, że w socjalizmie patologii nie ma, bezrobocia nie ma, prostytucji nie ma, bezdomności nie ma, a nawet pijaństwa… no dobra, z pijaństwem walczyło, przynajmniej dla pozorów). Przeszło zatem nad losem chłopaka do porządku dziennego, modląc się jakby w duchu, żeby tylko nic gorszego się nie wydarzyło.

Byłem adwokatem społecznym w kancelarii starego opozycyjnego wygi, który uważał, że należy zmieniać socjalizm czynem i własną pracą a nie demonstracjami i niewiele (jego zdaniem) wnoszącymi protestami. Owszem, był za, popierał je, ale tylko oficjalnie. W kuluarowych rozmowach nie wierzył w ich sens.

– Socjalizm się nie skończy. Możemy tylko zmieniać jego oblicze. Możemy cywilizować system, naprawiać sądownictwo, eliminować patologie i pokazywać, że one istnieją, że jest z czym walczyć także w socjalizmie…

Chciałem poprawiać Polskę po swojemu. To źle? Niektórzy mówią, że tak, bo Grzegorz wtedy już robił polityczną karierę, wchodząc do szefostwa opozycji. A gdzie ja byłem? Poszukiwacze haków na mnie twierdzą, że wysługiwałem się władzy. Że to moje jeżdżenie po prowincji i interwencje w sprawach zwykłych ludzi były wysługiwaniem się komunistom.

Utrwalałem – ich zdaniem – system zła, bo naprawiałem jakąś jego część.

Dlatego niby nie aresztowali mnie podczas Stanu Wojennego. Pasowałem im do schematu: oto jest wzór patriotycznego oporu przeciw władzy. Krytyk, który zamiast wzniecać niepotrzebne strajki, siać ferment, namawiać do buntu i agresji, podkopywać fundamenty prospołecznego państwa, niszczyć gospodarkę, wysługiwać się hochsztaplerom i malwersantom, stwarzać pole do nadużyć, zamiast tego zła, czyni dobro. Walczy z patologią tak jak powinien patriota, pomaga ją eliminować. Nawet jeśli przy tym ma nieszczere (antysocjalistyczne) intencje, to jest przykładem na zwycięstwo dobra nad złem.

Jedna z gazet, kierowana przez przyszłego prezydenta kraju, napisała taki okropny paszkwil porównujący mnie z bratem, tak naprawdę usiłujący skłócić mnie z nim i całą opozycją.

„Dwaj bracia opozycjoniści. Jeden nierób, pijak, nałogowy palacz i dywersant z fałszywym sztandarem i populistycznymi hasłami na nim, drugi cichy i pracowity prawdziwy patriota.”

Ile razy potem krzyczano: Grzegorz walczył, Naczelnik pozorował, utkał sobie ciepłe gniazdko, zamiast nadstawiać głowę, ryzykować karierę, był pupilkiem komunistów, głaskali go po główce (i pupce) zamiast wysyłać na ścieżki zdrowia.

Ale to zaczęło się dużo później, bo dopóki byłem grzeczny, nikt nie grzebał mi w przeszłości. Zawsze tak jest: grzeczni idą do przodu, brną może wolniej, ale znacznie spokojniej. Przestałem być grzeczny i od razu mi się dostało. Idź precz, zdrajco – napisał jeden z radykalnych działaczy, gdy potem postawiłem się Bolkowi. Prawie wszyscy go wówczas poparli. Miałem wrażenie, że i Grzegorz też miał ochotę stanąć przeciw bratu z dawnymi kolegami. Ale ostatecznie dobrze wybrał. Wybrał drogę, która doprowadziła go do najwyższych zaszczytów. I do śmierci.

Ach, jakże mi się cisnęła na usta kąśliwa riposta dla tych potakiwaczy i gloryfikatorów wielkiego Grzegorza: tak, Grzegorz walczył pijąc litrami i paląc paczkami z Bolkiem i innymi, podczas gdy ja babrałem się w proletariackiej krwi i odchodach.

* * *

Sto spraw. Sto różnych historii, każda na swój sposób tragiczna. Większość nie związana z polityką, ale czy to znaczy, że miałem tym ludziom odmówić.

Odmówić dziewczynie, która wyjechała do Niemiec do pracy ze starymi ludźmi, ale ze względu na urodę bardziej nadawała się do sprzedawania własnego ciała, a po powrocie została wyklęta przez brata od dziwek, poturbowana i w przypływie szału dźgnęła go nożem? Tylko raz, w samoobronie, a pozostałe razy z nienawiści do całego świata.

Czy może staremu mężczyźnie, który chciał przenocować na gospodarce u starego znajomego, ale ten z bratem i siostrą uznali, że można go okraść i on w samoobronie ich pozabijał?

A może robotnikowi, którego napadnięto zaraz po wypłacie, lecz on był silniejszy od tych trzech, a ci trzej partyjni, gdy on nie?

Polityczne sprawy czy nie polityczne? Ludzkie czy nieludzkie?

Był kiedyś taki marynarz, co mi powiedział, że nie powinienem go bronić, bo on jest zły komunista, jest obrazem całego zła systemu. Od dziecka koniunkturalista. Potomek członków partii, nieochrzczony, niekościelny, całe życie zgodnie idący w duchu socjalizmu.

Dzięki temu szkołę oficerską skończył, papiery dostał, paszporty, zgody wymagane, podpisał co należało i popłynął do Ameryki, a tam zobaczył inny świat. Nie tyle mu się spodobał, co wywrócił cały system wartości. Okazało się, że przez lata żył, dorastał w jakiejś wirtualnej, przesadnie wynaturzonej nierzeczywistości.

Zszokowany zabił kapitana i próbował porwać statek, ale Ameryka okazała się niegodna, nie dość że mu nie pozwolili zostać, to deportowali jako zbrodniarza. Było mu bardzo przykro, że się tak po raz kolejny zawiódł na systemie, sądził, że powinien ponieść właściwą karę.

Ja też tak sądziłem, ale to nie znaczyło, że mogłem odmówić mu pomocy. Każdy człowiek zasługiwał na prawo do obrony. Każdy powinien mieć sprawiedliwy proces. Wtedy tak myślałem. Może myślę tak do dziś, tyle że życie zweryfikowało pojęcie sprawiedliwości.

Sądy nie skazywały sprawiedliwie, skazywały z duchem państwa. Nie byłem w stanie tego zmienić, postanowiłem więc, że będą skazywać z moim duchem. Nie przewidziałem, że to droga donikąd, bo przecież po mnie ktoś musi przyjść i ten ktoś nie musi być już tak dobry, a wielce prawdopodobne, że będzie zwyczajnie zły.

Pamiętam też taką sprawę przypadkową, niepolityczną, gdy zadzwonił do mnie jakiś drwal i powiedział, że przypadkiem zabili milicjanta w lesie. Milicjant ich sprawdzał, dokumentował coś, potem jakoś się zawieruszył, oni myśleli, że pojechał z powrotem, a on pijany zasnął pod drzewem. Przygnietli go pniakami zupełnie przypadkiem, a kiedy zobaczyli, było za późno, żeby ratować. Trzeba dzwonić do adwokata, powiedział jeden z nich, najmądrzejszy, członek Solidarności, żeby nas przykładnie politycznie nie skazali. Wynegocjowałem dla nich ugodę z prokuraturą, całkiem niskie wyroki, dodatkowo w zawieszeniu, a sprawa została załatwiona cicho, można powiedzieć polubownie.

Pięć lat później jeden z tych uratowanych zadzwonił do mnie i zażądał kilku tysięcy dolarów za milczenie.

– Inaczej powiem, co pan zrobił – zagroził.

– A co niby zrobiłem? – Zapytałem.

– Jak to co? Układał się pan z komuchami. Współpracowałeś pan.

– Dla moich klientów. Wam negocjowałem lepsze wyroki.

– Ja tam nie wiem, jak było, ale wiem, że tak negocjować to mógł tylko TW, więc pan byłeś TW, płacisz pan, albo idę do gazet.

Poszedł i sprzedał im te opowiastki, ale głupio wpadł, bo od nich też chciał pieniądze, przez co stał się niewiarygodny. Zadzwonił do mnie jeden redaktor i powiedział o tym, powiedział też, że mimo że mnie nie lubią w tej gazecie i on osobiście też mnie nie lubi ani nie ceni, nie wykorzystają tego materiału z powodu niewiarygodności źródła informacji.

– Swoją drogą to niezły paradoks – zakończył redaktor. – Ty mu załatwiłeś wolność, brak odsiadki, zrobiłeś dla niego tyle rzeczy jak trzeba, ale gdybyś się nie wywiązał, zaniechał, albo podkręcił na drugą stronę, żeby dostał ten wyrok wyższy, jak wielu czerwonych by zrobiło, to dziś ten chłopak i jego kompani byliby bojownikami, bohaterami, pewnie każdy zrobiłby karierę. W sumie, obiektywnie rzecz biorąc, skrzywdziłeś ich pomagając. Tyle że nikt już się o tym nie dowie. Cześć.

Ale i tak najbardziej zapamiętałem sprawę Huberta Loski. Broniłem tego człowieka jakoś w osiemdziesiątym trzecim czy czwartym. Loska uciekł z transportu policyjnego. Przybiegł do mojego terenowego biura, poprosił o pomoc, twierdząc, że chcą go zabić.

Sam był oskarżony o zabójstwo. Pracował jako technik w zakładach mięsnych, gdzie dochodziło do regularnych kradzieży, ale nikt nikogo nie denuncjował. W zakładzie panowała zmowa milczenia, pracownicy kradli, szefostwo przymykało oko, byli zadowoleni. Strajki odbywały się na podobnej zasadzie, tylko więcej się wtedy kradło.

Ale ten mój klient nie chciał kraść, zapalił się bardzo do opozycji, zapatrzony w kilku przywódców, ale jak wyznał (być może kłamliwie) najbardziej w Grzegorza. Słuchał jego płomiennych mów i uwierzył, że czynny aktywny udział w ruchu oporu, to jego misja. Zaczął więc na zakładzie organizować prawdziwą Solidarność, nie taką dogadaną z komunistycznymi władzami, bez agentów bezpieki i tajnych współpracowników (ależ był naiwny). Próbowano go oczywiście od razu spacyfikować, podpuścić, namawiano na różne akcje zbrojne, które by szybko skutkowały aresztowaniem i rozbiciem całej tej śmiesznej organizacji, ale on był mądry.

Wyznał mi, że za sprawą Grzegorza i Ducha Świętego doznał objawienia. Oczywiście będziecie się śmiać i nie wierzyć, ja też początkowo myślałem, że ten człowiek jest albo szalony, albo nawiedzony. Ale po kilku godzinach opowieści powoli zmieniałem zdanie (choć nadal z ograniczonym zaufaniem).

Loska twierdził, że Duch (za pośrednictwem tajemnych znaczeń pomiędzy słowami Grzegorza) przekazał mu, że najskuteczniejszy jest bierny, pokojowy ale wytrwały opór z mocną podstawą programową (ależ to brzmi). Przekonywanie, rozmowa, argumenty. Tak robił i szybko zyskiwał poparcie nie tylko na zakładzie, ale też w regionie, a potem w całej Polsce. Zadziwiające, ale gdy pytałem o Huberta innych adwokatów reprezentujących ludzi Solidarności, oni rzeczywiście o nim słyszeli.

– To taki Jezus Chrystus. Mówi, że liczy się dobro, że zła nie ma, że tylko brak dobra umożliwia wygraną zła, ale zawsze to można naprawić czyniąc dobro.

Podsuwali mu dziewczyny, próbowali różnych prowokacji, na nic. Hubert Loska był święty.

Pewnego dnia zaprosił go na rozmowy sam sekretarz partii w regionie. Podjął go kolacją i zaczęli rozmawiać niczym Poncjusz Piłat z Chrystusem. Sekretarza bolała głowa, a Hubert go uleczył. Można powiedzieć, że się zaprzyjaźnili, bo jak wyznał mi Hubert, ten sekretarz to był „dobry człowiek”, zresztą jak wszyscy dobrzy ludzie. Sekretarz miał duży dom, było już późno, więc zaproponował, żeby Hubert został na noc. Ten się zgodził, choć niechętnie. Rankiem zorientował się, że coś jest nie tak. W całym domu było pełno krwi. Sekretarza zastał zamordowanego, podobnie jak jego żonę i dwójkę dzieci. Nie zdążył wyjść, gdy pojawiła się milicja zaalarmowana anonimowym telefonem o niekreślonym głosie.

Prowokacja wydawała się doskonała, ale podczas wizji lokalnej ustalono, że Hubert nie mógł działać sam. Musiał ktoś mu pomóc. Oskarżenie powoli się rozsypywało, więc podczas transportu przy wizji lokalnej, konwój się zatrzymał, a milicjanci kazali mu uciekać. On odchodził, wiedząc, że nie może odejść, że to kolejna prowokacja, ale zaczął się modlić i o dziwo, żaden z policjantów nie mógł go trafić, choć każdy strzelał.

W ten sposób uciekł i dotarł do mnie.

Nie wiem, co było prawdą w tej opowieści. Rzeczywiście dużo w oskarżeniu nie trzymało się kupy, mimo to nie udało mi się go wybronić. Został skazany na karę śmierci, choć szczęśliwie jej nie wykonano.

W nowej Polsce udało mi się przekonać prezydenta (za pośrednictwem Grzegorza) żeby ułaskawił Huberta Loskę. Ale nie miałem odwagi, by pojechać do więzienia i uścisnąć mu dłoń.

Ta historia ciągle krąży mi po głowie, nie daje zasnąć, budzi koszmarami, ale nie z powodu jej zakończenia, o którym nie chcę tu wspominać i które dawno wymazałem z głowy, a podobieństwa do zupełnie innej sprawy. Sprawy Lwa Dawidowicza, mistyka, który początkowo był rzekomo moim najwierniejszym poplecznikiem, by po czasie stanąć na czele fali protestów przeciw mojej dyk… mojej władzy.

Dziś dość często wspominam tego człowieka. Zawsze, gdy jestem przygnębiony i samotny, próbuję sobie przypomnieć nasze wielogodzinne dyskusje tuż przed wyrokiem, jaki zapadł w jego sprawie. I zawsze kończy się to tak samo. Zrzucam winę na Toniego, Marcela albo Birkuta.

Ale to ja jestem winny najbardziej. Kto wie, może oni są bez winy, bo gdyby nie ja, nigdy nie dostaliby takiej władzy, jaką dostali. Jaką ja im dałem.

* * *

Toni Bródka któregoś dnia (kiedy jeszcze żył i nie był skazany na śmierć) wpadł w amok. Obudził się wcześniej niż zwykle, szybko poszedł wybiegać to za wczesne przebudzenie, następnie zjadł podwójne śniadanie, wypił trzy kawy, kubek mleka i odrobinę czegoś mocniejszego, jeszcze bardziej się nakręcając i akumulując nadmiar energii, w końcu wypalił:

– Nie było żadnego zamachu!

Załamanie. Trwało krótko, raptem parę godzin, ale w tym czasie Toni zepsuł, co przez lata budował. Zadzwonił najpierw do Marcela i wyznał mu, że nie jest w stanie dłużej oszukiwać społeczeństwa.

– Ten cały mój zespół nadaje się na pastwisko i do obserwacji kóz. Nie znają się kompletnie na mgle, brzozach i silnikach wysokoprężnych. Zupełnie nic nie wiedzą o wypadkach. Nie mogą potwierdzić czegoś, o czym pierwszy raz słyszą, choć bardzo chcą. Bo przecież wiara jest najważniejsza, a żaden katolik nie chce być Tomaszem. To znaczy każdy chce wetknąć paluch, ale w sumie to wstyd. Sądzę, że oni się naprawdę wstydzą. Już wolą być Judaszami, bo przecież ostatecznie Judasz nie był taki zły, zrozumiał swój błąd i poniósł zasłużoną karę. Ja się wstydzę.

Trzeba to raz na zawsze wyjaśnić, na chwałę Najświętszej Panienki Zawsze Dziewicy.

– Uspokój się, nie dzwoń więcej do nikogo, włącz jakiś film, pierwszy z brzegu, zaraz będę.

Zanim Marcel przybył do Toniego, ten zadzwonił jeszcze do mnie i powiedział:

– Grzegorz zginął jak bohater, jest bohaterem.

– Wiem – odparłem.

– Ale to nie był zamach.

– Wiem.

– Nie mogę dłużej kłamać.

– Rozumiem.

– Oddaję się do dyspozycji.

Rozłączył się. Potem obejrzał taki amerykański film fabularny o prawdzie, którego tytułu nie pamiętam. Ale to był film o tym, że ludzie naprawdę chcą odkryć prawdę, potrafią poświęcić jej życie, oddać całych siebie, ale tak naprawdę najważniejsza w tym jest ich ambicja, a nie ta niesłychanie istotna prawda. Oni to robią po to, żeby osiągnąć sławę. Z egoizmu. W sumie wszystkimi kieruje egoizm, więc to coś złego? Jednak Toniego wzięło.

– Nie chcę być oszołomem – wyznał Marcelowi, gdy ten już przyjechał. – Jeden z moich ekspertów przyznał mi się ostatnio, że napisał doktorat o broni atomowej, choć nie jest fizykiem i w ogóle niewiele na jej temat wie. Ale w wielkiej Ameryce, kraju pięknych snów, wystarczy, że masz wizje związane z danym zagadnieniem i już możesz sobie pisać doktoraty. Ekspert więc stwierdził, że napisze doktorat o Hirosimie i jej wpływie na ludzką psychikę, bo jako dziecko śniło mu się, że jest jedną z ofiar bomby, a odgrzebał gdzieś, że jego dziadek był rzeczywiście Japończykiem, co prawda nie zginął od wybuchu bomby, w ogóle nie zginął podczas wojny, ale co to przeszkadza. No więc on wydał pracę o wpływie bomby i programów atomowych na psychikę, a i tak zakwalifikowano doktorat jako z dziedziny fizyki, a nie nauk społecznych czy psychologii. Powiedział mi, że trochę mu głupio, że o tym nie uprzedził i w zasadzie, że nie zna się na tym, na czym powinien się znać, ale teraz to jeszcze bardziej głupio mu się przyznać. Szczególnie po tym, jak wybuchła ta afera dotycząca komisji bankowej, w której jednym z ekspertów był profesor od socjologii (a nie ekonomista), który owszem, specjalizował się w kapitale, ale kapitale…

ludzkim (nie finansowym) i choć można było polegać na nim jak na Zawiszy, to jednak wstyd, wstyd. No ale poza tym przecież wiadomo, że to był zamach, bo jak miał nie być, skoro była i sztuczna mgła, i sztuczne brzozy, i sterowanie, i w ogóle. Nie jestem oszołomem – powtórzył.

Niestety i tak nim pozostaniesz – pomyślał zapewne Marcel, ale głośno powiedział:

– Jesteś naszą nadzieją, jesteś ostatnim templariuszem dążenia do prawdy. Twoja wiara nie ma tu nic do rzeczy, ty masz tylko pilnować, by prace przebiegały jak należy, by naukowcy mieli możliwość niezależnych badań. Przecież to jest najważniejsze. Niech każda strona ma możliwość wypowiedzenia własnego zdania. Tamci mają swoich ekspertów, może i uznanych, doświadczonych, ale to są eksperci establishmentu, skundleni w swojej niemoralności, przetrąceni i niewierzący. My musimy mieć swoich, nawet jeśli nie mają takich doświadczeń, ale przecież kierują się sercem. To ono jest najważniejsze. Zatem, wyrównajmy szanse ekspertów. A co z tym się dzieje dalej, to już nie twój problem.

Toni Bródka tracący wiarę w zamach mógł być naszym największym kryzysem wizerunkowym od lat. Znacznie poważniejszym od tych drobnych wpadek z powodu młodości naszych posłów, ich jurności czy zwykłego braku taktu lub doświadczenia.

Na szczęście przespał się, spało mu się po rozmowie z Marcelem lepiej, a gdy wstał, zapomniał, jakby to się w ogóle nie wydarzyło. Gdy potem pytano go o ten incydent, spoglądał w niebo, jakby przeszukiwał biblioteki pamięci pod natchnieniem Najwyższego, po czym kłamał jak z nut:

– Nigdy takie zdarzenie nie miało miejsca.

Wielokrotnie zapierał się, że nie stracił wiary w zamach. Zawsze z góry wiedział, że on miał miejsce. Nie ważne fakty, dowody, opinie, świadkowie. On po prostu wiedział.

Toni Bródka był jak profesor Woland i cała jego wesoła kompania. Potrafił wyczarować cokolwiek zapragnęli ludzie, ale zawsze istniało ryzyko, że zrobi przy tym jakiegoś psikusa, jak wtedy, gdy pomylił samolot amerykański z rosyjskim, a w Moskwie upierał się, żeby zawieziono go do Białego Domu, a nie na Kreml, co też niezwłocznie uczyniono, tyle że profesor Strawiński nie zechciał przyjąć naszego bohatera, uzasadniając, że dyplomatów, polityków i innych cynicznych symulantów nie bada i nie traci na nich czasu, bo jest naukowcem poważnym, zapracowanym,

oddanym swojej pasji odkrywania mroków ludzkiej duszy. A ten wariat co odpowiedział?

– Gdybym miał pana, panie profesorze, w swojej komisji, prawdę odkryłbym już po roku, a nie po trzydziestu latach.

Wtedy, po tym, jak uspokoił Toniego, Marcel przyszedł do mnie i szepnął:

– Czasem wydaje mi się, że Toni jest takim Mistrzem, ale jeśli kiedyś utną mu głowę niczym Berliozowi albo urwą jak temu konferansjerowi Żorżowi czy innemu Bengalskiemu, wierzyć nie przestanie, tyle że może mieć chwile załamania, ale te już poza nami.

Najzabawniejsze, że Marcel nie czytał „Mistrza i Małgorzaty”, bo czytywał tylko donosy. Zwyczajnie mistycznie wiedział, co należy w danej chwili powiedzieć.

Rozdział 9

Tu, na prowincji, nic nie dzieje się gwałtownie. Panuje spokój i cisza. Atmosfera jest wręcz sielska, tym bardziej, że pogoda sprzyja. Upały minęły, nie błyska już, burze w zasadzie nie występują, a jeśli, to tylko w oddali, grzmi trochę, potem cichnie, zdecydowanie się przejaśnia.

Żołnierze też tacy mało nerwowi. Gdy grzmiało częściej, obsadzali stanowiska, szykowali się do ewentualnego szturmu, jakby z burzą miał przyjść atak, napad czy inna nawałnica, pilnowali procedur, repetowali broń na każdy podejrzany dźwięk, mierzyli do wróbli, przeganiali jaszczurki i węże, które podpełzały z lasu pod mur, bo żmij się namnożyło, oj, namnożyło.

Teraz snują się niechętnie, od wachty do wachty, myśląc tylko jak tu się urwać do Krychy czy Gochy, którą poznali w remizie na sobotniej zabawie i której nie obchodzi zupełnie, że ich orzełki na czapkach nie mają koron.

To jest ten szczegół. Szczegół, który tak mnie zmroził, gdy tu przyjechaliśmy i który będzie mnie męczył, dopóki o niego nie zapytam Waldemara lub Mirki czy kogoś innego, a wiem, że zaraz zapytam, bo zapytać trzeba.

Tylko dlatego jeszcze tego nie zrobiłem, bo wiem, że miewałem różne przywidzenia. Wydawało mi się na przykład, że białe jest czarne a czarne białe. Na dodatek nie potrafiłem wyławiać z tych kolorów szarości.

Kto wie, może teraz też mam jakieś przywidzenia i te orzełki na czapkach żołnierzy mają korony, tylko ja ich nie widzę, więc mógłbym się wygłupić pytaniem o ich brak.

Ale teraz już jestem pewien, więc gdy Waldemar wchodzi tego ranka do mojego apartamentu, pytam wprost:

– Zakazaliśmy koron na orzełkach?

Waldemar chwilę się waha, chyba go trochę strapiłem, zaskoczyłem i nie jest do końca przekonany, co powinien powiedzieć, co chcę usłyszeć i co tak naprawdę będzie dla mnie dobre, bo wierzę, że tak właśnie myśli – chce dostosować swoje odpowiedzi do mojego dobra.

– Nie jesteśmy królestwem, a nawet nie księstwem – odpiera w końcu.

– Ale orzełek bez korony to przecież komuna…

Milczy, coś bąka, na koniec wzrusza ramionami.

– Jest jak jest.

A potem dodaje pocieszająco:

– Nie ty zmieniłeś godło. Lud to zrobił. Twój suweren umiłowany w głosowaniu powszechnym, wolnym… jawnym.

Jawnym! Jawnym? Jak to jawnym?!

– Zgodnie z dekretem czwartego lipca, w dniu najważniejszego święta, święta niepodległości naszego największego przyjaciela, podpisałeś decyzję o zdjęciu z orła korony. Ale byłeś przeciw – mówi, a potem zmienia temat:

– Napiszmy może jakiś list, może do Marcela…

Listy tu się pisze naprawdę dobrze. Mirka namawia mnie do pisania, Waldemar też. Zamierza te listy wykorzystać w książce, a Mirka chciałaby je w książce przeczytać.

– Listy naczelnika to prawdziwa poezja. Takie listy czyta się jak noblistów, lepiej niż Szymborską czy tego wieszczącego samo zło ponuraka Miłosza. Takie listy piszą tylko wielcy pisarze, niezwykli ludzie.

Piszę więc te listy, czytam je nocami Liwii, ale ona już trochę się nudzi, sugeruje, żebym wrócił znów do Vladimira, bo niestety pisanie mi nie idzie najlepiej, także jak piszę do Joanny, jak staram się pisać lirycznie i metaforycznie, to wychodzi jakoś prostacko, jakoś zbyt wprost, a jednocześnie pokrętnie, no i przede wszystkim kłamliwie, bo sam nie wierzę w to, co piszę, ale to już mój ból, oj, ból.

Piątego dnia naszego pobytu w wojskowym ośrodku w końcu coś się zmienia. Przyjeżdża najpierw wojsko, dużo wojska, takiego w czarnych mundurach, specjalnego, świetnie wyszkolonego, widać, że to wojsko nie na niby, po mundurach, broni, po minach, ruchach, zachowaniu, pełnym pewności i odwagi. To są żołnierze, którzy wykonają każdy rozkaz, bo dobrzy żołnierze wiedzą, że rozkaz jest rozkaz, rozsądek, logika, własne przekonania zawsze będą się kłócić z rozkazami, gdyż należą do zupełnie innego zbioru zasad i reguł. Gdyby chcieli mieć własne zdanie, poszliby na filozofię albo socjologię, a jak wybrali bycie elitarnym żołnierzem, mają wykonywać rozkazy.

Ta formacja nie ma orzełków na czapkach, tylko takie dziwaczne romby, w czterech kolorach – czarnym, niebieskim, białym i czerwonym. Nie mogę sobie przypomnieć, co symbolizują, muszę znów kogoś zapytać, ale na dziś

dzień myślę sobie, że to takie oznaczenia czterech stron świata. My jesteśmy jego centrum, nic nie jest nam straszne. Ani wschód, ani zachód, ani północ i południe. Jesteśmy prawdziwą elitą elit.

A potem przyjeżdża On. Czarnym opancerzonym pojazdem przypominającym skrzyżowanie czołgu z wodolotem. Taka amfibia pancerna, z wieżyczkami bojowymi zbrojnymi w automaty maszynowe i wyrzutnie rakiet, obsadzonymi przez żołnierzy po bokach, w środku wygody i luksusy, kanapy w jasnych skórach, barki z napojami i przekąskami, dywany grube, tureckie, tapety radzieckie, mosiądze brytyjskie, wazy z Bombaju, na zewnątrz tony pancerzy, pod pokładem maszynownia potężna, dwa wielkie silniki diesla, jak przystało na jedną z najważniejszych osób w państwie. Ważniejszą ode mnie?

Wysiada powoli, kroczy po rozkładanych schodkach, skromny jak zawsze, ubrany w czarny garnitur, czarną koszulę, jakby miał wieczną żałobę. Smutny jest, zamyślony. Nie rozpromienia się na mój widok. Powaga, jak zawsze, gdy idzie o sprawy wagi najwyższej, państwowe i narodowe. Na twarzy widzę jakiś grymas uśmiechu, ale nie jest to grymas radosny, szczery. Zwyczajny, wyrachowany gest, znaczący przekaz: jestem tu, bo muszę, a nie, bo chcę. Mam coś do załatwienia i nic mi w tym nie przeszkodzi.

Podaje mi dłoń, a potem – jakby po takiej chwili wstrzemięźliwej niepewności – ściska w ramionach. Całujemy się w policzki, w zasadzie dotykamy policzkami, a nie całujemy, ale tak to będzie odbierane i opisywane. Fotoreporterzy robią zdjęcia. Dużo zdjęć. Opadają nas zewsząd i cykają fotki. Są też kamery. No jakże ma ich nie być? Trzeba puścić w świat info. Naczelnik wciąż ma się dobrze, żyje, oddycha, myśli i marzy o wielkiej Polsce. To dla was, ludu pracujący, z myślą o was, waszej przyszłości, waszym dobrobycie i pomyślności. Może kolejne datki dla was szykuje, żeby kupić ostatnie przestrzenie wolności. Nie ma? Nie ma już wolności? A to pewnie nic nie szykuje.

Jest tu, nie uciekł nigdzie. Dzieli i rządzi. Wydaje polecenia. To jego polecenia, jego słuchacie…

Jakie mam wydać tym razem?

– Dobrze cię widzieć, Naczelniku – cedzi przybysz, a ja nabieram powietrza i odpowiadam krótko:

– Ciebie też, Marcelu.

* * *

Przypomina mi się taka historia. Marcel był chyba największym orędownikiem Toniego w moim rządzie jeszcze przed przełomem, przed przejęciem władzy i zmianą konstytucji, potem wielokrotnie stawał za nim murem, uważał Bródkę za wielkiego patriotę, myśliciela, erudytę, męża stanu, nie szczędził dobrych słów i swojego poparcia.

A jednak to on w chwili ostatecznej próby powiedział:

– Zabić zdrajcę!

Osobiście dopilnował, by Toniego błyskawicznie propagandowo skasowano, obsmarowano w wolnych mediach, a następnie skutecznie osądzono i wykonano wyrok.

Są relacje, że rzekomo osobiście nacisnął przysłowiowy spust. W jednej z zachodnich gazet przeczytałem (dostarczono mi usłużnie skan z tłumaczeniem), że zrobił własnoręcznie zastrzyk śmierci, ale przecież to totalna bzdura, bo Toniego ścięto lub powieszono (zależnie od wersji, którą uznajemy za prawdę), więc co najwyżej zwalniał gilotynę lub zakładał stryczek. Ale pojawiła się też relacja, jakoby przed powieszeniem Marcel odrąbał Toniemu łeb siekierą. To też jest niemożliwe, bo jak powiesić kogoś, komu się przedtem odrąbało głowę.

Są też głosy, że Toni był tak wielkim oszołomem i zwolennikiem teorii spiskowych, że przez cały ten czas, jak był u władzy, zbierał informacje o swoich sobowtórach, a następnie zgromadził ich w swoim ministerstwie.

W efekcie, gdy doszło do aresztowania, zatrzymano nie jednego, tylko pięciu Tonich i nijak nie można było dojść, który z nich jest prawdziwy. Marcel rzekomo miał postawić sobie za punkt honoru, żeby to ustalić. Może więc tu tkwi ziarno prawdy w tych plotkach? Może Marcel wykończył wszystkie sobowtóry Toniego, na różne sposoby?

Pytanie tylko, czy wśród nich był właściwy Toni, ten, którego sfilmowaną dwudziestoma kamerami egzekucję pokazano mi (i czy ta egzekucja rzeczywiście dotyczyła prawdziwego Toniego)?

A może prawdziwy wciąż żyje, uciekł gdzieś daleko albo został u profesora Strawińskiego?

Ech, bzdury, bzdury chodzą mi po głowie. Nie wierzę przecież w te dyrdymały, znam prawdę, widziałem ją w telewizji na miłoszowych filmach, których z powodu drastyczności ludzie obejrzeć nie mogą.

Marcel… jest specyficzny, ale to nie psychopata. Jest wyrachowanym, wystudiowanym technokratą.

Spiskowcem i rewolucjonistą doskonałym.

* * *

Nie jest dobrze, nie jest dobrze – myśli Marcel, gdy wyraźnie zatroskany opowiada mi o nastrojach i sytuacji międzynarodowej. W cztery oczy, w moim roboczym emigracyjnym gabinecie tutaj w budynku B wojskowego ośrodka specjalnego, zrzuca z siebie płaszcz pozorów i pewności siebie. Wydaje się znów jak dawniej, szczery i otwarty. Potrzebuje mojej rady, przenikliwości, analizy, długiej, rzeczowej rozmowy.

– Nie jest dobrze. Jest bardzo źle – przyznaje.

Opowiada o demonstracjach, rozruchach, o tym, jak sytuacja wymknęła się spod kontroli najpierw strażnikom i policjantom, a teraz też wojsku. Coraz częściej dochodzi do prowokacji, wybuchów, strzelanin, ataków terrorystycznych. Zadymy przeszły w etap rzucania granatów i budowy barykad. Boi się, jak wtedy, dawno temu, że skończy się to jakimś Majdanem, ale też zapewnia, że tak jak wtedy nie dopuści do tego.

Wygramy, musimy przecież wygrać. Dla Polski, dla przyszłych pokoleń. Nie pozwoli, by ulice znów spłynęły polską krwią, by brat wystąpił przeciw bratu.

– Literaci narkotyzują się, mają kochanki, piją za darmo, korzystają z naszych domów pracy twórczej i dotacji, a jak coś napiszą, to nie tak, jak należy – szepnął dla rozluźnienia, parafrazując tak przeze mnie lubianą wypowiedź Polikarpowa.

– Na dzień dzisiejszy nie mogę wam zapewnić innych pisarzy, towarzyszu – odparłem z uśmiechem słowami, które w rozmowie ze wspomnianym sekretarzem związku pisarzy radzieckich miał rzekomo wypowiedzieć Stalin.

Potem przechodzi do spraw zagranicznych, opowiada o ruchach wojsk na granicy niemieckiej, o kolejnych unijnych sankcjach i amerykańskich groźbach rzucanych jak zwykle na wiatr, tak jak wcześniej składano obietnice.

O Rosji tylko nie mówi. Rosja to temat tabu, więc ja też go nie poruszam. Rosja… to dobry wróg, ale daleki, lepiej znaleźć sobie kogoś bliżej. Wróg powinien być zarazem groźny i wielki, jak też słaby i łatwy do pokonania.

Wyolbrzymiajcie swoich wrogów tak, by potem budować większą chwałę, gdy już ich pokonacie.

Kiedyś dla narodowców dobrzy na wroga byli Żydzi (och jacy wielcy, groźni, tajemniczy, a jacy łatwi do spacyfikowania), dziś też to działa, ale ja brzydzę się antysemityzmem, więc wrogów szukam gdzie indziej, a w końcu wciąż jest parę środowisk dobrych na wrogów.

Tacy artyści na ten przykład, poeci, geje, innowiercy, uchodźcy. Jacy to oni groźni, jacy niebezpieczni, jacy niepokorni, a jak łatwo się ich pozbyć. Wystarczy tylko odpowiednio pokierować nienawiścią i już, szast prast, wyborców mamy za sobą i bat ukręcony, mocny, sprawiedliwy, nieuchronny, satysfakcjonujący.

– Szkoda że nie mamy już Dawidowicza.

Patrzy na mnie jakby z wyrzutem, jakbym to ja zdecydował o losie Dawidowicza, a nie on z Tonim.

Zastanawiam się, czy zamierza obarczyć mnie winą za ten błąd. A może po prostu szuka oparcia, jak ja szukałem, gdy się waliło. Może nie jest w stanie podołać z powołaniem, utrzymać na barkach ciężaru władzy, którą mu powierzyłem, przekazałem, namaszczając na następcę.

A może….

* * *

Nie pamiętam, czy pierwszy raz usłyszałem imię Lwa Dawidowicza tuż po pierwszym czy po drugim, skutecznym ataku na sądy, ale jestem pewien, że wypowiedział je Waldemar i stało się to w siedzibie Partii na Siennej.

Poczekał, aż z gabinetu na drugim piętrze (tego, do którego wstęp mają tylko ministrowie i najbliżsi współpracownicy) wyjdą Marcel z Birkutem, minął Toniego i innych oczekujących ministrów zgrabnym fortelem (ja tylko na chwilę), posłał olśniewający uśmiech Mirce, która zawsze pilnowała kolejki (i uważała, że szacunek dla ludzi wymaga, by nie było odstępstw) i wślizgnął się jak wąż przez uchylone, ciężkie drzwi, które następnie zamknął na zasuwę.

– Żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Przycisnął dodatkowo palec do ust, by uśmierzyć ewentualny protest (nie zamierzałem oponować) i dać znać, że to naprawdę coś ważnego. A potem nachylił mi się do ucha i rzucił krótko:

– Jest. Pojawił się.

Lew Dawidowicz. Gdy wypowiedział to nazwisko w zasadzie uznałem, że nie ma czym się przejmować. Jedyny człowiek o imieniu Lew, który zrobił karierę w Polsce, był z pochodzenia Rosjaninem (satelitarnym czy jak to się tam nazywa) i okazał się aferzystą. Każdy nowy Lew był skazany na pożarcie. Dawidowicz czy inny.

A jednak Waldemar uważał inaczej i okazało się, że to on ma rację.

– To ktoś naprawdę wyjątkowy – przestrzegł. – Zapamiętaj moje słowa.

Zlekceważyłem je, grzech pychy. Ale, zważywszy na okoliczności, można chyba mnie zrozumieć i usprawiedliwić. Liderzy ówczesnej opozycji byli tak beznadziejnie mierni, drugoligowi i zwyczajnie nieciekawi, że mogłem sobie na owo lekceważenie pozwolić. Sabaka, choć jak już mówiłem człowiek równie żałosny, to jednak był gracz niebezpieczny, z pewną klasą, charyzmą, odwagą i prezencją (lepszą nawet ode mnie). No i był pojętnym uczniem. Wiedział, kiedy postawić na swoim, a kiedy się wycofać. Potrafił przeczekać wichurę czy sztorm, by skoro świt następnego ranka zareagować dokładnie tak, jak tego ciemny lud oczekiwał. Przystępował do ataku z agresją i wiarą, był konsekwentny i wyrachowany, umiał wygrywać i uczyć się na porażkach. Ale jego już nie było, a ci, co go zastąpili, rozbawiali mnie o każdej porze dnia, czasem doprowadzając do naprawdę groźnych dla zdrowia napadów śmiechu.

Weźmy takiego Dreszera. Najpierw namawiał ludzi do brania kredytów, prognozował frankowe niże i recesje, a gdy się nie sprawdziło, rozkładał ręce i mówił: ryzyko jakie jest, każdy widział. Zabawne było to jego odkręcanie kota ogonem. Gdyby rzeczywiście chciał być poważnym politykiem, to powinien sobie ustawić dżipies na kierunki lokalne, a nie międzynarodowe, szczególnie, że te kończyły się zawsze między czyimiś nogami.

Drugi orzeł, niejaki Iwan Zmęczony, były szef klubu sportowego i entuzjasta solarium, miał wielki dar do wyolbrzymiania drobiazgów i nie dostrzegania prawdziwych szans na kontratak. Cóż, człowiek drugiego planu nie może być nagle liderem. Chyba to zrozumiał, bo w końcu poszedł po rozum do głowy i zaczął kwilić przez sen (nagrywaliśmy): „Sabako, wróć!”

Ale najlepszy z nich był ten miglanc od faktur, gadżeciarz i miłośnik wszelkiej latorośli, który błyskawicznie wyłożył się na haśle: „idee ideami, ale żyć z czegoś trzeba, z samych alimentów przecież się nie da”.

Inni? Nie było. Totalna pustka. Jeśli zdarzało się jednemu czy drugiemu mówić do rzeczy, to sondaże tego nie odzwierciedlały, bo do ludzi trzeba dziś mówić prosto, spiskiem i darem, a nie intelektualnym bełkotem. Nastały czasy lubieżnych seriali i marketingu, a nie dyskursu opartego na zrozumieniu idei wypracowanych w pocie czoła nad maszyną do pisania, przy dobrym papierosie.

I nagle się pojawił. On. Lew Dawidowicz. Prognoza Waldemara okazała się prorocza, ja musiałem wypowiedzieć najtrudniejsze słowa w moim życiu, Marcel zacierał swoje spiskowe rączki nad możliwościami, które otrzymał od losu, zaś Toni widział już siebie za sterami rwącego rydwanu światłej sprawiedliwości, który pogoni barbarzyńskie plemiona niewiernych.

* * *

Trach. Nie ma Marcela, nie ma wojskowego budynku B. Jesteśmy jakieś dwadzieścia lat wcześniej (mylą mi się już daty ze starości), w moim Zamku, z Liwią numer jeden, poprzedniczką Liwii numer dwa, w gabinecie na Sadach i czekamy aż wprowadzą nam do niego Lwa Dawidowicza, człowieka, o którym się już tyle nasłuchałem i naoglądałem, i wydaje mi się, że go znam lepiej niż on sam, ale wciąż nie rozumiem.

Słyszę jak przed domem zatrzymuje się kolumna aut więziennych, wyprowadzają Dawidowicza, idą z nim do domu i przypominam sobie podłe zarzuty o narady z prokuratorami, ręczne sterowanie śledztwami, szukanie haków na opozycję za pomocą służb. Podłe, bo nieprawdziwe.

Owszem, były narady, były nocne nasiadówy w moim domu, przychodzili tu na dywanik ci wielcy i mali śledczy, ale nie po to, żeby ich besztać czy chwalić, ale by natchnąć do działania na rzecz kraju, dla Polski, dla Polaków.

Trzeba było darmozjadów zwyczajnie pilnować, żeby się nie lenili, tylko robili, co należy.

Zawsze chciałem tylko dobra kraju. Moje własne się nie liczyło. Takie miałem ambicje.

Brzęczyk, drzwi skrzypią na dole, kroki na schodach, w końcu wprowadzają go w kajdankach, jak pospolitego zbrodniarza.

Mirka, która wchodzi z nimi, widzi mój wzrok, trafnie jak zawsze odczytuje znaczenia, intencje, poleca zatem:

– Zdejmijcie kajdanki.

Słuchają, ma ta Mirka posłuch wśród mundurowych. Ja się zaś zastanawiam, czy oni tacy głupi, czy strachliwi, czy uczuleni na procedury, bo przecież Dawidowicz dla nich taki sam groźny w kajdankach jak bez, czyli w ogóle.

Zdejmują więźniowi metalowe bransoletki, Mirka chce wyjść, lecz wtedy Dawidowicz pyta, czy może dostać coś do picia.

Mirka patrzy na mnie zniesmaczona. Co to on, ten więzień, nie wie, że Naczelnik nie lubi, jak się pije i je w jego obecności?

Nie znoszę tego całego chrupania, chrumkania, mlaskania, siorbania, jeszcze bardziej niż alergików, zakatarzonych i tych słabowitych gruźlików, zarażających się byle czym przy pierwszej słocie.

Kiwam głową, Mirka idzie przyrządzić kawę, przyniesie też wodę, a tymczasem Dawidowicz kiwa mi głową, ja zaś podaję mu dłoń, wyciągam ją niepewnie, jakby z nadzieją, że nie dostrzeże tego gestu przypadkiem lub celowo.

Rzadko kiedy witam się z obcymi w ten sposób, z wyjątkiem kobiet, które zawsze całuję w dłoń, taką już mam naturę.

Dawidowicza chcę jednak wyczuć, dotknąć jego skóry, poczuć, jaka jest w dotyku, czy przekaże mi jakąś tajemną wiedzę o tym, dlaczego ten człowiek jest tak wyjątkowy, dlaczego ma być tak ważny dla ludzi, może też dla mnie.

Ujmuje prawicę i uśmiecha się. Skóra jak każda, za to uścisk jakiś dziwny. Nie za mocny i nie za słaby, taki w sam raz. Dokładnie tak powinien się witać każdy mężczyzna, myślę i uświadamiam sobie, że w zasadzie jest to pierwszy tak idealny uścisk dłoni, jakiego doświadczyłem od wielu lat.

Większość mężczyzn wita się ze mną albo za ulegle, albo zbyt silnie próbując pokazać, jak mnie lubią i popierają, a w rzeczywistości chodzi im tylko o ich interes, przy czym nie oznacza to, że są mniej wierni niż ci z tym słabowitym uściskiem.

Przeciwnie, to fanatycy. Ale ów fanatyzm wynika z głupoty i braku wiedzy. Odrobina uświadomienia i tracimy wyznawcę. Zyskujemy wroga na zawsze. Zapiekłego, znieczulonego, agresywnego, bezmyślnego. Trudnego do kontroli. Ci ze słabym uściskiem są za to znacznie bardziej wyrachowani i perfidni. Też w zasadzie dbają głównie o swój interes (bardziej niż ci pierwsi), jednak gotowi są do szeregu ustępstw i chyba

nigdy nie przedkładają emocji ponad rozum (owszem, są wyjątki i wyjątki w wyjątkach). Nie lubią przemocy, rzadko bywają agresywni, unikają starć bezpośrednich. To ludzie nasyłający osiłków na innych osiłków, słabeuszy starając się pokonać słowem i argumentami, nie siłą. Gdy zdradzają, potrafią być wyjątkowo skrupulatni, konsekwentni i przywiązani do założonego planu (ze stosownymi zmianami). Organizują się i na bieżąco wprowadzają korekty.

Czasem porównuję ludzi do zabójców i wówczas ci z silnym uściskiem pasują mi do modus operandi morderców niezorganizowanych, impulsywnych, przypadkowych, zaś ci drudzy wpisują się doskonale w profil zbrodniarza zorganizowanego, wyrachowanie perfidnego, planującego i nie ulegającego emocjom. Cechy psychopatyczne mogą określać oba typy osobowości i wcale nie jestem pewien, że częściej występują u pierwszej grupy niż w drugiej. Wręcz odwrotnie.

Lew Dawidowicz jest przedstawicielem trzeciego absolutnie wyjątkowego zbioru, do którego sam też się zaliczam. Takich ludzi spotkałem w swoim życiu niewielu, może kilku. Nie będę ich wymieniał, bo jeszcze o kimś zapomnę. Z drugiej strony większość z nich nie jest warta tych zapisków, bo też żaden – mimo swojej wyjątkowości – nie zdążył zagrzać blisko mnie miejsca. Ludzi wyjątkowych, mogących mi zagrozić, eliminuję w pierwszej kolejności.

– Mogę? – Dawidowicz też bada mnie wzrokiem, też jest mnie ciekaw, w końcu na pewno nasłuchał się wiele z telewizji i od ludzi, może coś o mnie przeczytał, ale po chwili traci zainteresowanie albo czuje się w jakiś sposób usatysfakcjonowany pierwszym wrażeniem, za to dużo bardziej interesujące wydają mu się paluszki, ciasteczka i przekąski na stoliku konferencyjnym. – Przepraszam, nie jadłem od wielu godzin.

Kiwam głową, a on pospiesznie – jakby się bał, że zmienię zdanie – podchodzi do stołu, sięga po największą z bułek (nie wiem z czym jest, Mirka dba o te specjały na stole, uznając je raczej za wystrój niż pożywienie, bo przecież nikt nie waży się ich tykać). Pochłania ją błyskawicznie, bierze następną, mniejszą. Zanim zdąży zjeść zagryza jeszcze czekoladką, a potem paluszkiem. Sięga po owoc, ja zaś mam wrażenie, że jego twarz zaraz eksploduje od nadmiaru tego jedzenia.

– Dobre – chwali, owocem dopycha te czekoladki, paluszki, bułki. – Dziękuję.

Patrzę na to indywiduum, próbując zrozumieć, dlaczego przy takiej zachłanności jest takie chude, małe, pokraczne, słabowite. Ma może metr sześćdziesiąt wzrostu, sięga mi ledwie niewiele za pępek, waży pewnie tyle co dziecko, nie ma mięśni, nie ma tłuszczu, sama skóra i kości. Twarz pociągła, nijaka, pomarszczona, za to mocno ogorzała od słońca i wiatru. Zgarbiony, przykurczony, schorowany. Tylko oczy w nim żywe i jakby w dwóch kolorach. Jedno jest zielonkawe, drugie piwne. Dopiero jak się zastanawiam nad tym dwukolorowym zestawem, stają się jednakowe, ale sam nie wiem, czy bardziej piwne czy bardziej zielone.

– Za co?

Wzrusza ramionami. Przełyka i dopiero wtedy mówi:

– Tak po prostu. Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć.

Zjadł już, sięgnął (za przyzwoleniem) po wodę, przepił wprost z butelki, jakby nie dostrzegł stojących szklanek albo z pośpiechu, mlasnął przy tym, siorbnął, a ja sobie wyobraziłem, że ślina z jego ust, pełna bakterii i tych związków z jedzenia i jego ciała dostała się do butelki i co by się mogło stać, gdybym ja popił z niej zaraz po nim.

Podobno osoby sprzątające moje biura i pokoje w domu nie wyrzucają wymienianych rzeczy, tylko biorą do domów jak wziątki. Jedzą słodycze i kanapki, piją wodę. Pewnie także taką niedopitą. Ktoś zatem weźmie tę butelkę po Dawidowiczu i ją dopije razem z tymi bakteriami, które obserwowałem siłą umysłu.

– Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać i porozmawiać z panem – dodaje Dawidowicz.

– Przecież pan mnie nienawidzi – przypominam.

– Ja? Ależ skąd. Kto panu tak powiedział?

– Występuje pan na demonstracjach, gdzie ludzie trzymają pełne furii i odrazy transparenty, wykrzykują takież postulaty, hasła, drwią ze mnie, szydzą, obrażają i domagają się mojej głowy, i wcale to nie jest jakaś retoryka, tylko szczera niechęć, pełna nienawiści i jadu, naładowana złem i paskudną agresją do granic możliwości, więc podejrzewam, że skoro pan znalazł się wśród nich, a nawet, można powiedzieć, przejął po tych beznadziejnych liderach totalnej opozycji przewodnictwo, zatem również w nienawiści do mnie powinien pan przodować…

– Logika pana wypowiedzi jest oczywiście zrozumiała, jednak założenie całkowicie błędne, a zatem wnioskowane rozwiązanie również niewłaściwe – odparł Dawidowicz, jakby był jakimś profesorem, a nie prostym

człowiekiem z ludu. – Nie jestem pana przeciwnikiem, nie pałam do pana nienawiścią. Wręcz przeciwnie, wcześniej na pana głosowałem i byłem, można powiedzieć, wyznawcą ideologii i przekazu, podobnie jak głosowałem na pańskiego brata i rzewnie płakałem po jego śmierci w wypadku, a dziś, choć z samego zapatrzenia już się wyleczyłem, wciąż pana lubię, może już nie wielbię, ale lubię, uważam za ciekawego choć tragicznego człowieka, wielką osobowość i wybitnego męża stanu.

– Kłamie pan, żeby się wywinąć od odpowiedzialności?

– Ależ skąd. Naprawdę pana… lubię. Tak po ludzku, jak wszystkich dobrych ludzi.

Gdzieś jakiś błysk, jakaś świadomość literackiej wręcz ironii tego stwierdzenia, zabarwiony wspomnieniem Loski. Nie mogę sobie przypomnieć (wówczas, bo dziś już wiem), skąd je wytrzasnął, ale jestem prawie pewien, że ukradł, że to nie jego powiedzenie, że wyczytał je w jakiejś paskudnej, grafomańskiej grotesce albo prześmiewczym, oszczerczym paszkwilu, w którym dzieją się rzeczy przedziwne, ludziom urywane są głowy, kobiety nago latają na miotłach, a wróble srają do kałamarzy.

Dobrzy ludzie… Zaraz, czy ja sam tak nie mówiłem?

– Nie jestem dobry.

– Ależ oczywiście, że pan jest dobry, jak każdy człowiek.

Znów to uczucie. Podobne do tego odczuwanego podczas lektury książek tego guru spiskowych teorii, które potem okazały się w jakiejś niewielkiej wszakże części przepisane z klasyki kryminału, za to załatwiły Bronka bez mydła.

Kapuścińskiemu wolno było zmyślać, to onemu drugiemu przybłędzie nie wolno przepisywać? Obaj zasłużyli na laury. W końcu mały plagiacik to nie żaden mord, co najwyżej występek, tak jak małe zmyślenia na potrzeby rosyjskich przyjaciół. Cóż to za zbrodnia? Większa niż być komunistycznym agitatorem, donosicielem czy zomowcem?

Tamtym wolno, a Dawidowiczowi nie wolno?

– Ludzie są źli – mruknąłem. Mój brat może i myślał inaczej i zobacz, „dobry człowieku”, gdzie go to przywiodło, gdzie go zaprowadziła wiara w dobroć, przyjaźń, czyste intencje.

Nie mówię jednak o Grzegorzu. Nie rozmawiam nigdy o nim z obcymi (z wyjątkiem przemówień na wiecach, ale to jednak monologi, a nie

dyskursy czy debaty), a Dawidowicz jest obcy. Niemniej, niech spojrzy na siebie, gdzie zaprowadziła go jego wiara w dobrych ludzi.

– Znów pan się myli, panie Naczelniku – szepnął słabym głosem.

Lekko poirytowany mlasnąłem jak dawniej, przed szkoleniami medialnymi, na których oduczono mnie tego paskudnego nawyku i paru innych.

– No dobrze, zagrajmy w pana grę i załóżmy, że nie są to kłamstwa wymyślone na potrzebę wyłgania się od odpowiedzialności, co, proszę mi wierzyć, nie nastąpi, bo moją żelazną zasadą jest rozliczenie winnych i budowa przyszłości na fundamentach z prawdy i tradycji.

– Jak każdego faszysty – wypalił głupio. Głupio, bo dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu bym po takim tekście wyrzucił na zbity pysk i dopilnował, żeby ponieśli za swoją bezczelność zasłużoną, srogą karę. Ale tego jednego nie wyrzucam, więc może nie takie głupie?

– Nie jestem faszystą – zaprzeczam.

– Owszem, jest pan. Już Umberto Eco opisał dawno temu podstawowe cechy rodzącego się faszyzmu, i proszę mi wybaczyć, ale one, jak ulał, co do jednej, do pana pasują. A faszyzm, proszę pana, nie rodzi się ot tak, z przytupem, tylko pełza najpierw w umyśle jednego człowieka, następnie zaraża innych i się nie spostrzeżemy, jak mamy na czele państwa swojego Naczelnika, otoczonego aureolą nieomylności fanatyka, który jest zdolny popchnąć naród do zbrodni, a świat ku przepaści, by zaspokoić chore ambicje i ukoić żale niespełnienia.

Dobrze, przyznaję, wściekły jestem, kryję swoją wściekłość, ale jestem wściekły. Mimo to pytam spokojnie, udając rozbawionego:

– Jakież to niby cechy wymienił ten pana Eco?

– Jest ich wiele, długo by opowiadać – próbował się wycofać, ale nie pozwoliłem na to. Zawsze jak przychodzi do konkretów, ci znawcy i filozofowie się wycofują.

– Mamy czas. Proszę się nie spieszyć.

Mów, mów, myślę, mów śmiało jeśli cokolwiek rzeczywiście masz do powiedzenia. Ugrillujemy potem te twoje opowiastki…

– Oczywiście – westchnął, znów wskazał pytająco na tacę z przekąskami, a gdy skinąłem głową, sięgnął po orzeszki. Zachrumkał, coś głośno trzasnęło, gdy natrafił na łupinę, a ja pomyślałem z nadzieją, że może złamał ząb, ale może mi się tylko wydawało, bo Dawidowicz uśmiechnął

się, przełknął orzeszka (z łupiną czy bez) i podjął: – Zacznijmy może od tradycji.

– Tradycji? Widzi pan coś złego w tradycji? Co w niej niby takiego faszystowskiego?

– Sama w sobie nie jest zła, bywa pożądana. Powinno się oddawać hołd zarówno przodkom, jak i odpowiednim postawom. Można godnie czcić wartości i relikwie bez szkody dla innych.

– Więc?

– Gorzej jeśli tradycję kultywuje się w sposób przesadny, pompatyczny, pokazowy, wydumany i zakłamany, na jej zwodniczych filarach budując zmanipulowany propagandowy przekaz do młodych, nie znających historii i życia, tak łatwowiernych i poszukujących prostych odpowiedzi na własne problemy. Wie pan: na sztandarach dumne hasła, a ulice spływają krwią, w której mali ludzie topią podłe uczynki.

– W czym niby mój szacunek dla tradycji jest taki… pompatyczny czy pokazowy, jak pan raczył to ująć? Których haseł ze sztandarów nie wcielam w życie i nie szanuję?

– Cóż, sam pan wie najlepiej, chyba nie muszę podawać przykładów. Pan uwielbia cofać się w przeszłość, gloryfikować bojowników i bohaterów, tych prawdziwych i tych wymyślonych, wypranych z brudów ku uciesze tłumów, podkreślać zarówno rangę i doniosłość wielkich klęsk, jak i przesadnie wierzyć w znaczenie rzekomych sukcesów. Stara się pan tworzyć swoją historię, która niewiele ma wspólnego z prawdą, bo ona zwyczajnie nie jest taka czarno biała i o ile zasługuje na pamięć, to zdecydowanie rzadziej na miejsce na sztandarach.

Mów, mów – myślę sobie zaciskając pięści. Nie wiem, co on ma na myśli. Nie podobają mu się powstańcy czy może żołnierze wyklęci, a może uważa, że nie zatrzymaliśmy bolszewickiej zarazy w pamiętnym roku dwudziestym, a może to nie my uchroniliśmy Europę przed islamem pod Wiedniem i innymi falami najazdów? To sugerujesz?

– Pewnie, zapomnijmy o naszych bohaterach – mówię cicho. – Pogrzebmy pamięć, pogódźmy się z naszą rolą państwa bez znaczenia, bez przeszłości, a najlepiej także bez przyszłości. Pozwólmy, by to nam przypisano obozy koncentracyjne, eksterminację Żydów, czystki etniczne, ekspansję komunizmu, moralny i kulturowy upadek cywilizacji rozumu, eskalację radykalizmu i fanatyzmu, co pan tam chce. Jaki jest następny pana zarzut?

– Cóż, nie mój, tylko szanownego pana Eco – przypomniał Dawidowicz i podał kolejny argument na poparcie swojej absurdalnej tezy: – Nie zarzut, tylko stwierdzenie.. uhm, rzekłbym: naukowe. Tak więc, pozwolę sobie zauważyć, że w pana wypadku umiłowanie tradycji konsekwentnie wiąże się z niechęcią do modernizmu, nowoczesności i oświecenia, która to niechęć u pana Naczelnika przybiera formy ekstremalne i irracjonalne.

Ja nienawidzę nowoczesności? Zgoda co do tego, że niechętnie się do niej odnoszę osobiście, bo zwyczajnie nie chcę się zmieniać, bywam w swoich przywiązaniach leniwy i konsekwentnie samokrytyczny, nie chcę tracić czasu na poznawanie złudnych udogodnień, które dla mojego smutnego życia nie mają znaczenia. Ale przecież nie jestem przeciw modernizacji, innowacjom, nowoczesności. W swojej książce piszę, że to ważne (najważniejsze), że na to powinniśmy stawiać, w tym kierunku edukować młodzież, stymulować gospodarkę, reformować naukę.

– Nie przeczytał pan mojej książki. Gdyby pan ją przeczytał, wiedziałby pan, że jest w błędzie.

– Owszem, przeczytałem i istotnie, pisze pan w niej bardzo słusznie, jak ważna jest dla ludzi edukacja, nauka, innowacyjność, zaznacza pan, że na to trzeba stawiać. Problem w tym, że w pana przypadku słowa nijak się mają do czynów, są, proszę mi wybaczyć szczerość, zwyczajnie zakłamane i podszyte jak sądzę świadomą hipokryzją, bo w prawdziwym życiu i sprawowaniu władzy lansuje pan rzeczy dokładnie odwrotne. Zdecydowanie woli pan cofać się w przeszłość, gloryfikować zaściankowość i stosować metody przodków, bo one są takie zwyczajne, bliskie, nie wymagają wysiłku, nauki, prawda? Puste choć piękne słowa pozostają więc tylko słowami, a czyny… cóż. One o panu świadczą, a nie zapiski w książce, którą niewielu przeczytało, za to wielu udaje, że przeczytało. Pana edukacja, pana podejście do nowoczesności, do różnorodności i pozytywów wynikających z mieszania i ścierania się koncepcji i kultur powoduje, że cofamy się do średniowiecza, szerzenia uprzedzeń i nienawiści, stawiania na proste środki. Bo dla pana dokonania nauki, filozofii, kultury, wpływ ożywczych czynników zewnętrznych i wewnętrznych, wszelkie wzorce, wynalazki i często ryzykowne nowatorskie eksperymenty są źródłami moralnego upadku, a nie czynnikami rozwoju.

Bzdura.

– Muzułmanie to terroryści i gwałciciele – mówię, bo pewnie chodzi mu o to zamknięcie granic i jasną deklarację: STOP dla innowierców. – Miałem popełnić te same błędy co reszta Europy, pozwolić by nas zalał islam i jego zbrodnicza ideologia? Chciałby pan tego?

– Katolicy też bywają mordercami i gwałcicielami, też biją żony, kradną, łamią przykazania. I jedni i drudzy mają swoje na sumieniu, bo każdy ekstremizm i patologia są groźne dla ludzi. Nie oznacza to, że należy szerzyć nienawiść do innych nacji, odmiennych poglądów, przekonań, koloru skóry i wyznań. Jest to metoda skuteczna politycznie lecz moralnie okrutna, podła i nieakceptowalna intelektualnie. Terrorystom przecież dokładnie o to chodzi. Dla nich tacy ludzie jak pan są sojusznikami, umożliwiają im realizację planu wzniecenia ogólnej pożogi dla własnych chorych i całkowicie pustych idei. Dzięki panu, oni wygrywają.

Nie szerzę żadnej nienawiści! Jestem jedynie racjonalny i nie dam się ogłupiać. Kto ma rację, widać po tym, gdzie są zamachy, a gdzie ich nie ma. Gdzie po zmroku dostaje się po mordzie od czarnych, a gdzie tylko od swoich.

– Naiwniak z pana – kwituję. – Co dalej?

– Wracając do staruszka Eco, cóż, trzecią wskazaną przez niego cechą jest działanie dla samego działania…

– O! – Tutaj akurat trafia wyjątkowo niecelnie. – Moich poprzedników można było o to oskarżać, to oni się specjalizowali w piarowych spektaklach. Ja mam określone cele, działam skutecznie, poprawiam Polskę.

– …powiązane z podejrzliwym stosunkiem do intelektualistów i autorytetów.

– Każdy ma swoje autorytety. Nie ma zgody na to, by mniejszość narzucała reguły większości. Dla was liczy się tylko wasze prawo, prawa innych nie mają znaczenia. Nie ma na to naszej zgody. Nie ma i nie będzie.

– Tak, odmienne poglądy oznaczają dla pana zdradę, prawda? Dla pana każdy przeciwnik jest wrogiem. A przecież z wrogiem się nie dyskutuje, nie rozmawia. Wroga trzeba zdeptać, zniszczyć…

– Nie można stać pomiędzy. Albo popiera się zmiany, albo stoi się wobec nich w opozycji. Nie zabraniam nikomu stać po drugiej stronie, ale opór przeciwko zmianom musi być przełamany, traktowany z właściwą stanowczością. Inaczej zastój będzie trwał, nie dojdzie do tej upragnionej przez pana modernizacji…

– Cóż, od nietolerancji dla odmienności i innych poglądów, blisko do rasizmu. To kolejna cecha wskazana przez staruszka Eco, zresztą oczywista.

– I znów pan strzela ślepakami. Nikt więcej niż ja nie zrobił dla wyrzucenia antysemityzmu z idei narodowościowych.

– O tak, jest pan pierwszym orędownikiem tolerancji dla odmienności, innych nacji i kultur, jak też orientacji seksualnych…

– Zboczenie to choroba, poza tym orientacja powinna być pielęgnowana w domach, a nie wystawiana na widok publiczny. Tolerancja nie może oznaczaj bezkrytycznego szerzenia patologii i odchyleń.

– Przejdźmy dalej – proponuje Dawidowicz i strzela po kolei ordynarnymi kłamstwami, jakobym szukał poparcia głównie wśród osób sfrustrowanych i przegranych, wierzył w teorie spiskowe i kultywował nacjonalizm, lekceważył i nienawidził wrogów, zarazem szydząc z nich (a jednocześnie demonizował ich wpływy i możliwości), pogardzał pacyfistami i słabeuszami (bo życie to przecież wielka walka i pacyfiści oznaczają zgodę na porażkę), wyznawał kult śmierci, męskości, wykazywał się jakąś nowomową (no mam te swoje słynne powiedzonka i przejęzyczenia, ale od razu nowomowa? Skoro jakiemuś Bralczykowi wolno wymyślać słowa, to dlaczego ja mam się dawać wtłaczać w głupi immobilizm), wyznawał przekonanie, że tylko naród się liczy, a prawa jednostki mogą być łamane (bo w gruncie rzeczy tych praw jednostka nie ma, a przynajmniej są one mniej istotne od praw narodu. Jednak, jak dowodziłem zresztą w książce, jestem zdecydowanie za przyznaniem także jednostce pewnych praw), no i oczywiście (jakżeby inaczej) na koniec napomknął o moim niby lekceważącym stosunku do kobiet. Przecież ja kobiety kocham, doceniam i wielbię, a wręcz jestem w stosunku do nich uległy. Czy któraś z kobiet, które odwiedzałem, nie dostała kwiatów i dowodów mojego szacunku?

– To przez mamę – powiedział, jakby słyszał moje myśli. A może ja to powiedziałem na głos. – W kobietach widzi pan mamę, dlatego oddaje im pan honory. Ale jednocześnie je lekceważy i tak naprawdę nie dostrzega w nich równorzędnych partnerek do rozmowy czy debat przed podjęciem decyzji.

Kolejna bezsensowna klisza.

– No dobrze, przyjmijmy, że część pana argumentów jest do rozważenia, nawet jeśli są chybione, co mogę zaraz wykazać, ale niech będzie, uznajmy, że częściowo ma pan rację, to mimo wszystko jest w pana myśleniu jedna

podstawowa, wielka sprzeczność. Skoro jestem faszystą, jestem zły, a zatem nie powinien mnie pan darzyć szacunkiem, nie powinien mnie pan uważać za dobrego człowieka. Dlaczego zatem twierdzi pan… że mnie lubi?

Dawidowicz zawahał się, zanim odpowiedział. Myślałem przez chwilę, że go zagiąłem, ale to nie było to. On chyba dobierał słowa, żeby mnie zbytnio nie urazić. No i osiągnąć efekt, bo w końcu efekt jest najważniejszy.

– Uważam, że pana intencje są istotnie szczere i czyste, a diagnozy niekiedy bardzo trafne. Nie jest pan, jak sądzą najwięksi wrogowie, chory na władzę, wręcz pan nie lubi władzy, myślę, że z czasem będzie chciał pan się jej pozbyć, bo rządzenie nie jest pana celem, pan chce osiągnąć dobro Polski, tylko upraszcza pan rzeczy w gruncie rzeczy proste, przez co paradoksalnie stają się skomplikowane. To tak jak z tym że białe jest białe, a czarne czarne. Prawda i fałsz zarazem, bo w założeniu nie widać innych kolorów w bieli czy czerni, podczas gdy odcieni jest tam masa i naprawdę można znaleźć całkiem przyzwoitego „czarnucha” tak jak bardzo złego „białasa”. Wiem, wiem, rasistowskie tezy pana nie dotyczą (tak pan przynajmniej sądzi), pamiętam też, co pan zrobił dla Żydów. Jestem przekonany, że pan myśli szczerze, pozytywnie, dla dobra społeczeństwa. Ale jednocześnie uważa pan, że polityka to gra cyników i drani, więc dążąc do szlachetnych celów chce pan wykorzystywać także te skażone, złe środki prowadzące do nich. I tu jest pan całkowicie w błędzie, bo coś wadliwego nie będzie nigdy dobre (bez naprawy). Samo skażenie z natury jest złe i jak potem to coś odkazimy, poddamy kwarantannie, to pamięć o rysach i ułomnościach nie ustąpi, stosując pana retorykę, trzeba będzie się opierać na prawdzie i przypomnieć o tym, żeby móc budować pozytywną przyszłość. Tymczasem pan uważa, że to niepotrzebne i tu się strasznie myli. Nie zmienia to faktu, że pana lubię ze względu na dobro intencji, jak też tego wspomnianego wcześniej ogólnego założenia, bo przecież lubię wszystkich ludzi.

– Wierzy pan, że można mnie zmienić, sprawić że stanę się lepszy?

– Niestety nie, dlatego, mimo całej sympatii, wziąłem udział w ruchu oporu, przystąpiłem do protestów, a potem stałem się ich przywódcą. Niechętnie, proszę mi wierzyć, bo naprawdę jest to ostatnia rzecz o jakiej myślałem.

– Jak to się właściwie stało?

– Potencjalni przywódcy, jak pan wie, byli skompromitowani i ludzie domagali się wskazania jakiegoś niezależnego, nowego kandydata. Niestety, gdy dochodziło do wyborów, kandydowali zawsze ci sami i nie można było tego zmienić. Wtedy ktoś, chyba żartem, powiedział, że słuchał mnie poprzedniej nocy, gdy tak z nudów perorowałem nad świeczką, i uważa, że to ja powinienem zostać nowym trybunem. Zaproponował moją kandydaturę, a pozostali (oczywiście poza skompromitowanymi liderami) poparli ją, zanim zdążyłem zaprotestować. A potem mi się spodobało, oczywiście do czasu, aż mnie aresztowano.

– Źle pana potraktowano? Bili pana?

– Trochę poturbowali, ale ostrożnie, żeby nie było śladów. Jeden z policjantów zdjął mi buty i uderzył kilka razy pałką w stopy. Nie miał w tym specjalnego doświadczenia, bo strasznie się starał bić mocno i dotkliwie, a mnie prawie wcale nie bolało, więc pewnie używał złej techniki. Cóż, w szkołach policyjnych nie uczą już zapewne tortur, a ten dobry człowiek był zbyt porywczy i zdenerwowany, by udało mu się dorównać katom z lat pięćdziesiątych.

– Już nie pracuje. Proszę podać jego rysopis, numer, cokolwiek…

– Nie, nie chcę, żeby pan wyciągał konsekwencje w stosunku do tego człowieka. Proszę po prostu zakazać policjantom takich praktyk. Jestem pewien, że to podziała. On był fanatycznym pana zwolennikiem. Na pewno wysłucha apelu.

– Więc uważa pan, że aresztowano go niesłusznie?

– Do czasu aż nie dowiedziałem się, że zostanę panu przedstawiony. Wtedy się ucieszyłem i uznałem, że to pewnie tak miało być, tak to sobie dobry Bóg obmyślił, żeby nas ze sobą skojarzyć i… dać nam szansę. Pomyślałem sobie, że w cztery oczy będziemy mogli szybko omówić argumenty i dojść do porozumienia, żeby nie eskalować konfliktu. Proszę sobie wyobrazić, jakie to byłoby wspaniałe. Spotyka się dwóch przywódców i dochodzą do konsensusu w ciągu jednej zaledwie nocy rozmów, a następnego dnia w kraju już nie ma podziałów, naród się jednoczy, ludzie są szczęśliwi, pełni wiary w przyszłość, rozpoczynają pracę dla wielkiej Polski, takiej, w której dla każdego jest miejsce i szanuje się odmienność poglądów, w której brat pozbawiony jest zawiści o brata, sąsiad myśli jak pomóc, a nie zaszkodzić, człowiek człowiekowi nie jest już wilkiem, miłość zwycięża nienawiść, a pokój wojnę. Takiej, o której przecież i ja, i pan marzymy.

Nie odpowiadam, a on widząc mój wzrok kiwa głową smutno.

– No tak, to będzie trudne, bo pan zawsze będzie uważał, że za tym stoi polityka, a nie przyzwoitość – mówi Dawidowicz.

– Jeśli teraz doszłoby do porozumienia, to pan by wygrał – odpieram. – Pan byłby zwycięzcą, a ja zanotowałbym druzgocącą klęskę. Pana by noszono na rękach, okrzyknięto jeszcze większym przywódcą, a mnie uznano jedynie pokonanym kacykiem.

– Polska by jednak wygrała. Naród by wygrał.

– Bzdury pan opowiada.

– Czyżby?

Milczymy chwilę, on daje mi przetrawić te swoje beznadziejne, utopijne teorie, ja zaś podświadomie zastanawiam się, jakbym mógł je wykorzystać dla siebie. Nie żałuję, że zaprosiłem tego Dawidowicza. Już mi ta rozmowa wiele dała, a pewnie da znacznie więcej. Będę w stanie ją kiedyś spożytkować, o tym jestem przekonany. Może ten chłopak nie zna zasad, nie wie, że w mojej obecności się nie je i nie pije, ale za to podsuwa mi pewne ciekawe rozwiązania.

– Opowie mi pan o sobie?

– Co dokładnie?

– Kim pan jest z zawodu, gdzie pracuje, ile ma lat, jakie wykształcenie, coś o swojej rodzinie, ambicjach, planach życiowych…

Waha się, może zastanawia, czy to podstęp, bo przecież ja powinienem mieć na stole pełne jego dossier od służb, z pewnością ono gdzieś tam jest na biurku z papierami, po czym zaczyna:

– Mam syna. To dla mnie najważniejsza osoba na świecie. Dla niego dołączyłem do demonstracji, dla niego… tu jestem.

– Ile ma lat?

– Dwanaście. Wstydzi się mnie. Uważa, że jestem nieudacznikiem, nic nie potrafię, za mało zarabiam, nie jestem sportowcem i w ogóle wolałby mieć innego ojca. Ojciec jego najlepszego przyjaciela na przykład prawie nic nie robi, nie pracuje, za to wystawia fikcyjne faktury VAT, dzięki czemu jeździ bmw, a wakacje spędzają na Malediwach. Ojciec drugiego najlepszego przyjaciela za to jest pracowity, pracuje tylko przez telefon, przez który namawia starsze osoby do zmiany dobrych umów na lepsze, a jak wiadomo lepsze jest wrogiem dobrego. Ten ojciec przyjaciela mojego syna ma wielu staruszków na sumieniu, wiele niewinnych osób, ale sam jest usprawiedliwiony i to usprawiedliwienie pozwala mu bawić się co roku

w wakacje w słonecznych egipskich kurortach, a nie tak jak nam w Rowach czy Jarosławcu, choć ja muszę się panu przyznać, że wcale jestem zadowolony z takich wakacji, bo nie znoszę upałów, a polskie plaże są przecież znacznie ładniejsze niż te egipskie. Mój syn jednakowoż ma do mnie wielkie pretensje, że nie potrafię tak oszukiwać jak ojcowie jego kolegów, ani zdobyć się na jakieś szaleństwo i pojechać na zmywak do Anglii.

– Jestem pewien, że to nieprawda – pocieszam ale wcale tak nie myślę, on o tym wie.

– Prawda i nie. Coś pomiędzy. Wstydzi się, a jednocześnie buduje mój obraz zgodny ze swoimi wyobrażeniami i odpowiednio ubarwiony przedstawia kolegom i samemu sobie. Podejrzewam, że we śnie widzi mnie jako kogoś wyjątkowego, supermena ratującego świat, a może kogoś, kto go po prostu zmienia. Dlatego pomyślałem, że te całe protesty przeciw panu są dla mnie szansą. Proszę sobie wyobrazić, że się dogadujemy, zmieniamy świat, ogłaszamy porozumienia i pracujemy wspólnie dla Polski, mój syn byłby ze mnie dumny, jeśli by oczywiście uwierzył, że nie śni, bo z początku, tego jestem pewien, przyjąłby że to jakiś figiel narkotyczny lub inna mara nocna, polucja. Zapewne przecierałby oczy ze zdumienia na tę fatamorganę, bo przecież jego ojciec nie jest nikim wyjątkowym, ale w końcu by uwierzył i sądzę, że zrobiłby pan naprawdę dobry uczynek dla tego dzieciaka, no i dla Polski, oczywiście.

Ale tak nie będzie – myślę, jednak nie odpowiadam. On zaś wraca do siebie:

– Mam trzydzieści trzy lata, nigdy nie poznałem swojego prawdziwego ojca. Gdy o niego pytałem, moja mama ze śmiechem odpowiadała, że przyszedł do niej we śnie, a ona nie zauważyła, jak i kiedy to się stało, nie zapamiętała żadnych szczegółów wyglądu, nie potrafiła szukać, a co dopiero znaleźć. Moja mama była kobietą o wielkiej wyobraźni, sądzę, że byłaby dobrą pisarką, no ale zabrakło jej wiary i ambicji. Za to mnie gorąco namawiała, bym sobie folgował, zmyślał do woli, bo marzenia są od tego, żeby dobrze zmyślać. W szkołach więc i na podwórku zmyślałem równo, raz przekonując, że mój ojciec jest tajnym agentem, to znów znanym aktorem albo dysydentem osiadłym w Szwajcarii, któremu nie wolno wrócić do Polski, bo go zaraz aresztują za jakąś prywatyzację albo handel samochodami. Dziś wynajmuję mieszkanie na Ursynowie, skromną kawalerkę, płacę do ręki bez umowy, pracuję dorywczo, raczej na czarno,

nikt nie chce mi dać umowy i to nie z powodu pazerności czy pragnienia oszukania mnie lub państwa, po prostu nie byłoby go stać na zatrudnienie pracownika, bo praca jest za droga. Moja była już żona postanowiła poszukać lepszego męża, gdyż uznała, że brakuje mi ambicji spełnienia jej oczekiwań, znalazła, ale jego też już porzuciła. Nie układało nam się od początku, szczęśliwie Adaś jest sukcesem (Adaś to mój wspomniany, wspaniały syn). Moja żona pracuje w biurze turystycznym, organizuje ludziom wyjazdy na wakacje, rezerwuje hotele i przeloty. Sypia ze swoim szefem, mężczyzną żonatym i dość bezwzględnym, czasem brutalnym. Według tego, co mówi, jej szef jest powiązany z jakąś mafią, podobno kiedyś był bandytą, a potem został świadkiem koronnym, dziś zaś może znów być bandytą, jak również agentem, bo u nas nigdy nie wiadomo kto jest kim. Ona najbardziej obawia się, że kiedyś biuro stanie się niewypłacalne i klienci to do niej będą mieli pretensje, że stracili swoje wymarzone wakacje, zostali narażeni na upokorzenia i tym podobne rzeczy, zaś biznesmen agent czy gangster rozpłynie się w tej naszej rzeczywistości, jak to potrafią jemu podobni. Moja żona, mimo że nam się nie ułożyło i że mnie zdradzała, jest bardzo dobrą dziewczyną, uczciwą i rzetelną. Jest też dość ładna, myślę, że nigdy nie znajdę ładniejszej partnerki, pewnie na nią też nie zasługiwałem, może dlatego nie wierzę, że jeszcze kiedyś się zakocham. Pan, panie Naczelniku, na pewno mnie rozumie…

Pije do mnie i do Joanny, do tego, co było i czego nie było, o czym się naczytał z kłamliwych gazet. Ale nie odpowiadam, nie wybucham, nie poprawiam, nie pozwalam się sprowokować, a on kontynuuje:

– Uraz miłosny to straszna rzecz, serce prawie pęka, trzeba bardzo szybko znaleźć w życiu inny cel, żeby nie zwariować. Najtwardsi bokserzy mają przy takich urazach problemy, nieliczni z nich wychodzą bez szwanku.

Bokserzy? Więc wie o mojej najskrytszej pasji (wówczas nikt z wyjątkiem najbliższych nie wiedział, jak lubię boks). Zatem to jest część spisku, wymierzonego przeciw mnie działania służb, pokrętnej, wielostopniowej prowokacji. Jestem na ich celowniku przecież od dawna.

– Firma mojej żony wciąż się jakoś trzyma, moje, to znaczy te, które mnie zatrudniają, ciągle upadają. Proszę sobie wyobrazić, że pracowałem dla tych aferzystów, o których pan tak krytycznie mówi. Pracowałem i dla Wolaka, i dla Maciarza, i dla Wolskiego, i wszyscy oni są siebie warci moim zdaniem, dlatego tak bardzo naiwnie wierzyłem w pana program

naprawy i tak bardzo się na nim potem zawiodłem. Tak czy inaczej, gdy wyrzucają mnie z pracy albo upadają, znajduję dość szybko nowe zajęcie. Jestem tak zwaną złotą rączką. Potrafię w zasadzie wszystko (niektórzy mówią: wszystko i nic). Mogę założyć kran, naprawić odpływ w wannie, przeczyścić rury, wymienić instalację elektryczną, zagrać jakąś etiudę i napisać wiersz, a nawet powieść, jeśli trzeba, tylko czasu brak. Takie proste prace, ale nadaję się też na prokurenta w nieistniejących spółkach albo reprezentanta izraelskich funduszy celowych. Robiłem też za prawnika, a dokładniej asystenta adwokata i w tym zawodzie osiągałem sukcesy, bo wyciągnąłem z więzień więcej osadzonych niż prawdziwi adwokaci. Potem przez przypadek zostałem lekarzem w szpitalu w Konstancinie, gdzie przeprowadzałem operacje na kręgosłupach, bo ich nie sposób zepsuć (jak to mówił profesor Gwóźdź), a jak zepsułem, to nie musiałem się przejmować, bo dawali mi do operowania więźniów, których wcześniej wydobywałem z aresztów, a na więźniach trenować można do woli, bo się nie poskarżą. Raz, u Maciarza, byłem szwajcarskim mecenasem zarządzającym jego spółkami celowymi, negocjowałem wtedy z pampersami (wie pan, z tymi pańskimi pampersami) umowy telewizyjne. A Wolak zrobił mnie potem bankierem, choć o bankach nie mam pojęcia, no ale on kazał tylko mi się logować na konta i wypłacać gotówkę tym, którym należało ją wypłacać, zaś takich było całkiem sporo, bo brać od Wolaka to nie wstyd, na pewno nie większy niż od Maciarza. Taki to już mój los dziwaczny…

Coś tu nie gra, coś tu nie gra – powtarza mi głos w głowie, a on mówi dalej:

– Wielu ludzi twierdziło, że gdybym wyjechał za granicę, zarobiłbym dużo pieniędzy w Anglii, Belgii czy na takiej Islandii. Nie musiałbym pracować w tych omawianych już zawodach czy nowych wyuczonych. Wystarczyłoby, żebym zapuścił brodę i włosy, może trochę wyszczuplał i nie przyznawał się, że mam dziecko i miałem żonę, zamiast tego mówił, co mam do powiedzenia, bo mnie słuchać, to jakby jeść sam miód prosto z pasieki. Może mógłbym pracować tak mówiąc nie na czarno. Ale ja wolę pracować w Polsce, choćby na czarno i bez tych kazań, tak już mam i nic na to nie poradzę. W międzyczasie, panie naczelniku, trochę czytam. Właściwie dużo czytam, bo mam czas. Lubię książki lekkie i przyjemne, ale ostatnio mnie męczą, dlatego zacząłem czytać rzeczy poważniejsze, tak też przeczytałem pana książkę, a potem książki Eco, innych różnych takich

myślicieli, jak Nietzschego czy Bergsona i doszedłem do wniosków, do jakich doszedłem, czyli skończyło się, jak się skończyło….

Nie pytam więcej o jego autorytety, idoli czy książki. Zaczynam się bać tego chłopaka, jego otwartości i prostolinijności, zaczynam się bać, że się do niego przekonam i jeszcze się pogodzę wbrew politycznej racjonalności, popełnię pierwszy tak poważny i może ostateczny błąd, po którym Naczelnik stanie się przeszłością, a taki nic nie znaczący, prosty, zwykły Dawidowicz stanie się przyszłością.

I włącza się chochlik.

No bo już raz tak było. Bolek też nas tak ładnie oszukał, a my się daliśmy. I do czego to doprowadziło?

– A pan? – Pada nagle pytanie, które całkowicie mnie mrozi.

– Co ja?

– Opowie mi pan o sobie?

Do diabła, tego już za wiele. Napisano o mnie tyle książek, możesz sobie przeczytać, dzieciaku. Dlaczego miałbym ci o sobie opowiadać. Dlaczego prowadzić tę pozbawioną wszelkiej logiki grę. A jednak słyszę własne słowa:

– Jestem Naczelnikiem państwa, przywódcą partii rządzącej. Mam ukochaną kocicę Liwię i nikogo więcej. Kiedyś miałem jeszcze dziewczynę. Miała na imię Joanna, ale wolała innego. Po niej nie chciałem już żadnych innych kobiet. Miałem też brata, którego bardzo kochałem, ale źli ludzie go zabili, choć był znacznie lepszy ode mnie. Zabili jego a nie mnie, żeby mnie dodatkowo ukarać, bo wiedzą, jaki to dla mnie nieustający koszmar, mieć własnego brata na sumieniu.

– Dlatego musi pan się na nich zemścić?

– Szukam sprawiedliwości.

– Zemsta nie jest sprawiedliwością. Zemsta jest ucieczką od dobrej drogi. Wie pan, kiedyś miałem taką historię. Pewien człowiek zrobił mi wielką krzywdę i bardzo się z tego powodu cieszył. Nie ważne jaką, to nie ma znaczenia. Ta krzywda mocno skomplikowała mi życie i miała na nie beznadziejny wpływ, co tego człowieka wiele lat cieszyło. Ale pewnego dnia przestało, na dodatek jego życie zaczęło się walić i doznał tylu cierpień, hiobowych niemal mąk, że w pewnym momencie doszedł do wniosku, że jedynym rozwiązaniem będzie mi się przyznać do tego świństwa, rozliczyć z przeszłością. On chciał, żebym się na nim zemścił, miał nadzieję, że wtedy jego los się odmieni, zapłaci za swoją podłość

i będzie miał czystą kartę. Błagał mnie, żebym jakoś go ukarał, wyznaczył pokutę, bo inaczej nie będzie odkupienia. A gdy odmówiłem, bo nie byłem w stanie go nijak ukarać, mogłem jedynie nagrodzić za nawrócenie, strasznie się zezłościł. Gdy wychodził ode mnie powiedział: „A więc to jest twoja zemsta. Okazane mi dobro i przebaczenie są tak naprawdę największą karą, bo nie pozwolą mi uwolnić się od poczucia winy.” Ten chłopak popełnił samobójstwo, a może go zamordowano, bo w dzisiejszym świecie każde niby niewinne samobójstwo jest uważane za morderstwo, a ja zastanawiałem się, czy w tej sytuacji zawiniłem i doszedłem do wniosku, że jednak nie, bo on prawdopodobnie był szalony i mógłby jeszcze wiele zła uczynić, a tak przeciął pewną krzywą zła, choć według mnie nie ma nadziei, takich krzywych jest wiele, zbyt wiele, rzekłbym: nieskończenie wiele.

– Jaki z tego morał dla naszej rozmowy?

– Żaden. Zwyczajnie uważam, że jeśli będziemy trzymać się własnego postępowania, akceptować własne czyny, te dobre i złe, naprawiać błędy, uczynimy świat lepszym. Jeśli zawsze będziemy patrzeć tylko na innych, świat będzie tylko gorszy, bo zadziała prawo serii. Wszyscy będą czekali na innych i nikt nie będzie robił tego, co do niego należy.

– Robię swoje.

– Pytanie czy robi pan swoje właściwie?

– Co zatem powinienem z panem zrobić?

Patrzył mi w oczy i wtedy znów się zabarwiły na kolor piwny albo stały się z piwnego bardziej zielone, a może jedno było takie, a drugie inne. Stał tak i drwił ze mnie, szydził w oczy, licząc nie wiadomo na co, myśląc, że mnie intelektualnie pokonał, że osiągnął jakiś wyimaginowany prowokacyjny cel dla swoich mocodawców, bo ja już byłem pewien, że ten człowiek nie działał sam, był świetnie wyszkolony i to, co tu powiedział, było skrupulatnie zaplanowane, uzgodnione z górą, wynikało z założonej strategii. Pytanie tylko, czy jego dowódcy przewidzieli, jak odpowiem na ostatnie pytanie, na tę ostatnią prośbę:

– Cóż, skoro nie możemy stworzyć wspólnej Polski, to może by mnie pan po prostu… wypuścił?

Rozdział 10

– Nikt więcej przez tego pana życia pozbawiony nie będzie – zakrzyknął Birkut pokazując do telewizyjnej kamery zdjęcie doktora M., nazywanego pieszczotliwie przez zaprzyjaźnionych redaktorów radośnie usposobionych propagandówek doktorem Mengele, którego dzień wcześniej aresztował Marcel także w świetle kamer.

Ciągle mnie budzi ten krzyk, ta mina Birkuta, jego zacietrzewienie i błyski w oczach. Marcel miał niezły ubaw, że Birkut dał się tak wkręcić, tak wykorzystać, ale chyba się też przeliczył. Nie sądził, że społeczeństwo z takim bezkrytycznym, agresywnym entuzjazmem kupi te parę zdań młodego szczawia.

– Widać poziom korupcji był znacznie bardziej zastraszający niż nam się wydawało – spuentował.

Mnie jednak mrozi coś innego. W nocnych marach zwyczajnie boję się Birkuta, nie jego poparcia, nie politycznej rywalizacji. Wzbudza we mnie ludzki strach przed czymś totalnym, zwiastuje zagładę.

– Skorumpowanym sukinsynom – ocenił Waldemar, gdy mu opowiedziałem o tym irracjonalnym strachu.

Po powyżej zrelacjonowanej rozmowie z Lwem Dawidowiczem, koszmarny sen z Birkutem wracał niemal co noc. Senna rzeczywistość opanowywała mnie i się rozszerzała na różne sposoby. Doszło do tego, że prowadziliśmy z młodym ministrem ożywione debaty, w których robiłem za adwokata diabła, jakby chcąc uciec przed trafnymi zarzutami Dawidowicza.

– Czy godzi się poświęcać niewinną jednostkę dla bardzo wzniosłych społecznych celów? – Pytało moje widmowe „ja” upiorny hologram Birkuta, a ten odpowiadał:

– Sam pan wie, Naczelniku, że liczą się efekty. A jaki efekt osiągnęło to jedno zdanie? Korupcja w polskich szpitalach praktycznie przestała istnieć. Zabiliśmy ją, zabijając medialnie doktora Mengele. Czy zatem nie była to ofiara uzasadniona, warta poświęcenia?

Wyobraźcie sobie. Sądy dwadzieścia lat mieliły, media niby próbowały ujawniać, ludzie się wściekali, kolejki rosły, system próchniał, pleśniał, gnił od podstaw, chorował coraz bardziej, gangrena go przeżerała na wskroś, a tu wychodzi przed kamerę jeden odważny gieroj i paroma zdaniami rozwiązuje sprawę.

Szast prast.

Mówi wprost: korupcja to zło, to zabójstwo, to faszyzm, to doktor Mengele. Korupcja to ZBRODNIA!

I wszyscy lekarze solidarnie jak jeden mąż (i żona) przestają brać.

Oto prawdziwa siła propagandy.

Jednostka nic nie znaczy – moje upiorne ja usłyszało odległy szept Dawidowicza.

– Nie jest istotne, czy był winny czy nie?

Wątpliwości są dla ludzi słabych, wahanie to oznaka bezradności i niemocy, wstrzemięźliwość jest taka niepopularna, nijaka, wręcz symetryczna – mówią oczy Birkuta, a usta ledwie się otwierają i przez zaciśnięte zęby cedzą:

– Dowody były przytłaczające. Był winny.

– Aż tak, że zasługiwał na publiczne napiętnowanie?

– Dla dobra społeczeństwa.

– No ale ten sąd…

– Za sądy też się weźmiemy. Tak jak i za media. A potem zagonimy ludzi do kościołów i będzie tu raj! Prawdziwy raj! Żaden arabski terrorysta się do niego nie przedostanie. Coś za coś, Naczelniku. Bezpieczeństwo narodu, ekonomiczne wyniki, obrona granic i cywilizacji w zamian za wolność jednostki. W Polsce tylko polscy mężczyźni będę mogli gwałcić polskie kobiety, tylko polscy mordercy zabijać polskie ofiary, tylko polscy terroryści wysadzać budynki i obdzierać ludzi ze skóry. Bo, tak prawdę mówiąc, po co jednostce wolność w tak niebezpiecznym świecie?

* * *

Do dziś zdarza mi się zamykać z Liwią w nocy w jakimś zakamarku, wyciągać małe urządzenie do odsłuchiwania muzyki (nie znam się na tym, więc nie wiem, jak się nazywa i jakie ma inne funkcje, a ponoć ma ich dużo) i włączać nagrania, które Marcel mi dostarczył przez zaufanego posłańca. Dużo jest tych nagrań, setki godzin, tysiące i w niezłej jakości,

lepszej znacznie niż te w telewizji i na portalach, bo na potrzeby dziennikarzy trzeba było te nagrania pogorszyć, żeby ludzie myśleli, że one są rzeczywiście dość przypadkowe, zrobione półamatorsko. W rzeczywistości nagrania są bardzo dobre, dokonane przez wyszkolonych agentów i zdolnych profesjonalistów. W Nowej Polsce, w Polsce Naczelnika, zaangażowani w akcję „Przyjaciele” zostali uhonorowani i obłaskawieni pieniędzmi, zaszczytami, stanowiskami. Zasłużyli.

Była to najlepsza, najskuteczniejsza akcja służb specjalnych w naszej historii, a kto wie, czy nie całego świata. Bo czy komuś innemu udał się podobny numer? Nagrać niemal wszystkich ważnych polityków rządzących (i nie tylko, ale o tym sza), szefów najważniejszych spółek, oligarchów, celebrytów, szpiegów i agentów.

Nigdzie indziej coś takiego nie mogło się udać. U nas zawsze jest inaczej niż na zachodzie czy wschodzie, zawsze jest pomiędzy.

Mylisz się, mylisz – szepcze w głowie jakiś wierszowany chochlik. Nie byłeś jedyny, nie byłeś. Jedno mocarstwo, wiele ofiar. Jedna metoda, wspólny cel. Wiele poligonów, jedna wojna. I nadejdzie ostateczne zwycięstwo imperium.

Won, już – wyrzucam go z myśli.

Najbardziej lubię te nagrania, które nigdy nie ujrzały i nie ujrzą światła dziennego, bo dają mi poczucie swoistej intymności, wyjątkowości. One są zbyt szokujące dla słuchaczy. Pokazują już nie tylko totalne zepsucie i degrengoladę, ale zwiastują upadek tego świata.

Oglądałem kiedyś taki filmowy wykład pewnego filozofa, który dowodził, że każda wielka cywilizacja upadała w pewnych etapach, zaliczając również określone odcinki wielkości. Ostatnią stacją jest zepsucie elit i całkowity brak świadomości tego faktu. Oni widzą tylko swoje pieniądze, bezkres możliwości, wpływy i niekaraną patologię, i wtedy nagle przychodzi lud i obcina im głowy, co kończy się zawsze tak samo: katastrofą, bo lud w słusznym gniewie zaprowadza całkowicie niesłuszny chaos oparty na prymitywnych instynktach. Tak też było z cywilizacją zachodnią i tylko ci, którzy w porę się zorientowali, zdołali przetrwać.

My przetrwaliśmy.

A inne się stało.

Przyszedł lud i obciął im głowy.

Zapanowały rządy bezprawia i terroru.

Z nielicznymi oazami prawdy i wiary.

Trach. A może było inaczej?

Urządzenie, na którym mam te nagrania pozwala odtwarzać także filmy wideo. Tych jest niewiele. Zwykle nagrywający woleli nie ryzykować wpadki i ukrywali urządzenia rejestrujące. Ale jest parę wyjątków.

Przewijam listę nagrań i klikam w numer trzysta szesnaście.

Na niewielkim ekraniku pojawia się szczupła czarnowłosa dziewczyna, a zaraz za nią do pomieszczenia wchodzi Miłosz. Jak zwykle prezentuje się świetnie. Jest przystojny, dobrze ubrany, szarmancki, dowcipny. I te jego zęby przecudnej urody. Gdy niby przypadkiem nachyla się nad kobietą, ta nagle odstawia kieliszek, którym się bawiła, tkwią tak przez chwilę w jakiejś dziwacznej stop–klatce, a potem ona rzuca się na niego albo odwrotnie, on rzuca się na nią, co w gruncie rzeczy jest bez znaczenia (która strona jest bierna, a która inicjująca, gdyż po chwili obie są już czynne i to jak, a dzieje się to w swoistej artystycznej harmonii, jakby dokonywało się tu dzieło sztuki, a nie występku).

Oglądam do końca, czasem przewijam do początku i oglądam ponownie.

Nie odczuwam podniecenia, w ogóle mało we mnie dziś skrajnych emocji. Jestem niczym kronikarz, który próbuje uchwycić coś nowego w doskonale znanym, archiwalnym materiale.

Sekstaśm nagranych u „Przyjaciół” jest więcej. Dominuje ta para, jednak jedno z nagrań dotyczy ministra i jakiegoś innego mężczyzny, który ponoć gorliwie szpiegował dla Rosji.

Zastanawiam się, jak ci ludzie, których nagrania jeszcze tkwią w archiwach i nie wypłynęły, się teraz czują. Mają nadzieję, że nie zostali nagrani, a może liczą, że najpierw się z nimi skontaktujemy. Liczą, że ktoś ich będzie szantażował, da im szansę? A może po prostu tkwią w tej pustce, jak typowe bezwolne, skazane na łaskę oprawców ofiary i czekają na wyrok. Nadejdzie, będzie w końcu ulga. Nie nadejdzie, wciąż będą się bali, ale pewnie tak byłoby lepiej.

Nikt nie chce nagłego strzału w tył głowy.

Moralnie to podłe – myślę sobie o nagraniach. Nie pochwalałem ich, choć mnie rozbawiły i ucieszyły. Etycznie czuję się przegrany, że sięgnęliśmy po ich metody, inaczej się wszak nie dało. Nie sądzę, żeby to był dowód na w istocie dość problematyczną tezę, że jedynie metody esbecji się sprawdzają. Przeciwnie, jest to dowód na to, że nieprzyzwoitość

zawsze wypłynie, patologii nie da się tak całkowicie schować, jak też nie sposób skutecznie wyplenić.

Owszem, te dzieciaki i idioci nagrani u „Przyjaciół” nie zrobili niczego jakoś wielce złego, nie mówili nic, co mogłoby ich i całą formację zmieść z powierzchni ziemi, ale jedno było takie dla nich wspólne i znaczące: oni działali jak małe, aroganckie, upierdliwe wszy, plugawe stworzenia wysysające krew z dawcy, gdzie dawcą jest kraj, naród, dobro.

Ci ludzie pokazali na nagraniach swoją małość i płyciznę. To była ich wielka porażka, zwiastująca nasze bezapelacyjne zwycięstwo. Małość jednych ukazuje wszak wielkość innych. Dobrze jest mieć takich małych, posłusznych wrogów.

– Z dwojga złego wolę wrogów od przyjaciół – syczy mi w uszach Toni, a mnie się wydaje, że słyszę pewnego francuskiego kardynała. Znamienne, że Bródka wypowiedział te zdanie w mojej obecności tylko raz, tuż przed tym, gdy wyprowadzono go na szafot. Sądzę, że trudno się z nim nie zgodzić. Wrogowie są zdecydowanie ciekawsi od przyjaciół. By nadeszło nowe, stare trzeba pokonać albo podstępnie zwieść. A najlepiej najpierw zwieść, następnie pokonać. Inna kolejność jest wszak bez sensu.

* * *

Toni Bródka jako pierwszy (po Mirce i Waldemarze) dowiedział się, że chcę ułaskawić Dawidowicza i osadzić go w szpitalu psychiatrycznym dla wyjątkowo niebezpiecznych przestępców, tym samym, który utworzyliśmy dla tych najbardziej ohydnych odszczepieńców, gwałcicieli, pedofilów, morderców, których dopiero zamierzaliśmy wymordować. Czyż to nie dobre miejsce dla buntownika?

Było to już po tym, jak Toni udowodnił, że Lew Dawidowicz odpowiada za zamach na Grzegorza. Pamiętam, że tuż przed tym Toni przyszedł do mnie i przedstawił swoją koncepcję:

– Lew Dawidowicz stał za zamachem.

Omal się nie udławiłem, choć nic nie jadłem, a on wtedy wpadł w słowotok, że wie, jak to absurdalnie brzmi, jak zalatuje smrodem nonsensownych bredni, ale wiele teorii spisków i andronów się jednak potwierdzało, więc tego przecież całkowicie wykluczyć nie można.

W końcu Dawidowicz miał swoje epizody z WSI, był wykorzystywany przez służby jako bankier, słup, krzak, klakier, ostatecznie przejął stery

opozycji, w co przecież też byłoby trudno uwierzyć rok czy pół roku temu.

Każdy dzień po aresztowaniu Dawidowicza przynosił nowe zaskakujące fakty i dowody, że mamy do czynienia z czymś… niezwykłym. Okazało się, że w większości firm, w których Dawidowicz był zatrudniony, tak naprawdę człowiek ten odgrywał rolę jakiegoś manipulującego rzeczywistością demiurga.

– Nic nie robił, tylko snuł opowieści – powiedział Toni. – A wszyscy pracownicy przestawali pracować i go słuchali. Dlatego te firmy w końcu upadały, a ci oligarchowie pchali go na słupa do kolejnych firm krzaków. Tam nie mógł nikomu już zaszkodzić. I tak można było go wykorzystać także do bardziej niecnych celów…

Zatem może stać i za zamachem. Jest to wręcz bardziej prawdopodobne niż teza odwrotna, czyli, że z zamachem nie miał nic a nic wspólnego.

– A dowody?

Toni zrobił tę swoją słynną minę niewzruszonego na logikę guru spiskowych teorii, wymierzył palec w niebo, jakby to sam Bóg mu zesłał dowody i oznajmił:

– Zdobędziemy najbardziej niepodważalny z niepodważalnych dowodów na udział Lwa Dawidowicza w zamachu.

– To znaczy?

– Jego przyznanie się do winy!

Nie wiem (a raczej nie wiedziałem), jakim cudem mu się to udało, ale zaledwie tydzień po tej rozmowie Lew Dawidowicz przerwał głodówkę i milczenie (żądał niezmiennie rozmów tylko ze mną), poprosił o spotkanie z prokuratorem, złożył szokujące dla niego i innych wyznanie, a następnie zgodził się wygłosić krótkie oświadczenie do kamery, w którym wyznał, że zabił mojego brata z pełną premedytacją, po wielu miesiącach skrupulatnych przygotowań z grupą innych spiskowców (ustalonych już, więc będą zatrzymani) i dziś tego bardzo żałuje, ale nie może cofnąć czasu.

Ciągle mam przed oczami te kłamliwe kadry, tego biednego człowieka zmuszonego psychologicznymi torturami do oświadczenia pełnego bzdur i irracjonalnych nieścisłości, choć Toni dobrze zadbało o jego merytoryczne przygotowanie i opracował mu cały zestaw pomocy naukowych (jak doszło do zamachu, jakich technik użył i kto mu je dostarczył – w tym ostatnim aspekcie musi zachować milczenie ze względu na obawy o życie rodziny).

– Chciałem przeprosić z tego miejsca naród Polski, Polaków, a szczególnie… brata pana prezydenta. Przepraszam, panie Naczelniku!

Toni Bródka kwitł w oczach, wysuwał długą szyję, z dumą wznosił czoło ku słońcu, a w oczach błyszczało niezachwianą pewnością: „a nie mówiłem, że to był zamach”. Tego wieczoru przyszedł do mnie z uśmiechem przyklejonym do gęby, stanął w drzwiach, wyprostowany na baczność i czekał na pochwały, które nie padły.

– Jak tego dokonałeś?

Błysnęło mu w oczach, a ja nagle zrozumiałem. Nic nie musiał już więcej mówić, choć dowody na moją teorię zdobyłem dopiero po kilku tygodniach, gdy doradcą Toniego w ministerstwie został nastoletni Adaś Dawidowicz.

Jakim trzeba być potworem, by tak krzywdzić młodych ludzi?

Szczegóły sprawy Toni wyznał dużo później na przesłuchaniach przed własną kaźnią. Przyznał się wówczas, że zmyślili całą sprawę z Dawidowiczem, którego zmusił do wzięcia odpowiedzialności za zamach na Grzegorza szantażem, informując, że w przeciwnym razie będą torturować, a ostatecznie pozbawią życia ukochanego syna Dawidowicza, wspomnianego Adasia.

W rzeczywistości nie torturowali chłopca, namówili go za to do współpracy (szczególnie nie trzeba było namawiać), w zamian za obiecane korzyści Adam odegrał teatrzyk zastraszonego i sponiewieranego syna, a Lew Dawidowicz przyznał się, do czego tylko chciał Toni Bródka.

Tak oto miałem na sumieniu męczennika i dobrze o tym wiedziałem. Dlatego postanowiłem go ułaskawić (uznając, że przecież już osiągnęliśmy efekt, mamy dowód na zamach, mamy winnego, po co dopełniać ten krąg zbrodni? Dawidowicz przecież zawsze może się jeszcze przydać).

Ale Toni Bródka nie chciał o tym słyszeć. Wparował do mojego gabinetu mimo protestów Mirki i od razu zaatakował:

– Panie Naczelniku, to niemożliwe! Nie może dać się pan tak zwieść. Ten człowiek jest wyrachowanym, starannie przygotowanym prowokatorem, końcowym elementem operacji specjalnej, zmierzającej do zamachu stanu, przejęcia władzy i przywrócenia wpływów dawnej nomenklaturze. Zamach na prezydenta, który przeprowadził, a następnie podobnie perfidny, skrytobójczy plan targnięcia się na pańskie życie, który ów nieszczęśnik przygotowywał ze swoimi mocodawcami, nie był ostatecznym celem, tylko etapem do przejęcia władzy, dlatego sądzę, że nie ma pan moralnego prawa decydowania, czy ten ktoś zasługuje na łaskę czy też nie. Człowiek ów

musi zostać publicznie stracony. Musimy pokazać obywatelom i światu, że jesteśmy konsekwentni w zapowiedziach, bezlitośni dla zdrajców.

– A jeśli się mylimy, Toni? – Zapytałem tylko, choć znałem odpowiedź. Toni Bródka godzinę przekonywał mnie do swoich racji i wyszedł w końcu z zapewnieniem, że porzucę swoje nędzne, szkodliwe dla sprawy skrupuły, wyrzuty sumienia oraz niedorzeczne moralne wątpliwości i będę się spokojnie przyglądał, jak oni z Marcelem zrobią, co do nich należy i zamordują tego nieszczęśnika.

Egzekucję poprzedzono najbardziej zmasowaną kampanią wizerunkowo–reklamową w najnowszych dziejach Polski. W końcu to było wydarzenie, po latach posuchy, pierwszy kraj Unii Europejskiej przywraca karę śmierci, na dodatek decyduje się ją wykonać publicznie i w sposób niezwykle drastyczny poprzez obcięcie głowy toporem.

Kat – wybitny specjalista od rekonstrukcji historycznych, początkowo zaskoczony propozycją, następnie szczerze podekscytowany możliwościami naukowymi, teraz odrobinę wystraszony nadchodzącą próbą – osobiście dobrał sobie naznaczony zębem czasu oręż, zadbał o jego naostrzenie i właściwe wyważenie.

– Ważniejsze jest to drugie, bo jak topór będzie całkowicie tępy odetnie głowę pod warunkiem odpowiedniej wagi i wprawy uderzającego. Jeśli jednak źle go wyważymy, może zwyczajnie odbić się od kręgów, a wtedy telewizje świata pokażą naszą kompromitację, a nie chwałę.

Dzień przed egzekucją poszedłem do Dawidowicza i próbowałem go skłonić do ukorzenia, błagania o łaskę, a może coś da się zrobić.

– Wystarczy, żeby pan przyznał, że działał na zlecenie agentów służb specjalnych obcego państwa, a teraz bardzo tego żałuje. Daruję panu karę i nakażę osadzenie w specjalnym ośrodku, razem z innymi zbrodniarzami. Po roku przeprowadzimy badania, może jeszcze wtedy pana nie wypuścimy, dla pana własnego dobra, ale w drugiej lub trzeciej turze badań już tak. Wróci pan do społeczeństwa, zapomnimy… o tym nieprzyjemnym incydencie.

– Nikt mną nie manipulował. Poza tym już mówiłem śledczym: nie mogę wyjawić moich ewentualnych mocodawców z powodu obaw o życie mojej rodziny.

– Nie musi pan przede mną udawać. Wiem, że to Toni pana zmusił do przyznania, to on pana złamał i wykorzystał. Proszę się ratować.

– Nie ma już dla mnie ratunku…

Przyjechałem do niego z walizką pełną specjałów. Pomyślałem, że go tak przekupię, ale nie, w zasadzie to była taka ciekawostka, chciałem się przekonać, czy będzie jadł z takim apetytem, jak u mnie w domu.

I istotnie, jadł, aż mu się uszy trzęsły. Przyniosłem w walizce zarówno przekąski na zimno, jak i w specjalnych opakowaniach i termosach gorące dania i napoje. Celowo tylko polskie, najbardziej tradycyjne.

Barszcz z uszkami i paszteciki pochłonął błyskawicznie. W sandaczu z prawdziwkami w sosie kurkowym trochę dłubał szukając ości (nie lubię ości – powiedział – mam wyjątkowego pecha i zawsze jakąś połknę, choćbym nie wiem jak uważał). Golonkę po staropolsku, w miodzie i piwie za to zjadł niemal naraz, ze skórką. Potem zabrał się za desery, serniki z konfiturami, bezy i galaretki, a na końcu wypił mocną, prawdziwą kawę plujkę, kolumbijską z Peweksu.

– Smakowało?

– Bardzo, ma pan dobrego kucharza.

– Kupiłem na bazarku – skłamałem. Jedzenie pochodziło z najlepszej warszawskiej restauracji.

– W następnym wcieleniu na pewno ją odwiedzę.

– Nie będzie następnego wcielenia, Lwie. Musi pan się opamiętać i zrezygnować z tej patologicznej narracji. Proszę przyznać, że przeszedł pan druzgocące załamanie, a następnie oświeciło pana nawrócenie i już pan nie będzie…

– Mówiłem, działam świadomie i nie chcę pańskiej łaski.

– Wierzy pan w Boga?

Milczał dłuższa chwilę.

– Nie wiem.

– Jak to pan nie wie? Co za głupia odpowiedź.

– Moi rodzice byli komunistami. Oboje, to znaczy moja prawdziwa mama i ojczym, którego sobie dobrała, gdy już byłem dość duży i z którym się zaprzyjaźniłem. Jawnie popierali system i starali się mnie uchronić przed wszelkimi zagrożeniami, w tym przed opozycją, bo uważali, że opozycja jest całkowicie bez sensu i może tylko zniszczyć człowiekowi życie, a oni przecież nie chcieli dla swojego syna (pasierba) takiego losu. Jednocześnie posyłali mnie do kościoła, ochrzcili w innym mieście. Nie dlatego, że wierzyli w Boga, ani nie dlatego, że nie wierzyli w partię. Po prostu uważali, że w ten sposób idą jednocześnie po dwóch równoległych torach, nie przyjmując do wiadomości refleksji, że kiedyś one muszą się

rozejść, natrafić na skrzyżowanie, na którym w końcu trzeba wybrać. Mimo to uważam dziś, że to było bardzo dobre dla mnie. Nienawidziłem kościoła, a jednocześnie czułem się w nim jakoś tak strasznie dziwnie. Do dziś mam wrażenie, że dobrze na mnie wpływa, choć przecież nie wierzę w jego nauki, nie odprawiam rytuałów, nie modlę się wyuczonymi w miejscach kultu formułkami. Bycie w kościele to jednak strasznie niezwykłe, wręcz duchowe i mistyczne doświadczenie. Spowiadam się, kłamię spowiednikowi, a kiedy wychodzę od niego, czuję się oczyszczony. Jakby w duchu przebiegała prawdziwa spowiedź, doznaję odpuszczenia grzechów. Sądzę zatem, że Bóg istnieje i można go spotkać w waszym kościele, kto wie, może wygląda trochę tak, jak go przedstawiacie, ale częściej chyba przebywa zupełnie gdzie indziej, o tu – wskazał na swoje serce, – a kościół może jedynie wyzwolić w nim aktywność, którą sami usypiamy, a może którą On usypia, bo nie chce patrzeć na nasze bezeceństwa, na naszą trywialną małość, na nasze kompleksy, zakłamanie, okrucieństwa, tchórzostwo, podłości i poszukiwanie łatwych rozwiązań. Ten Bóg, prawdziwy Bóg, na pewno nie jest zaś taki, jakim widzą go pańscy poplecznicy, Naczelniku. Na pewno nie oczekuje napastliwości, agresji, przemocy, zamknięcia na kulturę czy nowoczesność. Mój Bóg jest postępowy, wyrozumiały, wstrzemięźliwy i pełen dylematów. Zna pan takie powiedzenie, że nieszczęściem świata jest to, że ludzie głupi nie mają żadnych wątpliwości, a mądrzy mają ich zbyt wiele.

– To powiedział, zresztą nieco inaczej, Bertrand Russell – odparłem.

– Uważa pan, że nie miał racji?

* * *

Lwa Dawidowicza stracono we wtorek, 15 sierpnia, w Dniu Zwycięstwa, Narodowego Święta Wojska Polskiego i Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, Matki Bożej Zielnej, Matki Bożej Znakomitej oraz Matki Bożej Korzennej.

Był to bardzo upalny dzień, temperatura dochodziła do 38 stopni, co jak na nasz kraj było temperaturą ekstremalną, ludzie na Placu Defilad, na którym wykonano egzekucję, mdleli z gorąca i ekscytacji.

Oto miało się dokonać, po latach wracała tak upragniona kara śmierci. Oczywiście przybyło też trochę zwolenników opozycji, niedobitków liberalnych i socjalistycznych, paru Syjonistów, Murzyni z Francuskiej,

Arabowie z Placu Zbawiciela, cała banda wschodnich nacji z Koszyków, Chińczycy od Hallera, którym pozwoliliśmy przyglądać się kaźni. Byli Kaszubi z Kartuz i Kościerzyny, Ślązacy z Gliwic, Maruderzy Wielkopolscy, Łemkowie lubuscy, Górale (z gór), Mazurzy (z Mazur), Ukraińcy (krajowi), paru Włochów (uwodzicielskich, o oczach jak czarne brylanty), Ormian (niebezpiecznych), Czeczenów (zagadkowych), odszczepieńców nizinnych (pochodzenia niewiadomego). Nawet Izu ze Szczecina, słynny bokser polski, wspaniały, odważny, choć czarny.

Widziałem na ich twarzach, jak nienawiść do nas zmienia się w smutek, przerażenie i świadomość, że już nie zwyciężą, muszą pogodzić się ze statusem mniejszości, dostosować do naszych norm i reguł albo… wypierdalać. Nie da się z Dawidowicza zrobić ofiary systemu, nie da się go ubrać w szaty niewinnego mistyka.

Już Marcel o to zadbał, a Toni zatwierdził jeszcze krwawiącą szkarłatem pieczęcią.

Tydzień przed egzekucją media zaczęły się prześcigać w doniesieniach na temat skazańca. Okazało się, że jest nie tylko zamachowcem, zabójcą mojego brata, sprawnym manipulatorem, ale i doskonałym oszustem. Wyciągnięto znane fakty: pracę dla oligarchów, karierę w Wojskowych Służbach Informacyjnych, wiele nieścisłości z życiorysu, udział w prywatyzacjach, mafiach, zabójstwach, machinacjach. Twierdzono, że to on stał za komputeryzacją ZUS.

W jednej z telewizji wypowiadał się syn Adaś, który zauważył beztrosko, że ojciec zawsze był osobnikiem podejrzanym, elementem wywrotowym, niegodnym, zagadkowym i zasłużył z pewnością na karę, a w ogóle on nie ma pewności, czy jest jego prawdziwym synem, w czym sekunduje mu mama, która jednak ze skromności i poczucia winy do kamery nie chciała się wypowiadać.

Dawidowicz podążał w otoczeniu żołnierzy i policjantów. Prowadzono go w czarnym kapturze, ale tuż przed egzekucją pozwolono jeszcze ostatni raz spojrzeć na świat własnymi oczami.

Stał i patrzył spokojnie po ludziach.

Uśmiechnął się w moim kierunku, a lud odebrał ten uśmiech jako wyraz szczególnej pogardy, szyderstwa i lekceważenia w obliczu śmierci. Tego było za wiele i całym Placem Defilad aż wstrząsnęło od wybuchu nienawiści i żądania przyspieszenia krwawej łaźni.

– Zabić! Zabić! Zabić!

Kat założył z powrotem więźniowi kaptur, a potem zmusił go do klęknięcia i położenia głowy na czarnym pieńku, zaprojektowanym na tę okazję przez samego Wacława Ignacego, zwanego Maryjnym, najsłynniejszego polskiego architekta, twórcę dziewięćset sześćdziesięciu sześciu obelisków upamiętniających najważniejsze wydarzenie w dziejach ludzkości.

Rozległy się fanfary i wielki, historyczny topór powędrował do góry, nad głowę wspaniale umięśnionego trenera fitness, rekonstruktora bitewnego i nowego narodowego kata w jednym.

Płomienie słońca błysnęły w odbiciu szerokiej stali, mięśnie napięły się, wypluły grube żyły na wierzch, te niemal przecięły skórę, żelazne dłonie zacisnęły się z wprawą na trzonku, a następnie pchnęły oręż w przód i pozwoliły, by ciężar narzędzia sam zrobił swoje.

Potężny topór opadł z przeraźliwym świstem na szyję skazańca, a stało się to w tak idealnej, nagle wywołanej ludzką solidarnością ciszy, że można było ją kroić nożem, a co dopiero toporem.

Trach. Głowa w kapturze potoczyła się po scenie, została ujęta przez asystentów kata–rekonstruktora i wrzucona do wora („A wór do jeziora” – zakrzyknęła lewa strona, ta bardziej narodowa), ciało zaś trysnęło różnymi wydzielinami, w tym krwią w ilościach obfitych, a potem opadło na bok i też zostało zakryte specjalnie zakupioną w tym celu czarną folią z napisem:

KARA ŚMIERCI PRZEZ ŚCIĘCIE.

Tłum wiwatował, kompania reprezentacyjna strzelała salwami, damy mdlały, mężowie czuli przyjemne mrowienie (w głowie, piersi i podbrzuszu), szczury w kanałach pod placem nerwowo przebierały nogami, koty strzygły wąsami, psy wyły i dyszały, a ja myślałem: oto zabijamy okrutnie niewinnego człowieka, nawet jeśli nie był tak całkowicie bez winy, bo przecież zginął nie za to, co zrobił, tylko za to, że się nam zwyczajnie napatoczył, czyli znalazł się w złym miejscu o złym czasie. Same sprzeczności.

Gdy już głowa Lwa Dawidowicza potoczyła się po scenie, odcięta przez katowski topór, nad miasto nadciągnęły ciężkie czarne chmury poszarpane nitkami błyskawic, pełne fioletowych bąbli, granatowych przecinek, oślepiających fleszy, migotliwych odblasków, skundlone jak myśli tego nieszczęśnika. Nisko płynęły nad ziemią, zabrały słońce, sięgały wysoko

i szeroko, tak że w mig zasłoniły całe niebo, zrobiło się ciemno jak w zimie, a było lato, środek lata i dnia też środek.

Traaaaaach – gruchnęło z nieba.

Grad, wiatr, grzmoty i błyskawice rozgoniły ludzi i po chwili na placu zostaliśmy tylko my w swoich pancernych limuzynach i puste miejsce kaźni, gdzie plamy krwi szybko zmył deszcz i tylko pamięć pozostała.

Tego dnia doszło w kraju do wielu anomalii. Straszliwa burza zniszczyła niemal całe Kaszuby, zrównując z ziemią niezliczone połacie lasów, przewracając domy i porywając ludzi. Na Pomorzu szalał sztorm z falami sięgającymi piętnastu metrów, przewracającymi statki i jachty jak łupiny. W górach tradycyjnie wiał Halny, w miejscowości Boże Dzieło zeszła lawina błota i kamieni, która przysypała całą wycieczkę częstochowskich pionierów. W Poznaniu grom uderzył w katedrę, runęła wieża ciśnień i zalało cały stary browar. Wrocław utonął w ciszy, a cały Kraków pokrył się sadzą z węglowych kominów, które zaczęły wydychać smog same z siebie, bez podpałki.

Tabloidy donosiły o wielu pogodowych ekstremach, na ulicach widziano dziki i węże, na wiejskich polach pojawiła się plaga jadowitych żmij, a w Lublinie jakaś naga kobieta próbowała latać na miotle (biedaczka spadła z wysokości i zginęła na miejscu).

Toni oczywiście uważał, że to zmasowany i skoordynowany atak przy użyciu nowoczesnej broni meteorologicznej inspirowany zapewne przez Rosjan, a przeprowadzony przez niemieckich uchodźców z ziem odzyskanych przy udziale tych wszystkich innowierców.

– To wojna cywilizacji. Znamienne, że żadna kapliczka, żaden obiekt oznaczony krzyżem nie ucierpiał – stwierdził, a ja zastanawiałem się, czy katedra w Poznaniu była wyjątkiem, czy też może akurat krzyż z niej chwilowo zdjęto, a może w Poznaniu w katedrze mieszkają diabły?

Tej nocy na Wawelu odbyła się specjalna msza w intencji poległych i poszkodowanych, na której komunii udzielał sam papież (nasz, nie ten watykański) i na której pojawili się także moi dawni przeciwnicy.

Pamiętam, że tuż przede mną do komunii przystąpił taki jeden Mietek, dziś mój poplecznik (bo się opłaca), dawniej wróg, zatwardziały ateista. Gdy potem podszedłem do niego i zapytałem, jak taki drań, jak on, może przyjmować komunię świętą i nie paść otruty, uśmiechnął się nieszczerze i odparł:

– To tylko zawodowo.

Toni podszedł zaraz, gdy Mieciu się oddalił i szepnął:

– On będzie następny dla kata.

Niestety, mylił się, choć tak rzadko się mylił.

* * *

– Wiedział pan, że Toni jest rosyjskim agentem?

– Nie był nim.

– Dowody świadczą….

– Zostały sfabrykowane przez usłużnych rosyjskich szpiegów i dywersantów.

– Jak zatem wytłumaczyć to, co robił, co… robiliście razem?

– Szukaliśmy prawdy i sprawiedliwości.

– Tworząc podziały i nagłaśniając absurdalne teorie spisku, które nijak się miały do realiów, za to bardzo pasowały największemu wrogowi?

– To pana zdanie.

– Pańskie jest inne?

– Dziś chyba nie ma już znaczenia.

– Niech pan mi powie: jak można było to zepsuć, jak można było przegrać tę dziejową szansę? Polska w prawdziwej Europie, w wielkiej europejskiej rodzinie, integralna z krajami kontynentu, szanowana, wspólna, rozwijająca się, bogacąca, nowoczesna, na kursie ku dobrobytowi, porzucająca zaściankowość i prowincjonalność? Jak można było to w tak krótkim czasie zniszczyć, zaprzepaścić i zostać… samemu.

– Z Ameryką.

Milczenie. Długie milczenie. A potem kapitulacja. Krótka, acz treściwa:

– Tak, z Ameryką…

* * *

Dość często ostatnio myślę o Wolskim, którego nazywali Cesarzem lub Profesorem. Miłosz nie lubił o nim opowiadać. Był to dla niego oczywisty kłopot, jednak – z właściwą sobie gracją – uciekał z drażliwego tematu. Zwykle wyjawiał, że pracował dla pieniędzy i tego nie ukrywał, gdy jednak sam go kiedyś poprosiłem o szczerą odpowiedź, uznał chyba, że zbyt prosta nie zostanie przeze mnie przyjęta, powiedział więc:

– Uwierzyłem w ten projekt.

Sądzę, że kłamał i mówił prawdę zarazem. Wiem, że to sprzeczność, ale chodzi mi o fakt, że on rzeczywiście wierzył w moc tego najważniejszego, ostatniego projektu Wolskiego, ale tak naprawdę wierzył, że z jego pomocą wszystkich oszukają, a nie stworzą coś rzeczywiście wielkiego, jak chciał Wolski.

A ja? O dziwo, choć wszędzie powtarzam, że to było wielkie oszustwo, czasem łapię się na spostrzeżeniu, że się mogło udać, że mogło odmienić ojczyznę. Pytanie czy to dobrze? Czy gdybyśmy mieli tu kraj dobrobytu, ja powinienem się cieszyć? Gdyby Polacy byli bogaci, dobrze leczeni, sprawiedliwie sądzeni, nowocześni, piękni, przystojni, wykształceni, kto by wtedy na mnie głosował? Kto by się dawał nastraszyć, ciągnąć do kościoła, wierzyć w teorie spisku, no kto?

Któregoś dnia w tajemnicy przed Miłoszem poprosiłem Waldemara, żeby mi przywiózł z więzienia Daniela Iskę, którego moi poprzednicy zrobili prezesem giełdy i który dał się nagrać z Cesarzem, jak przyjmuje od niego łapówkę. Waldemar zdziwił się, że chcę rozmawiać z takim typem, oślizgłym wężem, draniem, który na zlecenie banków uczestniczył w tylu kradzieżach polskiego majątku, który zwyczajnie nie zasługiwał na podawanie mu ręki na zgodę czy z grzeczności.

– Nie martw się, nie podam mu dłoni – odparłem i istotnie, nie podałem.

Nie zaprosiłem do stołu, nie poczęstowałem wodą, nie dałem nic zjeść czy wypić. Ten drań nie mógł liczyć na takie przywileje jak Lew Dawidowicz.

Wychudzony był po latach więzienia, naprawdę źle wyglądał. Najskuteczniejsza aresztancka kuracja odchudzająca. Z tego, co powiedział mi Waldemar, już dziesięć lat Iska czekał na proces.

– Jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli przypisać mu jakiś mord, bo wygra duże odszkodowanie w sądzie.

– W jakim sądzie? – zapytałem wtedy i obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

Iska stał wystraszony i pozwalał mi się oglądać, jakby był przyrodniczą ciekawostką, okazem muzealnym.

Milczeliśmy tak, aż w końcu ja przerwałem ciszę:

– Chciałem, żeby opowiedział mi pan o Stelaris?

Wyciągnąłem dokumenty tego oszukańczego projektu, który niby miał doprowadzić do stworzenia w Polsce super nowoczesnego produktu. Ów produkt miał zaś podbić nie tylko kraj, nie tylko zachodnią Europę, ale i cały świat. Wprowadzić nasz kraj na zupełnie inny poziom.

– Co pan chce dokładnie wiedzieć?

No właśnie? Co?

– Chcę wiedzieć, jak to miało działać, czy miało sens ekonomiczny, czy mogło… się udać?

Danielowi Isce zaświeciły się oczy. Widziałem w nich prawdziwą odpowiedź, widziałem przez chwilę wizję tego sukcesu. Wielkiej, wspaniałej polskiej firmy, która doprowadza do zmiany światowego układu sił, sprawia, że nasz kraj staje się prawdziwym mocarstwem, że zaczynamy liczyć się w świecie nie tylko z powodu własnego ego i możliwości literackich (procentowo wyrażanych w promilach).

A potem blask gaśnie, a Iska mówi krótko:

– Nie, to się nie mogło udać. Nie w Polsce.

Mam wrażenie, że chce dodać: „Nie w Polsce pana marzeń” ale aż tak bezczelny nie jest. Potem pytam go o inne przekręty, o to jak ułożył się z Wolskim, Maciarzem i Wolakiem, żeby wyprowadzić z Polski całą telekomunikację, jak doprowadzali do upadłości przedsiębiorstwa, stocznie i linie lotnicze, by je tanio sprzedawać zagranicznym kontrahentom, jak okradli nasze banki, jak pozbyli się przemysłu, jak robili przekręt na przekręcie, ale Daniel Iska nie jest dobrym rozmówcą.

Zresztą przecież taką utrzymuje linię obrony od dziesięciu lat i wciąż liczy na uczciwy proces, więc nagle jej nie złamie.

– Na tym polega ekonomia, tak to działa w rynkowym świecie, panie Naczelniku. Bogaci wykorzystują biednych, żeby być jeszcze bardziej bogaci, a biedni dają się wykorzystywać, bo mają zbyt małe umiejętności, by być bogaci. Nie ma tu żadnego spisku i układu, choć wygodnie jest biednym snuć takie teorie. Ale świat już jest tak wstrętnie ułożony, dlatego pewnie musi zostać w końcu zburzony. Zawsze znajdzie się rewolucjonista na tyle podły, pazerny na władzę i zakłamany, by biednych uwolnić od bogatych i by ci pierwsi stali się jeszcze biedniejsi, bo innej możliwości nie ma. Nakłanianie do działań na własną zgubę jest podłością czy tylko wyrachowaniem, jak pan sądzi, panie Naczelniku?

Może i coś w tym jest – myślę, gdy już tego nieszczęsnego Iskę wyprowadzają. Może i nie rozumiem ekonomii, globalizacji, tych drańskich, mafijnych korporacji, które są gorsze od Pruszkowa i od WSI, tyle że do swoich przestępstw wykorzystują prawo, ale czy to znaczy, że należy pozwalać kraść? Ja udowodniłem, że tego nie wolno i co, że mi powiedzieli, że to przypadek.

– Oni zaczęli się pana bać, Naczelniku – wyjaśnił mi minister finansów i narodowej gospodarki. – Ot, taki paradoks. Jak się boją, to nie kradną.

* * *

Trach. Budzę się w nie swoim domu i jakby innej skórze. Patrzę w lustro, jednak to ja. Może nieco inny. Nie mam na sobie garnituru tylko flanelową koszulę i dżinsy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio nosiłem dżinsy, chyba w dziewięćdziesiątym albo dziewięćdziesiątym pierwszym, gdy z Grzegorzem opijaliśmy sukcesy i nadchodzące porażki, gdy zapatrzeni w nowe możliwości, żartowaliśmy z siebie zmieniając nasze nazwiska i imiona na modę rumuńską, bo tam rozliczyli się z komuchami jak należy, szast prast, przez egzekucje i win jawne, powszechne wyznanie.

I tak on był Gregoresku, a ja Naczelniczesku.

Ale teraz te dżinsy wcale nie kojarzą się dobrze, bo powinienem mieć na sobie coś zupełnie innego. I nie wolno mi było słyszeć z kuchni odgłosów, które słyszę.

Ktoś zmywa naczynia. Ten ktoś to ten ktoś, ale o nim za chwilę, jak wejdzie.

Salon to duży pokój, mieszkamy w bloku, na trzecim piętrze. Ja sprzedaję odkurzacze i właśnie zjadłem obiad. Barszcz czerwony z kołdunami, kotlet i ziemniaki, mizeria, a na deser sernik, polski, prawdziwy, nie żaden francuski. A ona… jest gospodynią domową i nauczycielką, jak moja mama.

Pracuje w szkole dla uczniów specjalnej troski, bo ona jest kobietą opiekunką, zawsze bierze na siebie najtrudniejsze zadania, dlatego chce z nimi pracować, takimi uczniami trudnymi, dać siebie tym najbardziej potrzebującym, tak jak kiedyś wybrała sobie mnie, wbrew mnie, dając prztyczka w nos losowi. Trochę mi żal, że nie mamy domu na wsi, ani przyjaciół na wsi, i w tym domu nie odbywają się przyjęcia i schadzki lokalnej inteligencji, że nie przychodzi do nas ksiądz proboszcz, mecenas, burmistrz, ziemianie, że nie gramy w brydża, wista, bakarata albo innego preferansa, że nikt nie gra w naszym domu na pianinie, a nawet nie ma w nim pianina, że nikt nie deklamuje wierszy, nie śpiewa, nie recytuje, nie wygłasza płomiennych mów.

Nie ma tego. Jest szary blok, M3 czy dwa, a może cztery, są dwa pokoje z kuchnią, łazienka wspólna z ubikacją, są odpadające płytki, piecyk

gazowy, mała wanna i nadzieja, ona jest, jak zawsze.

Joanna wciąż jest za to piękna, a ja wciąż przystojny i silny, wysoki, męski. Często jestem w trasie, jeżdżę z odkurzaczami, codziennie w innym mieście je prezentuję, omawiam, dyskutuję z ludźmi na różne tematy, choć staram się nie o polityce, bo polityki nie lubię, a każdy polityk przecież jest taki sam, siebie wart, chce tylko okłamać lud pracujący, zyskać poparcie dla władzy, a potem go już ten lud nie obchodzi, tylko knucie kłamstw kolejnych zajmuje.

– Za to odkurzacze mam wyjątkowe – ucinam, gdy ktoś bardzo się upiera i nagabuje. – Wszystko posprzątają, każdy brud, nieczystość. Piorą też i same jeżdżą jak trzeba, choć lepiej zawsze odkurzacz pilnować, tak bezpieczniej, żeby przy okazji sprzątania brudów nie wciągnęło czegoś wartościowego, czego pozbyć się nie chcemy, choć z drugiej strony lepiej mieć czysto, także kosztem strat, niż dopuszczać do rozwoju tego brudu, bo nieczystości mają to do siebie, że narastają, nigdy same nie znikają, a jeszcze przyciągają, co najgorsze, jak karaluchy, pluskwy, wszy, szczury i inne plagi.

Na spotkania przychodzą głównie starsi ludzie, których w zasadzie moje odkurzacze nie interesują. Przychodzą po to, żeby dostać nagrodę i tego nie ukrywają. Ale przy tym są bardzo grzeczni i sumienni. Najpierw mnie wysłuchują, cały wykład uważnie chłoną, potem klaszczą, długo klaszczą, a następnie podchodzą i nieśmiało dopytują:

– Kiedy będą nagrody?

– Mogę wziąć dwie, żona przyjść nie mogła?

– A jest większy rozmiar, bo ja lubię duże?

Zawsze się taka trafi, co lubi duże, zwykle brzydka i z samej postaci, nie tylko słów, wulgarna, nieprzyjemna, zwyczajnie nieciekawa, a wydaje jej się, że jest centrum świata.

Tacy co dla żony czy dzieci też zawsze się trafiają.

A niecierpliwych jest bez liku.

I wychodzą, prawie nikt odkurzaczy nie kupuje, bo albo już mają, albo kupują tańsze, w supermarketach, niemieckich lub francuskich, gdyż polskich nie ma, albo po prostu nie sprzątają, ponieważ w domu mają czysto, a raczej tak im się wydaje, przecież czysto nigdy nie jest, zawsze jest tylko mniej brudno (taki to już los komiwojażera od czystości, że musi tak mówić, na to zwracać uwagę, paluchem szukać kurzu, nie miejsc wysprzątanych).

Wtedy sobie myślę, że zły zawód wybrałem. Mogłem zostać na przykład politykiem, skoro jako sprzedawca odkurzaczy nie mogę zarobić. Bo prawda jest taka, że im więcej się angażuję i staram, tym więcej tracę. Jeżdżę po tej Polsce, przekonuję, zbieram tłumy, i więcej wydaję na nagrody i prezenty, a odkurzaczy sprzedaję coraz mniej. A powód tego jest niezwykle prosty: inni domokrążcy mianowicie są zwyczajnie bardziej biegli w naciąganiu, oszukiwaniu, omamianiu, manipulowaniu, a ja chcę być za prawdziwy, zbyt uczciwy, naiwnie myśląc, że to mi się opłaci.

– Pan to powinien zająć się polityką – powiedział mi w końcu jeden taki dyrektor domu kultury, w którym zorganizowaliśmy spotkanie. – Ma pan gadane jak dobry polityk i bije z pana taka uczciwa złość, taki prawdziwy czysty człowiek, a od takiego nikt nic nie kupi, bo to podejrzane. Handlarze z reguły są przecież zupełnie inni, to taki jeden uczciwy jak się trafia, jest zupełnie nie na miejscu. W polityce zaś uczciwych brak, ale tam taka odmienność by się przydała, mogłaby przynieść skutek i poparcie. Albo powinien pan napisać powieść. Jak nie powieść to książkę o swoim życiu.

– O czym miałbym napisać?

– A choćby o swoich marzeniach. Dobrze jest pisać o marzeniach, dzięki temu czasem się spełniają.

– Kiedy ja mam tylko takie zwykłe marzenia.

– No i takie są najlepsze.

Gdy tak rozmawiamy o marzeniach, właśnie sobie uświadamiam, że moje są istotnie bardzo proste. Nie marzę o podróżach dalekich, o komputerach, o jakichś niesamowitych sukcesach, ani o kobietach pięknych, o byciu aktorem czy modelem, miliardach na koncie.

Nie, moje marzenia są takie zwyczajne i bliskie. O rodzinie marzę, o kraju bezpiecznym i o kocie. Chciałbym mieć kota, ale Joanna ma uczulenie. Nie może chwili wytrzymać ze zwierzęciem w pomieszczeniu. Zawsze gdy o tym myślę, przypomina mi się żart, który usłyszałem od kogoś, że mężczyzna dostał w prezencie kota, ale okazało się, że jego żona ma uczulenie. Śmieję się zanim dopowiem puentę i wyobrażam sobie ogłoszenie: „Sprzedam namiętną kocicę, metr sześćdziesiąt, czterdzieści osiem kilo, uczulona na inne kotki.”

Czasem przychodzą na spotkania ludzie bardzo nieufni. To dlatego, że wielokrotnie ich już oszukiwano. Telemarketerzy do nich dzwonili i namawiali, a potem wciskano im kredyty albo rzeczy wadliwe, niepotrzebne, a prezentów nie dawano.

– Coraz więcej oszustów – mówili. – Świat idzie w złym kierunku, skoro ludzie tak bezczelnie się oszukują i zależy im tylko, żeby wcisnąć badziew bliźniemu.

Przychodzili jednak, bo raz, że naród jest, jaki jest, albo czeka, żeby go oszukano i jeszcze o to prosi, albo chce się przekonać, że tym razem oszukać się nie da, a i tak się daje.

No i są tacy, którzy chcą się zemścić i napaskudzić. Jeden taki podszedł do mnie po pokazie i mimo że dostał prezent, a ja go nie chciałem na nic naciągać, to szast prast i walnął mnie w ryj z partyzanta. A gdy zapytałem za co, on odparł:

– A za tamto!

Dawniej bym mu oddał, ale jakoś zgnuśniałem przy tych odkurzaczach, poza tym myślałem sobie, że to nie jego wina, może sam jestem winny, bo co to za zawód, komiwojażer i to jeszcze od odkurzaczy.

Na spotkaniach też mówią o tym, że w Polsce nie dzieje się dobrze, że WSI rządzi, że nie ma nikogo, kto by zrobił z tym porządek, że służba zdrowia droga i niesprawna, leki w aptekach nieskuteczne, sądy opieszałe i bandytów wypuszczają, a uczciwych skazują, że nie szanuje się bohaterów, Powstańców i Armii nie szanuje, że drwią z Najświętszej Panienki, z Jezusa Chrystusa Pana Naszego, że geje i dziwki na ulicach, że seryjny samobójca, kontrolera z NIK zamordowali, że Wolak, Maciarz i Wolski to trójca diabelska, że stocznie przez Niemców zbankrutowali, samoloty kupują zamiast śmigłowców albo odwrotnie, drogi dziurawe, zło zwycięża, panie, samo zło i nikt nie robi z tym porządku, no naprawdę nikt się nie znajduje, żeby porządek zrobić, no mógłby w końcu się ktoś znaleźć, z kotem albo i bez kota.

A ja słucham i patrzę w oczy tych ludzi i zaraz potem jadę w ciemności, wracam do mojej Joanny, a jej tam w domu nie ma, może nigdy nie było i wtedy sobie przypominam, co było, co naprawdę było i podejmuję decyzję, jedną jedyną możliwą. Zaciskam mocno pięści, wbijam paznokcie w skórę…

I budzę się spocony, wcale nie w tym nieszczęsnym mieszkaniu w bloku, tylko u mamy i… spokój już, spokój. Poodkurzać trzeba, poodkurzać.

* * *

Było to jakoś w końcu lat dziewięćdziesiątych, chyba Buzek rządził albo inny Krzaklewski, gdy pojechaliśmy z Waldemarem na zachodnią granicę, a mieliśmy trasę tak ustaloną, że tylko te miejscowości odwiedzaliśmy, w których wygrywali komuniści. Nie była to łatwa trasa. Kazik zdenerwowany ciągle broń poprawiał, repetował, przeładowywał, dmuchał w lufę, ja też miałem swoją w pogotowiu, sztab cały rozglądał się nerwowo, nawet Waldemar się trochę bał, choć on przecież niczego się nie boi.

Na nic to przekonywanie – widziałem po oczach ludzi. Na nic, my już przegraliśmy. Oni chcą tego hasła komunistów. Przywrócić normalność, wybrać przyszłość. Chcą normalnych przywódców, a nie ciągle się kłócących kogutów. I jak im wytłumaczyć, że to nie my, że to tamci. Że my jesteśmy ci dobrzy, co się wycofali, powiedzieli „nie” układom i zdradom. No jak?

Zgodnie z przewidywaniami na naszych wiecach, spotkaniach i zjazdach więcej było szyderców i malkontentów niż ludzi rzeczywiście zainteresowanych Polską, naszą wizją.

Waldemar tak się przejął po jednym z takich spotkań, że do hotelu wyniósł dwie butelki wódki, zamknął się z nimi w pokoju i zabronił sobie przeszkadzać. Nie miałem takiego zamiaru, choć też nie spałem. Siedziałem w swoim apartamencie i czułem się strasznie nieswojo, bo tak jak i dziś, wówczas też nie lubiłem hoteli. Za sterylne to było, zbyt czyste i takie sztuczne, a dodatkowo naprzeciwko była jakaś dyskoteka i strasznie głośno grali, jakby chcieli z nas dodatkowo zadrwić.

Oto jak się cieszymy na nadejście komuchów. Odzyskają kraj, przywrócą normalność, wygrają przyszłość, żeby ją potem rozkraść, zgwałcić, zdeprawować i wybudować sobie w niej pałace i wille z ludzkiej krzywdy.

Zacisnąłem pięści i pomyślałem, że to niesprawiedliwe, że nie zasłużyliśmy na taki los, a ci ludzie nie wiedzą, co czynią. Bawią się, zamiast płakać nad Polską.

Przypomniałem sobie, jak czytałem w jednej książce o braciach bliźniakach, którzy zostali sławnymi aktorami filmowymi, że jak zaczynali, będąc jeszcze dziećmi, zaprzyjaźnili się na planie filmowym z chłopakiem, który odpowiadał za efekty specjalne. Pożyczyli od niego świecę dymną, a potem odpalili ją w apartamencie w hotelu i niewiele brakowało, a doprowadziliby do ewakuacji całego budynku. Oj, gdybym tak miał tu świecę, najlepiej marynarską, bo te wykorzystywane przez wojska lądowe są gorsze, to bym odpalił i wygonił z tego hotelu tych komuchów. Albo

jeszcze lepiej, gdybym miał dwie świece. Jedną zapaliłbym tutaj, w pokoju, a drugą wrzucił przez okno do tej dyskoteki.

Dopadło mnie natchnienie i postanowiłem napisać wiersz, ale udało mi się sklecić tylko pierwszą zwrotkę. Brzmiała następująco:

Polsko, co dzieci swoje wierne krzywdzisz,

Narodzie tańczący w szatach pokutnych,

Nie wiesz co czynisz, nie wiesz, boś głupi,

I jutro zbudzisz się w mękach okrutnych.

Potem postanowiłam popracować trochę nad programem, a na koniec też wyciągnąłem z barku buteleczkę i przepiłem do lustra, a w nim, zamiast siebie zobaczyłem Grzegorza i też pomyślałem, że jest zdrajcą, bo trzyma się na naszą zgubę z tamtymi, robi sobie z nich towarzystwo, z każdym potrafi się dogadać.

I na tę myśl, dyskoteka nagle ucichła, jakby ją diabeł pokarał, w ciemności się cała skryła, chyba pozbawiona nagle prądu. Krzyki jakieś usłyszałem, ale gdy wyjrzałem przed budynkiem nikogo nie było. W oddali, w szczerym polu, stała postać wyglądająca jak Jezus Chrystus na kaźni. Tak niezwykła i groźna, że ja też bym uciekł na miejscu tych imprezowiczów. A postacią tą był Waldemar. Nagi jak go Pan Bóg stworzył. Wielki, chudy, umięśniony, stał pomiędzy rozoranymi bruzdami niczym jakiś mityczny heros.

Następnego ranka udawał rzecz jasna, że nie ma nic wspólnego z nocnym incydentem, a gdy zapytałem, czy wychodził z pokoju, zrobił zabawną minę i rubasznie odparł:

– Ja? Skąd. Po dwóch butelkach nigdzie się nie ruszam.

I wtedy, jakby dla większej zgrywy, pokazał mi swoje nogi, a całe były w błocie pod spodniami garnituru. Tak to jest, jak się nago biega po polach.

– To na cześć tego poety, którego spotkaliśmy w Odessie, pamiętasz. Było mu chyba jakoś tak: Poeta Bosy czy Bosonogi.

Nie przypominałem sobie tego poety, ale się postanowiłem z tej słabości nie zdradzać, naszło mnie za to inne pytanie.

– Jak sądzisz, Waldemarze, kim byłby dziś Jezus Chrystus, gdyby został zesłany na ziemię, żeby nas zbawić?

Waldemar zadumał się, a potem odparł:

– Obawiam się, drogi Naczelniku, że nie zostałby rozpoznany i właściwie oceniony, a nawet nie byłoby go komu zamordować. A do zbawienia potrzebne jest przecież najpierw morderstwo i śmierć w mękach. Taka zwyczajna, chorobowa czy inna humanitarna nic nie da.

Nie wiem, czy to Waldemarowi, jego objawieniu, nocnej szaleńczej eskapadzie czy czemuś innemu zawdzięczamy odwrócenie losu, ale w następnej wiosce mieliśmy na spotkaniu pełną salę, a wszyscy słuchali naszych przemówień w skupieniu i nagradzali oklaskami.

Zaraz po spotkaniu zaprosił nas na obiad pewien inżynier. Był bardzo miły i sympatyczny, mimo że uważał się za zwolennika naszych politycznych przeciwników. Powiedział, że w zasadzie w każdych wyborach głosuje negatywnie, czyli przeciw komuś, a nie za kimś, wyrażając w ten sposób swój protest.

Tym razem chce zaprotestować przeciw nieudacznictwu rządu, awanturom i generalnemu zepsuciu, dlatego da szansę socjalistom, choć osobiście ma poglądy prawicowe. Ale na prawicę nie ma co głosować, bo to będzie głos stracony, a poza tym – jego zdaniem – prawica w Polsce jest bardziej lewicowa niż lewica, rzekłby, wręcz komunistyczna, tyle że trzyma się kościoła, no bo inaczej, to by musiała zakładać kołchozy.

Nie kłamał chyba, w domu w każdym pokoju wisiał krzyż, a jego żona przygotowała pyszny rosół i podała schabowe z ziemniakami i mizerią, posypaną świeżo zerwanym koperkiem. A potem jeszcze szarlotkę obficie oblaną lukrem zmieszanym z rodzynkami i skórkami pomarańczowymi. I lody własnej roboty.

Spędziliśmy szalenie miłe popołudnie i wieczór. Żona na koniec podała jeszcze kanapki, a ja ją pochwaliłem, bo bardzo lubię, gdy ludzie na obiad jedzą obiad, a na kolację kolację, a nie jakieś dziwne mieszanki.

Nasz gospodarz bardzo trafnie diagnozował rzeczywistość i był godnym intelektualnie rozmówcą. Słuchałem go z prawdziwym przejęciem i pomyślałem, że właśnie takich chciałbym mieć wyborców. On nie dał się jednak przekonać do zmiany zdania tym razem. Pora na socjalistów – podsumował, a potem, jakby trochę na osłodę zawyrokował:

– Tych wyborów nie wygracie, ale w następnych macie mój głos.

* * *

Sen, to tylko sen.

Joanna bluzkę zapina, już nie taka gorąca, nie taka rozpalona, ale szczęśliwa, zakochana cały czas, oj, jaka ona zakochana.

Pyta, kiedy znów przyjdę, kiedy przyjdę, a ja odpowiadam, że nigdy, mówię do niej brutalnie, jak to mężczyzna, co dostał, co chciał i już nie chce.

Wychodzę, a ona płacze. A może tylko się śmieje, jakby taka pewna, że i tak wrócę albo jakby jej nie zależało. Ale nie, płacze jednak, bo jej zależy, bo ona kocha tego chłopaka, co tak potrafi daleko rzucać kamieniami, przez całą rzekę, co ma uśmiech jak z obrazka i jest sympatyczny i zupełnie inny niż jego brat narwaniec i spiskowiec, brat podglądacz, bo tylko lubi podglądać zamiast samemu spróbować, znaleźć sobie jakąś swoją Joannę, zamiast chodzić za tą, co się za bratem ogląda.

Kocha go i chce, ale on ma przecież inną, on tamtą kocha, nie ją i nawet jej bratu nie chce dać, bo przecież i ona by brata narwańca nie chciała, ta Joanna.

Sen, to tylko sen.

Rozdział 11

Miewam chwile załamania, trzeba to uczciwie przyznać. Nachodzą głównie rankiem, gdy nie mogę spać, mimo że kładę się późno w nocy i powinienem odsypiać do południa. A jednak się budzę (nigdy nie wiem dlaczego), a kiedy próbuję znów zasnąć, nadchodzą demony i nic już nie jest takie proste, czarne czy białe.

Bardzo często przychodzi do mnie Bolek. W drzwiach staje, zdrajca zakłamany i patrzy spode łba, zadziornie, wyzywająco, jak to on potrafi w tej swojej zakłamanej charyzmie. Podaje mi kartki z pokwitowaniami, donosy wypisane koślawym pismem i akty łaski, którymi tak chętnie uszczęśliwiał zwykłych przestępców. Trochę mi go szkoda, bo jednak więcej w nim było dobra niż zła.

My go z bratem próbujemy historycznie przekręcić, a on się tylko broni, ale taka już jest zakłamana, brudna polityka, tłumaczę sobie.

Nic innego, Bolku, nie wymyślimy, taki nasz polityczny los, że po sojuszu musiał przyjść czas zajęcia miejsc po dwóch stronach barykady. U nas to idzie dość lajtowo, Bolek, spójrz na takich gangsterów, którzy się prześcigają w oskarżeniach, każdy chce być teraz koronnym i ujawniać prawdę. A z ich zeznań wychodzi jedno, jaki to był wielki syf to nasze całe teoretyczne państwo. My zaś się w tym syfie taplaliśmy, ja i ty, przyznajmy to w końcu.

Ale ty się nie przyznasz, bo przecież jesteś ikona, wolisz zaklinać rzeczywistość i trzymać się scenariusza, który ci doradcy od kłamstw napisali. Oni zawsze są na wierzchu. Im więcej kłamstwa w życiu, tym więcej dla nich możliwości kreowania prawdy.

Pamiętam, jak wierzyłem w ciebie, Bolku, wierzyłem szczerze. Był taki czas. I jak mnie wyprowadził z błędu ten Chińczyk, czy jak on tam ma, pokazując dokumenty. Ale zanim pokazał, naprawdę uważałem, że możesz być naszym zbawieniem. Inni tylko chodzili za dywanami perskimi, telewizory chcieli mieć w gabinetach, uwłaszczyć się na wolności, a ty

jeden byłeś w tym uczciwy, bo ci sumienie nie pozwalało kraść, żeby czasem nie wyszło, jak to w rzeczywistości było.

Dziś to rozumiem, ale wtedy nie wiedziałem, wówczas patrzyłem na ikonę i w nią wierzyłem, aż przyszedł zły Chińczyk i mi klapki z oczu zdjął, jak i zdjął mi na mojego ulubionego autora, takiego pisarza, którego imienia zapomniałem.

Bo wiesz, kiedyś chciałem być pisarzem. Takie życie proste prowadzić. Wstawać rano, fajeczkę zakurzyć, kawę wypić, popatrzeć na wschód słońca, zasiąść do maszyny, napisać dwa zdania albo i trzy, ale takie mądre zdania, które znaczyłyby więcej niż tomy u innych. Tak pisał ten mój najulubieńszy pisarz, a tu Chińczyk przychodzi i mówi:

– Ten to był najgorszy!

Największy kłamca i donosiciel, najbardziej usłużny i zupełnie bez skrupułów. Wrabiał przyjaciół, donosił na kochanki, jak ten tam mój zapiekły późniejszy dręczyciel, co to język ma ostry, gębę niewyparzoną, ale jak trzeba było to też z zemsty na niewiernej donosił.

W ogóle ta nasza kraina jest ojczyzną donosów i spisków, wiesz?

Pamięć zawsze rani, jest bolesna, czasem do krwi, ale o dziwo wspomnienia o Bolku mam raczej ciepłe i takie zabawne. Bo to był czas, gdy się jeszcze bawiliśmy w całą tę politykę, w państwo, kradliśmy je sobie nawzajem, jak te samochody dla celebrytów, którzy dostawali od Bolka zgodę na „przejęcie”, a ja im tę zgodę cofałem, bo państwo to nie dojna krowa przecież i na honory trzeba zasłużyć, poza tym zwyczajnie nie należy zapominać o tym, jak nas ludzie będą postrzegać, co im obiecywaliśmy, a co robimy.

Dziś, po latach, jednak przyznaję się do błędu, Bolek miał rację, dając potrzebującym te samochody, a ja byłem w błędzie ich odmawiając. Państwo to nie może być dziadostwo, nie można wszędzie stosować prowizorki i strategii „jakoś to będzie”. Nie można na każdym kroku oszczędzać. Pewnie, że nie można też przesadzać, jak ten Birkut, co to na wizażystów potrafi przeznaczyć kwoty, za które inni budują domy, no ale on miał ego jak wieżowiec, więc i na jego obudowanie trzeba było sporo wydać.

W czasach rządów Bolka tylko obserwowałem (może się i uczyłem przy okazji), potem przemyślałem i ostatecznie wykorzystałem tę wiedzę, gdy już było można.

Ale los bywa pokrętny, złośliwy i dlatego, po latach, postanowił się zemścić.

Gdy więc to ja chciałem zwiększenia wydatków reprezentacyjnych ambasad, ktoś nadgorliwy stwierdził, że to niepotrzebne, że oszczędność jest modna, a nie rozrzutność, że trzeba kultywować dziadostwo, a ja nie bardzo miałem jak z tym walczyć.

Ambasady ambasadami, dużo bardziej przygnębiająca była historia z miasteczkiem filmowym. Bardziej jeszcze niż z tym nieszczęsnym megaportem lotniczym.

Ona szczególnie wgryzła się w moje sumienie po historii z Cesarzem.

– Przecież to nie twoja wina, że wojsko nie chciało oddać – wybuchł kiedyś Waldemar, gdy się mu skarżyłem. Ale nie miał racji. Wtedy mogłem wszystko, a wolałem akceptować małe gry i gierki, udawać, że nie widzę różnych grup interesów, konszachtów i lobbingów. Zgadzałem się na kłamstwo, zamiast twardo powiedzieć: ja rządzę, ja daję i odbieram. Ja.

A mogło być tak pięknie.

Miewam taki sen. Dość często mnie nachodzi, czasem w szczegółach się różni, ale zawsze epilog jest taki sam i zawsze go pamiętam, co jest szczególne, zważywszy na fakt, że ludzie zwykle o snach zapominają i ja też większości nie pamiętam.

W tym śnie jadę jakąś starą limuzyną, siedzę z tyłu, na kanapie obok człowieka przypominającego Churchilla. Ten człowiek pali śmierdzące cygaro, jest gruby i w ogóle niemiło pachnie. Jednak jest kimś ważnym, dlatego to akceptuję, poza tym wyobrażam sobie, że to rzeczywiście Churchill, z którym siedzieć na kanapie w limuzynie to coś, szczególnie, że on w tych latach już nie żyje.

No więc jedziemy tak przez piękne pola, ja mu pokazuję wspaniałe polskie krajobrazy, a potem wkraczamy na teren, gdzie wszystko jest jakieś takie zaorane, brzydkie, zabłocone, zniszczone i Churchill wtedy się krzywi, a ja mówię, że musi przeczekać, bo to są te słynne autostrady Pętaka, ale zaraz je przejedziemy i dotrzemy na miejsce. I zgodnie z moimi słowami docieramy, a tam jest coś, co na Churchillu robi wrażenie.

Prosi by stanąć na wzgórzu, żeby widział całą okolicę, wysiada z samochodu (zostawia cuchnące cygaro w środku, jakby w Anglii niestosowne było palenie na zewnątrz), stoi tak przez dobre parę minut podziwiając wzniesienia, lasy i nitkę błękitną rzeki, po czym pyta, co to za rzeka, a ja odpowiadam:

– Pilica.

On na to, że ładna ta Pilica, a następnie wskazuje na imponujące budowle miasteczka filmowego, właśnie ukończonego na terenach wojskowych, które na nic się nikomu nie przydawały i niszczały, więc my zrobiliśmy z tego regionalne Hollywoood.

Churchill w moim śnie stoi tak na wzgórzu z otwartą jak ryba paszczą, próbując złapać oddech, a ja mówię:

– Jedno z największych światowych przedsięwzięć. Setki hektarów hal i zaadaptowanych plenerów, baza logistyczna i techniczna, studia dźwiękowe, montażowe, komputerowe, animacyjne, cała infrastruktura towarzysząca. Dziś, drogi Churchillu, filmy kręci się tu, nie w Hollywood. Na zawołanie możemy wywołać efektowne trzęsienia ziemi, zderzenia z asteroidami, lądowania obcych, plagi zombie, co tylko zechcesz. Nie ma drugiego porównywalnego miejsca w świecie. Mel Gibson, Eastwood, Angelica, Brad, Elia, Norman, John, Eric, Julia, Merlin, Eduard… Wszystkie światowe gwiazdy chcą dziś kręcić filmy nad Pilicą zamiast w górach Santa Monica.

– Imponujące – chwali Churchill. – A dobrą eksplozję atomową jesteście tutaj w stanie zaimplementować?

– A jakże – odpowiadam. – Ta hala na lewo jest wykorzystywana tylko w tym celu. Codziennie dokonujemy w niej kontrolowanych minieksplozji atomowych, a nasi eksperci od efektów specjalnych należą dziś do najlepszych na świecie w tym względzie. Do wybuchów stosują specjalne mieszanki przygotowywane w naszych wielkich państwowych koncernach naftowych i energetycznych i te mieszanki wybuchają dokładnie tak, jak atomówki, tworząc odpowiedni grzyb, z wykwintną ognisto czarną mazią, za to bez fali uderzeniowej i opadów radioaktywnych, które generujemy na najnowocześniejszych polskich stacjach roboczych. Nie wiem, Churchilu czy wiesz, ale mamy najpotężniejsze komputery na świecie, tylko polskiej produkcji i one generują najlepsze fale uderzeniowe, jakie jesteś w stanie sobie wyobrazić.

– Wspaniale – mówi Churchill. – A gdybym tak chciał zamówić potop albo gradobicia.

– Od potopów jest hala po drugiej stronie rzeki, ta żółta. Takich burz i potopów jak tam nie spotka pan w naturze, choć i tu Polska zaczyna być znaczącą marką na świecie. Potrafimy zamówić wichury, które kładą

ogromne połacie lasów i tylko u nas jeden człowiek jest w stanie wyciąć niemal całą chronioną puszczę.

– To wy jesteście specjalista od katastrof, Naczelniku – żartuje Churchill i chce zadać mi jakieś następne pytanie, ale w tym momencie sen się kończy, coś go przerywa, budzę się i zawsze wtedy widzę oczami wyobraźni tego cholernego sukinsyna, który zniszczył moje plany i przekonał ministra obrony, że trzeba tych terenów bronić dla wojska, bo przecież moje mocarstwowe plany filmowe to mrzonki, a ich plany wojenne i militarne takie realne.

– I co, może atomówkę wybudujecie? – zapytałem kiedyś tego urzędnika, a on jakby na złość przytaknął.

– Sam Naczelnik mówi, że trzeba wierzyć we własne siły, próbować. Jak Adamek z Kliczko. Nie można z góry zakładać, że się przegra…

Bo wtedy przegrywa się bez założenia – dopowiadał już za moimi plecami, bo tak naprawdę on nie wierzył w żaden sukces, a robił pod górkę tylko dla psucia, bo zawsze jest łatwiej psuć niż naprawiać.

Nie miałem do niego pretensji, może wręcz powinienem być mu wdzięczny. On uzmysłowił mi, jakie bariery na nas czekają, jak bardzo musimy się zmienić, przekształcić własne myślenie, by dogonić świat.

No chyba że lepiej odpuścić i wcale nie gonić świata. Wtedy trzeba tylko przekonać ludzi, że świat idzie w złym kierunku. I gonić już nie trzeba. A nawet nie należy.

* * *

Długo kombinowałem (i Mirka, i Waldemar też kombinowali) jak to niby przypadkiem załatwić, jak się zakraść w to miejsce, w które chcę się zakraść, ale w końcu wymyśliłem i tak, prawie rok po egzekucji Lwa Dawidowicza stanąłem naprzeciwko jego żony, a było jej Joanna, jakby wszystkie złe kobiety na ziemi nosiły to imię.

Wizytę uzasadniliśmy tym, że odwiedzamy branżę turystyczną, bo doszły nas wieści o kolejnych kłopotach, po tym jak nam granice pozamykali i biura podróży nie mają już co sprzedawać, bo w kraju to każdy kupuje bezpośrednio wakacje, sam dzwoni a nie przez biura, biura dobre na zagraniczne wakacje, a tu kierunków i możliwości coraz mniej i dobrze, bo bezpiecznie, bo bez terrorystów, bez złych ludzi, a słońce i u nas się znajdzie, jak nie prawdziwe to sztuczne, też dobre.

Wita nas ta Joanna z uśmiechem szczerym. Blondynka, ładna, muszę przyznać. Bluzkę ma białą i niebieski krawat. Na zdjęciu. Na żywo bez krawata, biała bluzka rozpięta na szyi, przez co piersi jej się wydają jeszcze większe, jeszcze ładniejsze. Włosy spięte w kok, długie prawie do pasa, w pasemka trochę ciemniejsze, no ale tak to prawie białe. Szczupła, chuda, koścista (poza piersiami i biodrami, bo te wydatne, aż nadto). Te Joanny jakieś kościste (poza piersiami i biodrami).

Witam się z nią, udaję, że zupełnie nie wiem kim jest, pytam o podróże, o trendy, o sukcesy i porażki, a kiedy wychodzę, Waldemar do niej podchodzi i szepcze, że Naczelnik chciałby się z nią spotkać i porozmawiać osobiście w cztery oczy, przy czym nie chodzi o żadne bezeceństwa, tylko o dobro Polski, ale ona nie ma się czego bać, bo jej z głowy włos nie spadnie, jakby nie spadł mężowi, gdyby był się normalnie zachował, a nie tak, jak się zachował.

Zdenerwowana jest, ale pewnie boi się o Adasia, więc przychodzi na spotkanie, przywożą ją do hotelu, w którym akurat się zatrzymałem, choć hoteli nie lubię. Wszędzie w tych hotelach, także pięciogwiazdkowych, lepszych, pełno ludzi dziwnych, agresywnych, schorowanych i nieuprzejmych. Bogaci, uważają, że wszystko im wolno, że już zdobyli świat, płacą i wymagają. Myślą, że jak zobaczą Naczelnika, to wolno im myśleć więcej, poczuć jakąś jedność z nim albo go skrytykować publicznie, a przecież to jest tylko krótka chwila naszej wspólnoty, nigdy więcej się nie spotkamy, więc precz, won, nie ma was.

Joanna wchodzi do pokoju hotelowego w towarzystwie Waldemara, który pyta, czy ma zostać, a ja spoglądam na nią i mówię:

– Będzie się pani czuła lepiej, jak Waldemar zostanie?

Kręci głową przecząco, przebiera nogami. Nie, nie chce Waldemara. Nie wie, czy z mojej strony coś jej grozi, ale już lepiej mieć mnie jednego w opozycji niż nas dwóch, bo przecież Waldemar jest całkiem straszny, podczas gdy ja nie bardzo, oj nie bardzo.

– Myślę, że nie jest to konieczne – dodaje.

Waldemar nas zostawia, ja proponuję kawę lub przekąskę (kawę i przekąskę), ona nie chce, siada na krawędzi fotela, widzę jak jest spięta, gotowa w każdej chwili do ataku i ucieczki, a potem zaczynamy rozmawiać i się rozluźnia. Mówię jej o Lwie Dawidowiczu, o tym, że sądzę, że wcale nie był złym człowiekiem i że zginął niepotrzebnie i mi jest z tego powodu przykro, dlatego ją odwiedziłem i dlatego chciałbym jej jakoś nieoficjalnie

to wynagrodzić. Przekupić, znaczy się – pytają jej oczy, a ja w sumie potwierdzam, bo jak inaczej to nazwać.

– Nie byliśmy z mężem zbyt blisko – odpowiada Joanna. – W zasadzie nasze małżeństwo nie istniało. On miał swój świat, ja swój. Niepotrzebnie pan czuje się winny.

– A wasz syn?

– On chyba bardziej w niego się wdał niż we mnie, tylko musi sobie to jeszcze ułożyć w głowie, bo na razie to zupełnie nie ma ułożone.

Nie wiem, czego oczekiwałem po tej rozmowie. Rozgrzeszenia albo utwierdzenia się w jakimś przekonaniu o nieomylności? A może zepsucia, może gdzieś w głębi duszy chciałem, żeby ta Joanna, jak poprzednie, okazała się zepsuta i niegodna?

Rozmawialiśmy niespełna godzinę, potem ona spojrzała na zegarek, powiedziała, że już późno, i że powinna sobie pójść, a ja przytaknąłem, odprowadziłem do drzwi, zaś przy drzwiach powiedziałem, że gdyby zrobiło się w branży turystycznej jeszcze gorzej, to u mnie zawsze znajdzie się dla niej praca z pensją nie gorszą, a może lepszą.

Podziękowała i wyszła.

Patrzyłem przez okno jak ją pakują do czarnej limuzyny i wywożą w noc i w ogóle nie myślałem, że się mogą zdobyć ci zwyrodnialcy na to, do czego doszło, a co się wydarzyło, przeczytałem następnego dnia w mediach, bo ktoś chciał to nagłośnić i nagłośnił.

* * *

– Wydał pan rozkaz, by ją zgwałcili?

Trudno mi odpowiedzieć na taką insynuację.

– Chciał pan, żeby do tego doszło?

Milczenie.

– Uważa pan, że sama jest sobie winna? Ostatecznie wsiadła do samochodu z czterema mężczyznami? W końcu ubrana była elegancko i co nieco wyzywająco? Samotna też była, może chciała?

Straszne, jakie straszne. Akurat miałem dużo pracy wówczas, różnych wizyt i negocjacji, więc dopiero po tygodniu dotarła do mnie ta wiadomość, krótkie streszczenie z jakiegoś tabloidu.

Żona Lwa Dawidowicza brutalnie zgwałcona przez nieznanych sprawców. W artykule podobno były też zdjęcia, ale ich nie obejrzałem

nigdy. Zastanawiałem się, czy do niej pojechać, odwiedzić w szpitalu, bo według artykułu była w bardzo złym stanie (ale nie zagrażającym życiu), pod opieką znakomitych lekarzy. Ale co mógłbym uzyskać, co powiedzieć.

Wydałem polecenie, żeby znaleziono tych zbrodniarzy i przykładnie ukarano, ale chyba sam nie wierzyłem, że do tego dojdzie.

Waldemar patrzył na mnie maślanym wzrokiem, w którym tkwiło krótkie, treściwe zaklęcie:

– Przecież ci dranie zrobili to dla ciebie.

I jakkolwiek byśmy ich nie potępiali, to każde odgrzewanie tego kotleta przyniosłoby tylko kolejne ofiary. Najlepsze, co mogłem zrobić dla żony Lwa Dawidowicza to się od niej raz na zawsze odczepić.

No i mogłem awansować cynika Adasia.

* * *

Trach. Mgła okryła cały świat. Jest nieprzejrzysta, gęsta jak mleko. Człowiek wyciąga rękę i nie widzi własnych palców, spogląda w dół i jego ciało kończy się na kolanach. Inni jakby pływają w tej mgle, snują się jak dziwne istoty z mgielnej planety.

– Musimy przeczekać – mówi kierowca.

– Należy przeczekać – doradzają inni.

Kolumna pojazdów stoi na podjeździe pałacu prezydenckiego. To mocne auta, sprawdzone, przygotowane do drogi w każdych warunkach, także wojennych.

– A jeśli mgła nie przejdzie dziś ani jutro? Jeśli utrzyma się przez tydzień? – Pytam, a w głowie mam kolejne pytanie: co, jeśli już zawsze będzie mgła?

– Pan decyduje, panie prezydencie! – Kierowca czeka tylko na rozkaz. Dowódca ochrony czeka na rozkaz. Towarzyszący nam generał i reszta oficjeli też czekają. A co ja robię?

Dzwonię do brata. Brat na pewno będzie wiedział co robić, on zawsze wie, zawsze był mądrzejszy ode mnie, szeptał do ucha, doradzał, dobrze doradzał. Odbiera, ja mówię, jaka jest sytuacja, że mgła, że możemy nie zdążyć, nawet jeśli będziemy się bardzo spieszyć, może więc lepiej w ogóle nie wyjeżdżać. Poza tym kierowca zmęczony. Wczoraj cały dzień za kółkiem. Inni też zmęczeni. Tyle już podróży zrobiliśmy, tyle miejsc odwiedziliśmy.

Brat zrozumie, brat wyrozumiały.

– Chcesz wygrać wybory? – Pyta Brat, a ja odpowiadam cicho, jak cicho:

– Tak.

– Więc nie zwlekaj.

Rozłącza się, a ja decyduję. Bo brat przecież ma rację, wybory najważniejsze, Polska najważniejsza. Trzeba jechać na groby poległych, pomodlić się, pochylić głowę nad historią, tragedią polskiego losu, przemówić mocno, dobitnie, żeby w samej Moskwie usłyszeli, że my, Polacy, nie zapomnimy im tego, nie przejdziemy nad historią do dziennego porządku, nie damy się przekupić gazem i ropą. Zastraszyć też nie pozwolimy. Ba, nie zostawimy wam tego komfortu obojętności. Możemy budować wzajemne relacje, ale na prawdzie i rozliczeniu. Co było, to było. Trzeba pamiętać.

Trzeba przypominać. Trzeba zatem jechać na te groby. Spełnić swój patriotyczny obowiązek, do kamer, ale przecież i do serca, bo ja jednak czuję w sercu ten ból, tę pamięć, tę świadomość tragicznego polskiego losu. Jestem patriotą o wielkim sercu. Chcę dać to serce narodowi, chcę mu służyć. To moja misja.

Jedziemy zatem, jedziemy szybko. Jest rozkaz, jest decyzja. Nikt nie będzie nam mówił, że nie wolno, nikt nie będzie zabraniał, nikt tłumaczył, żadne tam procedury, żadne złe intencje nie przeszkodzą. Dotrzemy do celu, jak zawsze. Jakoś to będzie. Jak zawsze.

Jedziemy zatem, ja sam i ja z bratem, a brat to ja, a ja to brat, jedziemy pewnie, szybko, nic przecież nie może się stać, choć kierowca zmęczony, ale kierowca uważny, prawdziwy bohater z tego kierowcy.

I nagle brzoza, jedna, druga, drogę pomyliliśmy, drogę. Szczęk, zgrzyt, tragedia. Koniec.

Kurwaaaaaa….

* * *

Sen powraca tak często, atakuje, gryzie, męczy i nic nie pomaga. Ani rozmowy z psychologami, ani z księżmi. Radzą, jedni i drudzy, żeby to wyprzeć. Nie ty kierowałeś, nie ty radziłeś, nie ty decydowałeś, nie twoja wina. A poza tym… Nie było przecież wypadku, tylko zamach. Za jego zorganizowanie już Dawidowicza osądzono i skazano, nie ma co do tego wracać. Sprawa zamknięta, odłożona ad acta. W zasadzie jej też nie było,

bo przecież Dawidowicz niewinny, zamachu nie było. Nie było zatem i wypadku. I Joanny nie było. Może Grzegorza też nie było? Może ciebie nie ma, może nie istniejesz?

– Przecież pan nie ma brata – mówi nagle Faron.

Poważnie mówi, tylko oczy drwią.

A może nic nie mówi, tylko mi się tak wydaje? Przyszedł tu znów mnie przesłuchiwać, może w końcu zamknie śledztwo, to i kolejne, które się toczą nieustająco od lat, w których się już można pogubić, bo nikt nie zna ich początków, a pewnie zakończenia też nikt nie pozna.

– O czym dziś będziemy rozmawiać? – pytam, a on chwilę mi się przygląda i w końcu mówi krótko:

– Dziś mam dla pana tylko zaproszenie.

Wręcza mi kopertę z tekturowym kartonikiem, lakierowanym i sztywnym, czeka aż wyjmę go i przeczytam, więc robię to, ale tam jest napisane jedynie moje nazwisko, nic więcej.

– Co to za zaproszenie?

– Na przyjęcie.

Jak to? On nie wie, że nie chadzam na przyjęcia, że nie lubię? Może dlatego prostuje:

– A raczej przedstawienie.

– Do kogo? Jakie przedstawienie?

– Cyrkowe.

Faron dodaje jakby od niechcenia, że na pewno mi się spodoba, bo ja przecież lubię historyczne przedstawienia, takie z pompą, monumentalne, ze spektakularnymi efektami specjalnymi i dużym budżetem, a to będzie właśnie takie, bardzo duże i bardzo widowiskowe. Z najlepszą możliwą gwiazdorską obsadą, z konferansjerem za milion dolarów i tłumami skandującymi wyuczone na pamięć, budujące hasła.

Więcej dowiem się w swoim czasie, bo choć on wie, że nie lubię niespodzianek, to ta mi się na pewno spodoba. Dodaje, żebym był przygotowany do wyjazdu punkt siedemnasta, bo czeka nas daleka droga, żeby na dwudziestą zdążyć.

Następnie wychodzi, znika we mgle, a ja znów sobie przypominam Grzegorza i ten feralny dzień, a potem podświadomie drżę, że to może nie być takie zwykłe zaproszenie, tylko coś gorszego, coś znaczącego, po którym już nigdy nic nie będzie tak samo.

Żegnam się zatem z Liwią i z Mirką, po swojemu żegnam, bo przecież nie przyznam się do strachu, to byłoby całkiem niepolityczne. Mirkę pytam jeszcze, czy coś wie o rozruchach, o terrorystach, a ona odpowiada, że żołnierze mówili, że już uśmierzone, więc może będziemy mogli niedługo wrócić.

Kto wie, może to przyjęcie szykowane na mój powrót?

Mirka patrzy jednak tak, jakby ostatni raz na mnie patrzyła i przebiega mi przed oczami w jednej sekundzie te kilkadziesiąt wspólnych lat, gdy dbała o mnie jak matka, pilnowała, żeby żadna inna mnie jej nie ukradła, dobrze pilnowała, a jednocześnie dawała od siebie, co tylko chciałem, poza jednym, czego nie chciałem, a co ona chętnie by mi zapewne dała, choć to tylko może w mojej głowie głupota się przyczaja w zasadzce na podłość.

Bo przecież taka dobra ta Mirka, nie należy z niej ani szydzić, ani z sympatią żartować.

Liwia też podenerwowana. Wyczuwa, że coś jest nie tak, nie chce mnie puścić, domaga się ciągłej uwagi, więc gdy zaczynam się szykować, zakładam garnitur, Mirka bierze ją do pokoju obok i tam zamyka, a potem pomaga mi z butonierką, krawat zawiązać, buty przetrzeć. Podaje zegarek, kołnierzyk układa, psika perfumami i już jestem gotów, gotów na skazanie. I chodzi mi po głowie ten wiersz Miłosza, który mi po aferze z sądami ludzie masowo wysyłali, ten o ludzkiej krzywdzie i pamięci, o mordowaniu poetów i że to nic nie da, ten z życzeniem na koniec podłym i niesprawiedliwym, ze sznurem i gałęzią związanym.

Potem przychodzą Lis z Waldemarem, prowadzą mnie do samochodu, a czeka na mnie nie jakaś zwykła limuzyna tylko pojazd dokładnie taki, jakim przyjechał Marcel, więc pewnie z tymi rozruchami to nieprawda, że już uśmierzone, wciąż mogą być groźne.

Ale po drodze nie ma ludzi, nie ma żadnych barykad, starć ulicznych, jest pusto, szaro i zwyczajnie. Tylko wojska więcej. Czołgów i jeepów. Samoloty też latają częściej. I śmigłowce. A jeszcze wyżej sterowce. Wielkie, potężne, wiszące na niebie machiny, jakby powstałe i zawieszone nad chmurami przez samego Pana Boga.

– Tarcza antyrakietowa – drwi Lis.

Jeden, mam wrażenie, że nas specjalnie pilnuje, towarzyszy nam od wojskowego ośrodka, aż wjeżdżamy do Warszawy, ulicą szeroką i pustą, nie ma żadnych korków, światła są niepotrzebne, więc na żółto mrugają.

Ale może to tak na mój przyjazd, oczyszczona ta trasa została, na mój przyjazd.

– Powiem panu, panie Naczelniku, że takie tarcze to by się nam mężczyznom przed kobietami przydały i to niezależnie od nacji. Niedawno byłem na weselu przyjaciela, a on strasznie zawstydzony, bo mnie nie zapraszał, mimo że my towarzysze broni. A potem wziął na stronę i wyznał, że on się oświadczył, ale zaraz potem pożałował. Tylko że wstyd już mu było się przyznać i odwołać, to się ożenił. Tak sobie życie zmarnował, wyobrazi sobie Naczelnik. A ta jego wybranka, żeby go upodlić, to imiona dzieci mu dobrała tak, że nadała jednemu po byłym kochanku, a drugiemu po największym rywalu tego przyjaciela. Chyba tylko, żeby upodlić, bo po co? No i jak takie kobiety traktować, powie Naczelnik?

Nie jedziemy do mnie, ani w żadne znane mi miejsce (mam wrażenie), nie do pałacu, czy zamku, nie do sejmu i nie do pałacu kultury.

Na Wilanów jedziemy i po chwili już wiem, znam cel podróży, bo wyrasta przed nami gmach potężny, potężniejszy od innych, to Świątynia Opatrzności przed nami się wznosi.

I czuję jakiś dziwny niepokój, jakbym w sobie diabła miał, który się boi kościoła, a przecież nie mam, przecież jestem religijny, wierny, dobry ze mnie katolik, praktykujący, czasem rzeczywiście modlący się szczerze, żarliwie, choć prawdę mówiąc nie wierzę, żeby to było dokładnie tak, jak napisano w Biblii, to potrzebne dla ogłupiania tłumów, no ale ogólnie to jednak wierzę, wierzący jestem, i nie w diabła wierzę, nie w zło, tylko w dobro, choć nie zgadzam się ani z Dawidowiczem, ani z Grzegorzem czy innymi, że ludzie są dobrzy, bo to zupełna nieprawda. Są źli, skażeni złem, od samego narodzenia, żyjący w grzechu, wiecznie w grzechu.

Świątynia wygląda jak dawniej. To najwspanialsza świątynia na ziemi. Największa, najbogatsza, najbardziej monumentalna, w środku złocenia, drewna najrozmaitsze, dywany, arrasy, witraże, rzeźbienia, ambony, kolumnady.

Dużo obrazów, cała droga krzyżowa artystycznie odmalowana i pięknie wkomponowana w światła i różne takie techniczne nowalijki. Coś niesamowitego. Tradycja i nowoczesność w jednym. No i ludzi tłum, to dla tych ludzi. Bo czymże jest kościół bez ludzi?

Ci ludzie teraz stoją w milczeniu i czekają, ja przechodzę i nagle twarze wydają mi się takie znajome.

To artyści, twórcy, politycy, elita, cała elita przyszła mnie przywitać, bo teraz widzę, że zamiast ołtarza na centralnym miejscu jest… nie, nie pieniek do ścięcia, ani nie szubienica… stoi tam… tron. Złoty, bogato zdobiony, monumentalny, wspaniały.

Co też oni wymyślili? Chyba nie chcą mnie koronować? Na to przecież nie pozwolę. Jestem wszak skrytym proletariuszem, dążę do władzy absolutnej, cenię tradycję i republikanizm, ale w gruncie rzeczy zawszę chcę pozostawać gdzieś w cieniu, blisko zwykłych skromnych ludzi, nie chcę żadnego tronu.

– To nie dla ciebie! – Słyszę z boku i patrzę po chwili w twarz jednego z oligarchów, którego kiedyś Birkut trzymał w areszcie z siedem lat, a potem wypuścił, bo nic nie znalazł. – Bez urazy.

Nie odpowiadam, idę dalej, popychany delikatnie przez Lisa i chroniony przez Waldemara, który jak zwykle własnym ciałem zasłania, drogę toruje, ubezpiecza, pilnuje, a kiedy trzeba powie dosadnie parę słów jakiemuś żulowi, bo żuli tu sporo, a z takimi się nie dyskutuje.

I tak mijam kolejnych dziwnych ludzi. Bankierów, finansistów, lekarzy, innowatorów, prawników, wojskowych, menedżerów, marketingowców, handlarzy, kuglarzy i kabareciarzy. Ludzi dobrych i złych, podłych i wielkodusznych, uśmiechniętych i poważnych, doświadczonych przez los i takich, którzy wciąż wierzą w jego odmianę,

Są też moi poplecznicy, podtrzymują mnie na duchu, dają wiarę, że warto było, bo Polska to oni, a nie tylko te beczki z zawiścią i sadzawki malkontenctwa. Tu jest Polska, a nie tam!

Wtedy natykam się na Wolskiego, ale mówiono mi, że on nie żyje, choć ponoć zmarł na niby, ale kto tak mówi, ten musi potem w sądach przepraszać, więc ja tak nie mówię, ale on tu jest, stoi jak żywy, więc może zastępuje go jakiś sobowtór?

Nienawidzi mnie, widzę, jak mnie nienawidzi, ale co zrobić, ja też nie darzyłem go nigdy sympatią. Co powiedzieć w takiej chwili? W ogóle coś trzeba mówić? Chyba lepiej milczeć. W końcu to drań i to taki z lepszych drani. Przekupił pół Polski, a potem myślał, że mu się upiecze i nas też przekupi. Niedoczekanie.

– Stelaris to była nadzieja dla Polski. Zniszczył pan ją – wyrzuca w końcu.

Ja? To ja dałem się nagrać u „Przyjaciół”? Ja wdałem się w spiski i gierki z partią rządzącą? Ja korumpowałem urzędników na wyścigi, żeby wziąć

więcej i więcej? Gdyby tacy jak ty wygrali, dziś mielibyśmy tylko firmy francuskie, amerykańskie, brytyjskie i niemieckie. Tak, głównie niemieckie. Nawet ruskich by nie było.

– O tak, ruskich teraz za to nie brakuje – krzywi się obrzydliwie i w tym grymasie jest tak brzydki, jak jego zdjęcia, które specjalnie dobieraliśmy kiedyś na naradzie z redaktorem Nocharem, żeby pokazać go w jak najgorszym świetle milionom Polaków, żeby nikt nie miał wątpliwości, że stoi przed nimi drań i oszust, a nie żaden miliarder, wizjoner, przekraczający wyobraźnię cudotwórca.

Mijam go, tego Wolskiego. I tak pewnie nieprawdziwy, podróbka, chińszczyzna. Sobowtór, jak te pięć kalek Toniego. Swoją drogą jedna stoi teraz przede mną. Kłania się i uśmiecha szeroko, z błyskiem w oku.

– To ja, to naprawdę ja, ekscelencjo – mruga okiem podrobiony Toni. – Uratowali mnie przed Marcelem, w ostatniej chwili wyrwali Kostusze, bo przecież martwy Toni nikomu by się już nie przydał, a tyle we mnie energii włożyli, w całe to przygotowanie. No i pieniędzy. O pieniądzach nie zapominajmy, choć u nich, na Wschodzie, pieniądze się w zasadzie nie liczą, nie są środkiem płatniczym w wielu miejscach. Wiesz, że są lokale w Moskwie, do których nie wejdziesz z milionami w walizkach, w których po prostu się bywa i bywają tam tylko ci zaakceptowani przez Wowkę Władymirowicza i wyobraź sobie, że ja jestem jednym z tych zaakceptowanych, dają mi tam drinki za darmo i ładne panie też tańczą za darmo, a gdybym chciał, to by nie tylko tańczyły, nagie, nagusieńkie i wszystkie mają na imię Natasza, i każda jak wkracza na scenę, to wchodzi z wieprzem, wyczyszczonym takim, wyobraź sobie, ale autentycznym, dzikim (choć paradoksalnie oswojonym) wieprzem. I każda naoliwiona jak Azjatka i potrafią rozmawiać, pić, a kiedy trzeba całować, wić się i tańczyć, wspaniała ta Moskwa, mówię ci, Naczelniku, wspanialsza niż kiedykolwiek, i płacić nic nie trzeba, nic a nic, a na koniec to oni płacą i jeszcze ci powiedzą: to za te śmigłowce, Toni, a ja się zastanawiam, o jakie śmigłowce im chodzi, bo przecież kupiłem od Amerykanów, a nie od nich, ale myślę sobie, że może tu chodzić o jakiś większy spisek, może oni już tę Amerykę też jakoś spacyfikowali i tylko z Europą teraz muszą sobie poradzić…

Pierdoli tak ten sobowtór Toniego bez sensu, niezrozumiale, więc ruszam dalej i natykam się na sędziego Fogla, który klepał przekręty mafijne w dawnych czasach, ale teraz twierdzi, że to nieprawda, że go oczerniono,

a on jest naukowiec porządny, doktor, profesor uniwersytecki na katedrze, wykładowca, młodzieży pasterz i do tego ma aneks WSI, którego nikt nie ma, a którym to do dziś, przez trzydzieści lat kogo trzeba szantażuje.

– Może zechce pan u mnie poprowadzić jakiś wykładzik, naczelniku? – Pyta. – Mógłbym odpowiednią oprawę zapewnić, no i by się opłaciło, rzecz jasna, choć przecież wiem, że pan nie pracuje dla pieniędzy, więc tak tylko wspominam, żeby było jasne, że za darmo ja nic nie chcę, jachtu nie wezmę, a ten żaglowiec, co mi go dali na szkołę bankierzy oddałem.

Brzydzę się takimi jak ten Fogel, więc idę dalej, ale dalej wcale nie jest lepiej, bo na Birkuta się natykam i to jakiego Birkuta. Teraz to się dopiero roztył. Waży ze sto dwadzieścia kilo i ma głowę jak wiadro. Gdybym się na niego tyle w dawnych latach nie napatrzył, gdybym tylu nocy przez niego nie przespał, to bym nie poznał.

– Prezesie, na chwilkę prezesie – woła opasły Birkut i pokazuje mi biały długopis. – Znalazłem, prezesie, coś, czym zwyciężymy. Polski produkt, patent, prawdziwe COŚ. Długopis ekologiczny z papieru, niech sobie prezes wyobrazi. Wkład ekologiczny, znikający, obudowa całkowicie papierowa, tylko z drewna zutylizowanego, drewna wszak mamy pod dostatkiem jak wycięliśmy Puszczę, obiera się jak cebula, o tak, przez co zawsze zostaje biały – tu pokazuje, jak się obiera ten długopis z warstw papieru. – Czyż to nie genialne?

– Tak, zapewne – mówię. No bo co mam powiedzieć? A poza tym, może to rzeczywiście takie genialne te długopisy. Inni wymyślają narkotyki, jakieś uzależniające serwisy i ajfony, a my im popsujemy szyki długopisami. A potem jeszcze stocznie odbudujemy. Jachty będziemy budować takie, że oko zbieleje. A po jachtach kontenerowce. Największe na świecie. Nie wierzycie? To zobaczycie. A jak już stocznie odbudujemy, to się weźmiemy za kopalnie. I to dopiero będzie sukces. Węglem zasypiemy całą Europę, wyjebiemy ruski gaz z gry. Wszystkie miasta w Europie kupią nasz węgiel i maseczki ekologiczne do oddychania podczas smogowych zimowych dni w zestawie. Dwa w jednym, to ta Unia lubi. A jak już odbudujemy polską narodową gospodarkę, niszczoną celowo przez lata, żeby ją taniej sprywatyzować, wyprzedać, ze szkodą dla skarbu państwa, to się weźmiemy na poważnie za grupy wpływów. Orlen kupi TVN, a PGE Agorę, tanio kupią, okazyjnie. Onet też nam sprzedadzą, za reparacje, a w gratisie dostaniemy inne tytuły ze stajni. I wtedy sobie porozmawiamy

z towarzyszem Lisem, oj porozmawiamy. Z nim i jego mocodawcami, którym się wydaje, że pozostaną bezkarni. Ale to potem, potem, potem.

– Myślałem, że ciebie też straciliśmy – żartuję, żeby mnie euforia zbytnio nie rozzuchwaliła, bo nie wiem, co powiedzieć o tym długopisie, no bo co powiedzieć?

– Jakoś się uchowałem – odpowiada troszku tak sztywno, nigdy nie grzeszył specjalnym poczuciem humoru. U niego wszystko było na poważnie, nawet gwoździe w magnetofonach. Taki to człowiek.

– A może jesteś sobowtórem?

No i na koniec, tuż przy samym tronie stoi Marcel. Wygląda trochę jak generał z armii Imperium. Ma dobrze dopasowany mundur i ten znaczek z czterema stronami świata w klapie. Przepasany czarnym skórzanym pasem, pewnie z prawdziwej skóry, w poprzek szerszym, a na ukos węższym, z kaburą potężną na broń przytroczoną na lewym boku, jak u tych… jak oni tam… od Holocaustu, no tych tam, w okularach okrągłych jakby z propagandowego filmu o uczniu Dzierżyńskiego, z głową jeszcze, a jakby bez głowy.

Wyciąga rękę, żeby mnie zatrzymać, żebym czasem nie zapomniał o swojej roli i nie wstąpił na tron.

Bo tron jest przecież zarezerwowany. Tron zawsze należy się tylko jednej osobie. I nie chodzi o mnie, ani też o tego, który teraz przepycha się z boku, w pasiastym więziennym stroju, wywołując powszechny aplauz, wybuchy śmiechu i szyderstwa, pojękiwania zgorszonych dam i napady szału u wstrząśniętych dzieci, które rzucają w niego papierowymi kulkami, przez co robi mi się go szkoda, bo sobie przypominam, jak kiedyś i we mnie rzucali, kulkami papierowymi i śnieżnymi, takimi rzucali.

Idzie ten Bronek w towarzystwie czterech mundurowych, podtrzymuje w dłoniach czarną ciężką kulę na łańcuchu, by złożyć ją przed tronem, a sam klęka niżej, u podnóżka, opada na wyprostowane ramiona i czeka tak na czworakach, jakby wiedział, że zaraz podbiegnie do niego klaun i klepnie go w tyłek, a cały kościół wybuchnie śmiechem przeraźliwym, oj przeraźliwym. A najgłośniej będzie się śmiał pętak Sabaka, bo to on jest tym klaunem o długim, chudym, czerwonym nosie Pinokia, sam w szortach sportowych i butach do piłki nożnej, ulubionej jego rozrywki, najulubieńszej.

I wtedy dopiero pojawi się ten, na którego czekamy. Ten, którego imienia nie mogę sobie nagle przypomnieć, ale wiem, że tłum mi zaraz przypomni.

Tłum i konferansjer, który otwiera właśnie wielkie pałacowe drzwi w zakrystii, by wypuścić onego, szatana jednego, wiecznie czynnego. A konferansjerem jest nie kto inny, jak pierwszy zdrajca, Miłosz we własnej osobie, dziś najważniejszy przydupas onego, może ważniejszy niż Marcel.

– Panie i panowie! Powitajmy…

I ta osoba wchodzi – przy akompaniamencie „Pust Wsiegda Budziet Sonce” nuconego cicho do mikrofonu przez rumianego Adasia, syna Lwa – i wszyscy klaszczą na jej powitanie.

A potem jeszcze krzyczą. W trzech sylabach krzyczą. I ja też klaszczę, i też krzyczę. W trzech sylabach krzyczę:

Wła–di–mir! Wła–di–mir! Wła–di–mir!

* * *

Stop. Tego nie ma. To tylko sen. Nie jestem w żadnym kościele, nie patrzę na Władimira Władymirowicza, nie kłaniam się nisko Prezydentowi Zjednoczonej Polszy i Wielkiej Rasiji, prawdziwemu dyktatorowi, przed którym zawsze chciałem obronić Polskę. To jakiś absurd, jakaś paranoidalna bzdura, szaleństwo albo manipulacja, o tak, bardziej manipulacja, przez „Rzeczywistość” pokręcona albo inny program władania ludzkimi umysłami.

Przebudzić się trzeba. Ugryźć w język, w wargę, do krwi jak trzeba albo choć uszczypnąć, mniej boli, a też przecież skuteczne, a jak nieskuteczne, to wtedy ugryźć…

Trach. Siedzę na ławeczce na placu zabaw, tuż przy piaskownicy. Teraz mało jest takich ładnych placów zabaw z piaskownicami. Dzieci wolą nowoczesne maszyny i komputery, a jeśli place zabaw, to muszą być kolorowe, pełne gumowych zabawek, domków, karuzel, labiryntów, drabinek. A ten jest taki zwykły, stary. Ławki w nim są obdrapane i trochę połamane. Zamiast kolorowych torów przeszkód zwykłe trzepaki (też obdrapane), za to w piaskownicy piasek morski, najwspanialszy, sypki i cudny.

Trzech chłopców w tej piaskownicy gra w kapsle i każdy ma po pięć kapski w koszulkach, czyli papierowych wkładkach, pomalowanych kredkami w barwy państw, które kapsle „reprezentują”. Wygrać może tylko jeden, choć najbardziej chce dwóch. Jeden chłopiec ma na imię Grzegorz, drugi Andrzej, trzeci zaś jest bez imienia.

Najlepsze kapsle ma Grzegorz. W ogóle Grzegorz ma wszystko co najlepsze, jest najmądrzejszy, najwspanialszy. Jest duszą towarzystwa, szefem bandy. Dziewczyny już się za nim oglądają, choć jeszcze szczaw, młodziak. Ale za to już łapiący mody, już aktor, już reżyser, czyta co modne, śpiewa co trzeba, tańczy jak na amerykańskich filmach. Zapraszają go więc one wszystkie, Joanny i inne, chcą tych jego słów gładkich, tych elokwentnych fraz, tych zaczerpniętych z różnych takich Cortazarów, Marquezów, Borgesów, Fuentesów fint, figur, parad. Jest dla nich taki wspaniały, taki epicki, taki doskonały.

Jednak w grze w kapsle skazany jest na porażkę, gdyż nie skupia się na rywalizacji. Myśli o swoim ojcu i o pewnej kobiecie, a także o swoim bracie, który udaje, że go to nic nie obchodzi, a tak naprawdę w środku brata kotłują się myśli i emocje, znacznie mocniej niż w tej mądrzejszej, wyedukowanej głowie.

Grzegorz zatem przegrywa, a na dodatek nie zauważa, jak w pewnej chwili brat znika, nie ma go już na placu, przy piaskownicy, nie ma na trzepaku i w pierwszym odruchu Grzegorz ma zamiar pobiec za bratem, w wiadomym kierunku pobiec, ale potem decyduje, że skoro go brat nie zawołał, to widać nie potrzebuje i w ogóle nie ma sensu się nad tym pochylać i zastanawiać. Lepiej nie myśleć, tak jest zdecydowanie lepiej. Zająć się swoimi sprawami, swoimi.

Rozpoczynają więc kolejną rozgrywkę. Tym razem Grzegorz postanawia, że mimo rozproszenia, okoliczności i innych niesprzyjających rzeczy, on wygra dla brata ten wyścig i tak się staje. Jego kapsle są zdecydowanie lepsze od kapsli Andrzeja, gdyż Grzegorz dba o nie, dobiera odpowiednie koszulki, nie za ciężkie i nie za lekkie, a poza tym ma coś takiego w sobie niezwykłego – precyzję i jakby nadprzyrodzone zdolności. Nie tylko w grze w kapsle. To dlatego uważają, że Grzegorz kiedyś zostanie kimś znaczącym, może szefem partii, a może prezydentem, choć w tych czasach nie ma prezydentów. Tak czy inaczej mówią: to będzie ktoś. Nie tak, jak jego brat nieudacznik, który co prawda zapowiada, że będzie rządził i to długo, to jakby z pełną świadomością, że ten sen się nie spełni.

Brat tymczasem jest już po wizycie w domu. Wchodzi ukradkiem, po cichu, widzi siedzącą w salonie samotnie mamę, wpatrzoną w jakiś punkt w ścianie i wyglądającą trochę nieludzko, jak jakiś robot, osoba całkowicie wytrącona z rzeczywistości, wykluczona z prawdziwego życia.

W przyszłości taki stan będą z bratem oglądać wielokrotnie, wielokrotnie będzie on też analizowany przez filmowców, robiących filmy psychologiczne o wycofaniu.

Nie budzi jej, nie wyrywa z transu. Zamyka cicho drzwi i biegnie po chwili kilka przecznic dalej, do budynku uczelni, w którym powinien dziś być ojciec, bo ojciec stara się pracować więcej, żeby zarobić na ich lepsze życie, a tak naprawdę, żeby uciec z domu, żeby nie spędzać czasu z żoną, której już nie kocha i z synami, którzy kochają ją bardziej niż jego, co też go boli i razi, choć się z tym już pogodził, jak z innymi życiowymi porażkami.

Brat wchodzi po cichu do gabinetu numer 505, w którym ojciec powinien pracować, ale jego tam nie ma, w tym gabinecie uczelnianym. Ojciec jest w budynku naprzeciwko, w którym garsonierę wynajmuje jego przyjaciel artysta, człowiek wielu talentów, a nadto dyskretny kompan, któremu można zaufać, bo wtedy nikt jeszcze nie wie, kto to jest tajny współpracownik, a mało kto przypuszcza, że takich jest tak wielu.

Brat za to wie o ojcu znacznie więcej niż ten przypuszcza, wie też dużo o jego przyjacielu artyście, który udaje takiego świętego, oddanego i krytycznego wobec władzy, a tak naprawdę jest zwykłym donosicielem i szpiegiem, co nigdy (ale tego brat nie wie) nie zostanie za jego życia ujawnione, a po śmierci nikogo nie będzie interesować, takie niesprawiedliwe to życie.

Brat już od dawna obserwuje ojca, jego zwyczaje, czasem chodzi też za jego znajomymi (stąd wiedza o artyście), szczególnie za jedną znajomą. Ale nigdy dotąd nie przekroczył granicy, nigdy nie dał ojcu znać, jak wiele już się dowiedział i nigdy nie zdecydował się na konfrontację, choć kilka razy było blisko.

Jednak tego dnia myśli o Grzegorzu, kapslach, mamie wpatrzonej w pustą ścianę, są tak dojmująco destrukcyjne, tak ponure i przykre, że podejmuje najważniejszą, najbardziej krytyczną dla swojego życia decyzję.

Cicho przekręca w zamku klucz, który dorobił mu znajomy ślusarz za dolary, otwiera równie cicho drzwi, zamyka je za sobą, stąpa po grubym artystycznym dywanie, jak to u artystów, którzy tylko mówią o artyzmie, a nic nie tworzą, krok po kroku brnie do przodu, słysząc coraz głośniej to, czego nie chce słyszeć, a potem staje przed drzwiami i patrzy na nich.

I nagle wszystko staje się w jednej chwili takie proste, takie oczywiste. Przeszłość i przyszłość. Jak w jakiejś tajemniczej machinie czasu Wellsa,

jak w surrealistycznej powieści, przeszłość porywa brata w szaloną przejażdżkę po historii, tłumacząc mu zdarzenia z przeszłości, a także jego własne odczucia, które teraz, w kontekście tego, co widzi, są tak jasne i oczywiste, a potem machina zakręca i biegnie w przyszłość, tę wydawałoby się ważniejszą, która jednak mówi bratu: nigdy nie zapominaj o przeszłości, bez szacunku dla niej, bez jej wyjaśnienia, nie ma przyszłości. W zasadzie przyszłość z punktu widzenia filozoficznego nie istnieje, więc zajmowanie się nią nie ma sensu, bo przecież czymś nieistniejącym nie należy się naukowo zajmować. Tak więc skup się na przeszłości, ale zapomnij o tych jej kartach, które dla ciebie samego są niedobre, bo inaczej nie wytrzymasz starcia z samym sobą.

Brat nie czeka aż ojciec i ta druga osoba skończą, to co zaczęli, odwraca się i wychodzi, nie starając się zachować ciszy, zamyka drzwi z trzaskiem, nie przekręca klucza. Niech wiedzą.

Ojciec i ten drugi mężczyzna. Niech wiedzą, że on wie.

* * *

Och, jak ciężko oddychać, jak ciężko pogodzić się z przeszłością i przyszłością. Ona jednak jest. Jak niezapisana karta wisi sobie gdzieś w kosmosie i jest przesądzona, teraz on to czuje. Można ją zmienić, lecz jest to zadanie niezwykle trudne.

Jak u tych dwóch chłopców, których obserwowałem w tej przeszłości, siedząc na ławce na placu zabaw.

Może oni są prawdziwi, a ja nie jestem? Może ktoś mnie wymyślił? Jakiś Toni, Birkut albo Marcel? Może narodziłem się w głowie pisarza, reżysera czy innego szaleńca? Jakim prawem, chciałbym się zapytać, ale nie mam kogo, bo tego prawdziwego twórcy przecież nigdy nie spotykamy, przynajmniej nie za własnego życia. Twórca pozostaje dla nas bytem nieodgadnionym, niezrozumiałym, na zawsze skrytym w cieniu, pełnym tajemnic tak w działaniach jak intencjach.

Myślę o twórcy, że jest okrutny w swojej bezwzględności, że powinien zostawić w spokoju moją mamę i ojca, którym już wystarczająco okrutnie ułożył losy. Chce mnie kąsać, chce mi dać popalić, dobrze, niech ma, ale co oni mu winni? Ten biedny, stary oszust i ta wspaniała, niezwykła, niewinna kobieta? Czemu winni?

Jednak wzruszam się, sam na siebie zły.

Moja mama tylko raz zrobiła ojcu awanturę o rzekome zdrady z tą asystentką, którą kiedyś ze zgubnej ciekawości śledziłem. I chyba to był jedyny raz, kiedy nie przejmowała się, że słyszymy. Nawet się na nas powoływała, wyrzucając ojcu, że dla niego ja i brat nic nie znaczymy, że rodzinę jest gotów poświęcić dla jakiejś młodszej, nie znającej życia gówniary, że na ustach ma frazesy o honorze, Bogu, ojczyźnie, a w sercu jest jak inni zdrajcy: czarny, pusty, pozbawiony sumienia i zasad.

Nie wiem, dlaczego nie wyprowadziłem mamy z błędu, nie udowodniłem, że ojciec jej nie zdradza z żadną kobietą. Byłem w stanie to zrobić, mogłem odpowiednio poprowadzić sprawy tak, by jej ulżyć. Tak jak potem wielokrotnie ją chroniłem, oszczędzałem cierpień i bólu, bez względu na koszty i wbrew przeciwnościom, niejednokrotnie przekraczających wyobrażenia, tak ten jeden raz nie chciałem jej chronić i wyprowadzić z błędu.

Może dlatego, że chciałem, żeby go znienawidziła, nie wiedząc, za co tak naprawdę nienawidzi.

Zastanawiam się dziś nad miłością. Czy jest czymś pożądanym, wspaniałym i niezbędnym, czy też bardziej rani niż nakręca? Czy jej ciernie, choć bolesne, nie wzmacniają na przyszłość? Jest darem losu, czy tylko jego przekleństwem?

Rozdział 12

Szanowny Panie Naczelniku!

Mam na imię Marta i piszę do Pana z Kluczborka. To taka mała miejscowość na południe od Nigdzie, pewnie pan zna, bo Pan jest przecież znany z odwiedzania małych miejscowości.

Chciałabym przekazać, że my tu wszyscy bardzo trzymamy za pana kciuki i wierzymy, że kiedyś nadejdzie dzień, gdy wielka Polska znów powstanie z kolan, zrzuci te zdradzieckie ruskie pęta, wsiądzie na ognistego rumaka i przegoni najeźdźców.

Proszę się nie poddawać i nie wierzyć, że to Pana wina. Pan Polskę prowadził jedyną słuszną drogą, dawał nam tu (w Kluczborku i okolicach, ale też w całym opolskim, o tak, w całym) nadzieję.

Bóg z Panem, Panie Naczelniku.

Marta z Kluczborka

PS

Pozdrowienia dla Liwii (Władzy)

* * *

Ja z takim zapytaniem. Komendant od nas z jednostki mówi, że wciąż można do Pana pisać, więc napiszę co myślę. A myślę, że jest Pan wielkim patriotą i wspaniałym przywódcą. Dzięki panu mamy w końcu powszedni dobrobyt, wszyscy mają pracę, domy, nie ma tych złodziejskich banków i zdrajców, nie ma uchodźców, w niedzielę chodzi się do kościoła, a nie do marketów. No i Wowła Władymirowicz jest. Nie to żeby on był większy od Pana, czy Pana Grzegorza, bo w końcu on dzięki Panu tu jest. Ale jednak to on nam przywrócił godność (dzięki Panu też). Liczą się teraz z nami nie tylko w Bejrucie i San Escobar, ale w Paryżu, Londynie i Madrycie, no i za oceanem. A że mierzą tymi swoimi rakietami? Niech mierzą, mamy swoje, lepsze, większe, sprawniejsze. Wojny i tak przecież nie będzie, już Wowka

się o to zatroszczy. Pozdrowienia dla Sani Baćki, ponoć macie ze sobą kontakt…

Także tak, sam już nie wiem, co chciałem napisać…

Wiktor.

* * *

Kocham Pana, Panie Naczelniku.

J.

* * *

Gdybym tylko mógł cię dorwać w swoje łapy, draniu, przeklęty dywersancie, zdrajco! (anonim)

* * *

Biorąc pod uwagę za i przeciw, uznałem, że jednak nie było innej drogi. Balansowanie pomiędzy Europą a Rosją nie miało przecież sensu. Oczywiście zrozumiałe, że w tamtej chwili musiał pan się na to godzić, mówić w ten sposób, jednak zrozumiałe, (oczywiste), że wcześniej czy później wybrać trzeba było. No i skoro ta Unia taka zepsuta, islamska, to już lepszy ten Wowka. W sumie to co w tym złego? Sukcesy ekonomiczne ma, dobrą armię, imperium buduje. W takim imperium być to przecież nie wstyd. I Słowianin. I pokłonił się nad ofiarami. Tych kontrolerów ruchu, co wpuścili Pana Grzegorza na autostradę, skazał. Lepszy taki niż jakiś kalif czy inny Ali.

* * *

Szanowny Panie Naczelniku, ja ze skargą, bo mi syn zaginął. Wyszedł rano z domu i nie wrócił. Na policji mówią, że pewnie pijany po sobocie gdzieś utknął i nie słuchają, że on nie pije. Poza tym to dziennikarz, a ja czytałam, że ostatnio dziennikarzy wyłapują, biją, mordują i dlatego boję się, że mojemu Marcinkowi też się coś stało. Jeśli mógłby pan szepnąć słówko… Zdjęcie załączam i sto złotych przesyłam za fatygę.

* * *

Dziękuję Panu, Panie Naczelniku, za tani gaz, leki tanie i że nie trzeba do sądu chodzić. U nas we wsi sołtys dobrze rozsądza, a jak komu nie pasuje to idzie do komisarza ludowego, a ten zawsze sprawiedliwy. Nie będą nam sędziowie…

* * *

Panie Naczelniku, to już przesada. Mam na myśli polskie plaże. Nie dość że w okresie letnim ludzie je barykadują tymi palisadami od samego rana, to jeszcze teraz zakazano sprzedawania przekąsek przez plażowych sprzedawców. I to dlaczego? Że niby sobie jaja z Biblii robili i wyśpiewywali dziwadła? Jak to na wakacjach. Ludzkie prawo trochę sobie pożartować. Niech Naczelnik nie będzie taki poważny.

* * *

Historycznie rzecz biorąc trzeba przyznać, że ocena Pańskiej działalności może być dwuznaczna, ale ostatecznie PKB wzrosło, liczba przestępstw zmalała a wykrywalność wzrosła. No i nikt naszej Świętej Panienki źle nie opisuje. Nikt w ogóle jej nie opisuje…

* * *

Ja bym chciał poskarżyć się na Artystów. Nieroby, późno wstają, wymyślają jakieś głupoty i jeszcze narzekają, że mają za mało i że muszą prace przez cenzora przepuszczać. Mnie stary też namawia, żebym coś napisała, to może dostanę zasiłek i będę mogła skupić się na pracy w domu. No i rzadziej będzie mnie głowa bolała. Bo jemu, Naczelniku, to tylko jedno w głowie.

* * *

Piszę to ze wstydem, towarzyszu Naczelniku, ale uważam, że napisać trzeba. Nazwiska nie podam, bo i po co, ale powiem, że jestem tym mężczyzną, którego czterech Algierczyków zgwałciło w kurorcie nad morzem. Nie zdołałem się obronić, bo mnie obezwładnili i pobili, ale niestety nie straciłem przytomności, przez co wszystko widziałem, pamiętam i dziś muszę powiedzieć, że jednak pana popieram, panie

Naczelniku. Tak jak wcześniej nie popierałem, tak teraz popieram. Płaczę i popieram.

* * *

W naszej wsi, towarzyszu Naczelniku, jest taki pisarz. Ja chciałabym donieść, że on chce napisać coś przeciw Panu. Kryje się, ale ja go przejrzałam, łobuza jednego…

* * *

Ty chuju bury!

* * *

We wsi Medyce, Felesiów Janek jada makaron w karczmie widelcem i łyżką. Podają mu normalnie widelec i nóż, a on się domaga łyżki. Podają, ale nie podoba się to nikomu, jak nic kiedyś go ktoś obije za tę łyżkę, a to całkiem miły człowiek, więc piszę, może by go jakoś ochronić, bo już chłopy się szykują. Kiedyś zagadałam do niego o tę łyżkę (bo ja kelnerka, Naczelniku), a on mówi, że to z dawnych czasów, kiedy we Włoszech zbierał oliwki. Mówi, że oliwki oni mają najlepsze na świecie i żebym nigdy nie kupowała innych, tylko włoskie, tak samo jak oliwę z oliwek, tylko włoską, bo hiszpańska i portugalska gorsza. No i proszę sobie wyobrazić, że on w tych Włoszech nie mógł sobie poradzić z jedzeniem makaronu widelcem, więc poprosił o łyżkę, a oni mu dali (też zdziwieni, a jakże), a potem gapili się, jak on sobie radzi. No i ten Janek twierdzi, że teraz we Włoszech to wszyscy tak jadają.

– Nauczyłem Francuzów jeść widelcem, a Włochów łyżką – mawia.

Porządny chłop z tego Jania od Felesiów, także jakby Naczelnik się za nim wstawił u ludowego komisarza, to na pewno nikt by się nie odważył mu krzywdy robić, warto Jania Felesiów wesprzeć, żeby zębów nie straciło, bo i po co.

* * *

Chwasty, chwasty, wszędzie chwasty. Wyrwać, zabielić, opryskać, do samej ziemi!

* * *

Szanowny Prezesie,

ukrywać nie będę, że ja z opozycji. Sądzę, że mnie śledzą i inwigilują, boję się, że dosypią mi jakichś proszków do drinka. Nie pijam przed południem, ale po południu mi się zdarza. Przyjaźnię się z Ryszardem, też opozycjonistą. No i uważamy, że jesteśmy obiektem inwigilacji i niniejszym chcieliśmy zaprotestować stanowczo i jednoznacznie. Jednocześnie chcemy zaznaczyć, że wszelkie zdjęcia zrobione przez agentów i szpiegów nie mogą być wykorzystywane w mediach.

Szczególnie te z Madery i Paryża.

A tak w ogóle, dałby się Pan zaprosić na kolację?

* * *

O, królu złoty, najwspanialszy nasz władco, oby cię wszyscy tak sławili na wieczność…

* * *

Koty w Polsce są głodzone i mają gorzej niż psy. Reprezentuję koty i proszę o wsparcie. Poprzedni naczelnik dawał tysiąc złotych miesięcznie. Komisarz ludowy mówi, że kotów nie wolno dokarmiać. Mają się same ekstermionować (nie wiem co to znaczy, a w internecie to słowo zakazane, w googlach wyskakuje blokada). Komisarz uważa, że jeśli będziemy ratować koty, może dojść do tego, do czego doszło już w Afryce. Nie wiem, czy Naczelnik o tym słyszał? Podobno w Afryce różni Amerykanie i inne filantropy wydały miliardy dolarów na pomoc, co się przerodziło w taki wzrost populacji, że musiała się wylać do Europy (najbliżej), bo z Azją nie mieli szans (ich jeszcze więcej), a Ameryka cwana (zamknięte granice i wiz nie wydają). Mówi, że gdyby nie oni, to dziś wszyscy bylibyśmy czarni, no może prawie wszyscy. I Jezus Chrystus musiałby ustąpić temu ichnichniemu. I Maryję by nam zdjęli z ołtarza i pewnikiem zhańbili, bo to przecież swołocz i barbarzyńcy. Ja to rozumiem, że to problem większy, istotny prawdziwie, palący jak to się mówi, ale z tymi kotami to nie tak, panie naczelniku. Pan, jako znany orędownik kotów, na pewno mi pomoże…

* * *

Na imię jej Marta, blondynka, ładna, zgrabna. Sypia z dyrektorem służby celnej, w kamienicy numer sześć na Miodowej, na poddaszu. Kto jej lokal użycza, nie wiem, ale ona przychodzi pierwsza, a on po niej. On jest żonaty, więc bardziej roztropny, uważny. Rozgląda się, zanim wejdzie. Ale potem wchodzi już pospiesznie. Ona czeka w lekkiej tunice (jedwabnej). Wypachniona, wykąpana, w aromacie kwiatów i pustyni, trochę hawajskim. Na stole czeka kolacja. Delikatna, żeby na żołądku nie zalegała. Jakieś drobne przekąski, owoce morza, wino do tego markowe, można powiedzieć prymitywne. Ona jest naprawdę piękną i dojrzałą kobietą, z klasą. On za to dobry kochanek (kto by pomyślał). Dokazują przez całą noc, a nad ranem palą papierosy i rozmawiają o tajemnicach. Głupi ten szef służby, bo zdradza dużo tajemnic, jakby zupełnie nie spodziewał się, że to taka Mata Hari, a ona jest nawet lepsza. Potem on ubiera się i wychodzi, a ona spisuje, co usłyszała. Czasem fragmenty z tego puszcza na twittera. Próbuje dobrać się też do prezydenta i nie jest bez szans. Radzę uważać. Na pana Naczelnika też sobie ostrzy zęby. Podejrzewam, że ostre. Mogą ugryźć boleśnie. Czy warto?

* * *

Domagam się stanowczych działań przeciw Francji. Skoro oni żądają sankcji, przestańmy kupować ich produkty. Wnoszę o natychmiastowy zakaz sprzedaży francuskich wyrobów. Sam dziś postanowiłem spalić swoje szesnastoletnie renaut. Czy są planowane jakieś odszkodowania dla patriotów?

* * *

Jakież to było przedstawienie, to na Jasnej Górze, panie Naczelniku. Wspaniałe, przepiękne, zajmujące, dech odbierające. Brawo prezes telewizji. Brawo Naczelnik.

A Niemcy niech płacą te repatriacje i nie narzekają.

* * *

W Chinach, panie Naczelniku, są takie wioski, w których trzyma się tylko małe dziewczynki i wychowuje na dobre żony, pracownice, kochanki, kucharki, wojowniczki. To sekciarze, ci Chińczycy.

* * *

Porażka z Serbią to skandal i dywersja. Wygrana z Finlandią nie zmaże plamy. Jeśli zdobędziemy mistrzostwo, to fartem jakimś. Straszna sprawa z tym Adamem. No i Grzegorza też szkoda (chuje z telewizji propagandowej chyba nie wiedzą, co to przyzwoitość). A kto wygra mecz? Poooolska. Poooooolska. Poooolska.

* * *

Ja wiem, że interesowność nie w modzie, ale spieszę donieść, że sąsiad Kwaśniewski właśnie przyjechał do sąsiada obok, do willi na wzgórzu, choć twierdzi, że ta willa nie jego. W willi siedzą teraz z Kwaśniewskim: taki mały, gruby z uszami i taki wielki, co wygląda na oligarchę albo koszykarza (emerytowanego, bo stary). Wcześniej przyjechał ten stały oszukańczy słup, prymityw, budowlaniec. Obgadują coś, szemrają, na pewno coś niecnego. Nagrywać ich trzeba, sama bym nagrała, ale nie umiem. Mój syn za to poszedł podsłuchać, ale wróci dopiero rano (ta młodzież). Jutro napiszę co dalej. Jebać WSI!

PS. Te Ministerstwo Listów to naprawdę zbawienie dla nas tu, na prowincji, maluczkich, którzy nie bardzo wiedzą, co w Warszawach piszczy.

* * *

Dziennikarz Rosłoń narkotyzuje się i zdradza żonę. Proszę mu nie ufać. A redaktor Zysk to alkoholik, dlatego mu się tak język plącze jak relacjonuje. Ale i tak ci lepsi od tych niemieckich stacji. Dobrze, że je naczelnik wygonił na satelitę.

* * *

Taki deal, Naczelniku: nagram dla was tych co ważniejszych liberałów, ale w zamian chcę ułaskawienia w sprawach i pożyczkę na spłatę długów.

No i w nowej Polsce jakieś stanowisko i parę kontraktów by się przydało. Z Marcelem deal już mam, ale wolę jednak mieć choć słowo z wyższej instancji, tak dla pewności…

* * *

Trzech Rosjan w Mogielnicy zgwałciło nastolatkę. Doniesiono do komisarza, a ten powiedział, że to nie Rosjanie tylko Amerykanie. Ścigają teraz po całym województwie trzech Amerykanów, a ja Panu mówię, że to byli ruscy, więc nikogo nie złapią, bo jak się szuka Amerykanów chcąc tak naprawdę złapać ruskich, to nijak się to udać nie może. Co najwyżej ruski tych szukających złapią i obiją, żeby tylko nie powywieszali. (anonim)

* * *

Spieszę donieść, że w Wąchocku posadzono dwie pancerne brzozy wygnane z Ławic czy innego Pcimia. Nie chcemy tu żadnych brzóz!

* * *

Korniki to szkodniki! Ratujmy Wariaki, hodujmy prosiaki.

* * *

Strażacy z Wilkowa zgadali się z chłopami z Miąższa i podpalili stodołę u Romańczyka, która miała być pusta, ale Romańczukowi się dni pomyliły i zapomniał opróżnić. Ratować trzeba było trzodę i gasić, przez co po tygodniu spalenie powtórzono. Romańczuk zarżnął dwie świnie i zrobił z nich skrzynkę kiełbas, smalcu, żywca i różnych takich specjałów. Cała skrzynka została przekazana strażakom, którzy w następną sobotę znów podpalili, tym razem skutecznie, stodołę. Dla odszkodowania, Naczelniku, a odszkodowanie z państwowej firmy, czyli jakbyśmy wszyscy płacili.

* * *

Prezes Naftenu, szanowny Panie Naczelniku, to jest straszny buc i prostak. Nie dość, że klnie jak szewc, to w ogóle nie zna się na biznesie. Kto go tam wstawił, panie naczelniku, no kto?

* * *

Podziękowania za kolejny odcinek autostrady w Pieklinie. W naszej wiosce autostrada to jedyna rozrywka. Chodzimy sobie na wzgórze, siadamy na trawie i oglądamy samochody, jak jadą na Zachód. Bo na wschód mało jeździ, ale czasem też jeżdżą. Podobno mają nam wybudować taras widokowy, a z czasem może tu powstanie amfiteatr z autostradą w tle. Rozwija się nasze Pieklino i to cieszy. Na chwałę Naczelnika.

* * *

Wiola Raksa to dziwka. Puszcza się z każdym. Ma trzech chłopów naraz. Nie wierzyć jej, jak pójdzie donieść, że ją zgwałcono. Tydzień siedziała z chłopami trzema i było jej dobrze. Na sobie miała kusą spódniczkę i była bez majtek (albo miała takie, co ich nie widać). A jak wyszła, to nagle zgwałcona. Mój synek, Artur, na gwałciciela się nie nadaje. On nie musi siłą kobiet zdobywać, taki ładny. A ta Wiola, jak mówiłam, dziwka. Wszyscy to wiedzą.

* * *

Ślepym trzeba być, żeby nie widzieć, że to faszysta, ten Zenek Stelmasiak. Łysy, w mundurze chodzi, jakieś różne dziwne znaki robi i pluje na chodnik. Mówią, że po pijaku innych wyzywa od komunistów. Nocami szuka Żydów, żeby bić, ale szczęśliwie w Kłodzku Żydów nie ma. Arabów też nie ma. Murzyn jeden chroniony (zakaz bicia Murzyna wisi na kościele, a ksiądz ma ciężką rękę, oj ciężką). Chińczycy dobrze jeść dają. Jest jedna Indianka, ale ona taka ładna. Biedny ten Zenek Stelmasiak, nie ma kogo bić. Może by te granice otworzyć?

* * *

A ja tylko po błogosławieństwo. Jutro (dziewiętnastego znaczy się) bierzemy ślub z moim Pawłem. Bardzo bym chciała szanownego Pana Naczelnika na ten ślub (i na wesele – potwierdzać nie trzeba) zaprosić. Przeczytałam w Trybunie Wschodniej, że Pan Naczelnik potrafi taki numer swojej ochronie wywinąć i nagle pojawić się gdzieś na ślubie na prowincji, więc postanowiłam napisać, a co może się zdarzy.

* * *

Pierdolę, emigruję na Islandię!

* * *

Burmistrz w naszym mieście jest złodziej i dziwkarz. Kradnie na potęgę, prosto z kasy, a potem księgowi nie wiedzą, co z tym zrobić. No i sypia z sekretarkami. Mówią, że ma takie zboczenie. Każdą sekretarkę zaliczyć. Ja, muszę się naczelnikowi przyznać, właśnie sekretarka i mnie jednej się na razie udało, ale nie wiem ile jeszcze będzie się udawać, dlatego piszę. Niecne uczynki dokumentuję. Pozostając w poważaniu…

* * *

Ja uważam, że Naczelnik jest mężczyzna bardzo przystojny i ładny. Mnie też niczego nie brakuje, zdjęcie załączam, może Naczelnikowi akurat się spodobam. Gotuję dobrze, szyć umiem, śpię mało, będę bardzo o Naczelnika dbać, a jeśli Naczelnik woli chłopców, to też się nadam na pomoc i nie będę się nieproszona napraszać.

* * *

Jordan Belfort to był gość. A może on nie Jordan i nie Belfort? Za to Leonardo smakowity, smakowity. No i chciwość jest dobra, a jakże.

* * *

Taki miał być czuły barbarzyńca z tego mojego Heńka, Naczelniku, a po latach wyszło szydło z worka. Nie chcę zawracać Naczelnikowi głowy sprawami tak prozaicznymi, ale nie mam już się do kogo zwrócić, a mój Heniek radny, w partii pana Naczelnika, no bo przecież innej nie ma. Gdyby Naczelnik zechciał się za mną wstawić i porozmawiać z Heńkiem, żeby przestał mnie bić i molestować. Albo niech chociaż bije lżej i molestuje rzadziej.

* * *

Zainstalowali na księżycu taką antenę, która nadaje sygnał do sterowania ludźmi, kierowania ich umysłami i instynktami. Nie wiem, czy to oni, czy ktoś inny przekazał mi tę wiedzę, ale właśnie tak się stało. Sterują teraz zdalnie mną, włączają i wyłączają. Jak wyłączają to mogę robić, co chcę, i w tej chwili piszę, co piszę, ale nie wiem, czy dopiszę, bo jak mnie znowu włączą, to może przestanę pisać albo list porwę. Staram się stawiać opór, ale jak już włączą tę antenę, to nie da się nic już zrobić.

* * *

Suka odgryzła mi ucho i na dodatek udaje, że to z miłości, w ferworze, uniesieniu i tak dalej. Ale ja myślę, że ona taką tylko linię obrony przyjęła, bo na to moje ucho się zasadzała dużo wcześniej, zanim pomiędzy nami doszło do tego, do czego dojść miało i do czego nie powinno, ja głupi.

* * *

Pamięta naczelnik tę zbrodnię w Zakopanym, co modelkę zamordowano. To wyobrazi sobie naczelnik, że to jest cały gang (liberałowie z partii tej zdelegalizowanej go prowadzą, powiązania mają, skurwysyny jedne do podziemia zeszli i teraz mafijnie rządzą). Sprzedają nasze, piękne, dorodne, polskie kobiety Arabusom, do brudnego seksu, fekalianego, najgorszego, wyobrazi sobie naczelnik. Wiem co piszę, bo w tym uczestniczyłem, ale gdy poznałem szczegóły, to mnie zwyczajnie zemdliło, a po kilku dniach takiego moralnego kaca, w końcu zdecydowałem się napisać. Zeznam pod nazwiskiem. Do protokołu czy jak tam się mówi. Gdyby jakieś telewizje chciały nakręcić wywiad, to podaję numer telefonu…

* * *

Donosiłem, donoszę, donosić będę.
Kochałem, kocham, kochać już nie umiem.
Takie kurwa haiku.

* * *

Nowak Zdzisław z tej strony. Zacznę od faktu, że zawsze głosowałem na Naczelnika i na tych, których wskazał. Ale mam teraz problem, bo jednak ta

maciora, na którą zagłosowałem z rekomendacji szanownego jest zupełnie nie w moim typie i dodatkowo strasznie wulgarna, a ja uważam, że posłowie powinni być na poziomie, nie przeklinać i nie podnosić głosu, nie gestykulować przesadnie, wypowiadać się ładnie i walczyć na argumenty, a nie się emocjonować. No i żarcie przed kamerami to też niełądnie. Ja wiem, że te kamery zdradzieckie, specjalnie tak pokazują, ale ona mogłaby nie prowokować. Ja uważam, że ona naczelnikowi robi straszne tyły. Jak naczelnik przegra wybory, to wtedy może sam to dostrzeże.

* * *

Czy do Naczelnika ktoś napisał o miłości? Bo ja mam taką właśnie historię, trochę łzawą, a na pewno romantyczną. Otóż historia dotyczy mnie i mojego męża, którego o mało co bym przeoczyła, bo byłam zapatrzona w takich raczej dużych i silnych mężczyzn, znaczących, a on był chudy, stronił od znaczeń i jeszcze w okularach. A mnie babcia powiedziała, że każdy w okularach to kłamca, zdrajca i do tego do niczego w tych sprawach (o, jakże się myliła). No więc mój Patryk (takie imię, wiem, głupie, ale cóż, przecież imienia się nie wybiera) robił do mnie podchody przez rok, a twierdzi, że przez lat dwadzieścia, i kiedy mnie ten Diablo spod piętnastki rzucił, w końcu mu pozwoliłam się zaprosić do kawiarni i porażka to była straszna, bo on nudził ciągle o książkach i filmach, a ja żadnych książek i filmów nie znałam. I z tej nudy wypiłam za trzy drinki za dużo i w końcu było mi już wsio rawno, za to do domu nie chciałam wracać, raz że wstyd, tak wcześnie, dwa – w takim stanie?, więc ostatecznie stwierdziłam, niech tam mnie bierze ten Patryk, ma tę swoją radochę, no i on wziął. I jaaaaakie to było wzięcie. Kocmołuchy z siłowni się chowają. Mówię naczelnikowi, nie ważny wygląd, ważne serce. Serce wielkie, wielka rozkosz.

* * *

Pamiętam ten dzień, o mój Naczelniku, ten dzień jeden z wielu, a jakby jedyny, gdy o wschodzie słońca, w ramionach mroźnego poranka, w mglistych całunach, zroszone słoną bryzą ciała nasze tańczyły, splątane tęczą znaczeń, korowodem zmysłów, jednością i pustką…

* * *

Co za naród, Panie Naczelniku? My tu w Strzepszczech Pustchich (Kaszebe), nie możemy nadążyć z naprawianiem linii energetycznych, bo co naprawimy jedną, to w drugim końcu wioski psują drugą, i tak ciągle. Gang taki grasuje tutaj, co kradnie linie energetyczne w całym województwie i na złom sprzedaje. A ci ze złomu chcą odsprzedawać, ale nam kupować nie wolno, tylko nowe trzeba kłaść. Jak ma w Polsce być dobrze, jak takie procedery się obmyśla i to na dodatek ze społecznym poparciem, bo okradać państwo, to jakby nikogo nie okradać, a jeszcze po złapaniu powiedzą, że oni opozycjoniści. No i tak ciemnota panuje u nas, na tych Kaszubach, ale może Naczelnik coś wymyśli, żeby nas oświecić?

* * *

Stare i nowe. Tysiące. Setki tysięcy. Tylko one mi pozostały. Tu, gdzie teraz jestem, listów wciąż nie brakuje, wciąż przychodzą nowe.

Czytać mogę, odpisywać też, ale wiem, że ich nigdzie nie wyślą, więc to trochę bez sensu odpisywać. Lepiej spróbować jakąś książkę napisać. Książkę wydać zawsze mogą, nawet jeśli na początku schowają, ukryją, zamkną, no chyba że spalą, to już nie wydadzą.

Czytam listy. Liwii czytam na głos i sobie. Oto czym się dziś głównie zajmuję. Mam dużo czasu na czytanie, czytanie jest tym, co kocham, bo czytanie to wspaniała rozrywka i intelektualna taka. Większość społeczeństwa nie czyta i dawniej mi to pasowało, bo lepiej takimi manipulować, no ale dziś wolałbym, żeby jednak czytali.

Pozwolili mi zabrać tu Liwię, choć w nowym ośrodku nie mam całego skrzydła dla siebie. Dostałem jedynie pokój na końcu korytarza (a potem wyznano mi, że początkowo zamierzali przydzielić mi współlokatora, ale uznali, że jednak byłoby to zbyt niebezpieczne dla mnie i dla niego).

Poza tym szacunek się należy. Ruscy mają pewne zasady honoru i uznają mnie jednak za kogoś więcej niż jakiegoś oficera, któremu można po prostu strzelić w tył głowy z pistoletu i zakopać anonimowo w zbiorowym grobie. Zawsze mogę się na coś przydać.

Pokój ma niespełna dziesięć metrów. Poza łóżkiem jest w nim biurko, niewielka szafka na rzeczy, komoda i zawieszony na ścianie telewizor, ale nie tak nowoczesny, jak ten poprzednio przeze mnie opisywany. Za to programy ma lepsze i w kolorze.

Dla Liwii postawiono kuwetę, a pielęgniarze dbają o to, by była czysta i „serwisowana” (wymieniają żwirek, wyrzucają kupy).

W mojej nowej samotni mogę mówić, co chcę, kiedy chcę i jak chcę. Jest tu wielu podobnych do mnie osobników. Też tak robią. Ale żaden nie ma kota. Tym się wyróżniam. No i mam dar opowiadania. Gdy mówię o swojej przeszłości, o tym jak zmieniałem Polskę, wiele osób przychodzi posłuchać. Kiwają głowami, trzymają za mnie kciuki, niektórzy płaczą. Widzę, jaki wpływ na nich wywieram i dodają mi siły. Ta walka nie jest jeszcze skończona. Wciąż może skończyć się inaczej.

Jeden z pielęgniarzy jest szczególnie miły. Lubi być koło mnie i zagadywać. Często pyta, czasem wyraża swoje zdanie, tak zbieżne z moim.

– Bo ja, panie Naczelniku, uważam, że nic lepszego dla Polski od pana nie mogło się zdarzyć. Bo to, co było wcześniej, to był straszny dramat, państwo nie działało, sądy nie działały, lekarze nie leczyli, a przedsiębiorców się gnębiło, tych uczciwych, bo oligarchowie… o, oni to mieli dobrze. Pan dał nam nadzieję, że może być inaczej, że można stworzyć silne państwo, w którym będzie się szanować Polskę i Polaków, które da nam dumę z tego państwa.

– Dziękuję.

– A to, że przegraliśmy, to przecież nie pana wina.

– Nie przegraliśmy.

– No tak, tylko…

– Dopóki mamy siły, musimy walczyć. Musimy udowadniać, że warto nas słuchać. Że mamy do powiedzenia coś istotnego. Przegrane bitwy zdarzają się także wielkim wodzom. Liczą się wojny, mój drogi… jak ci na imię?

Stefan – tak się przedstawił. Opowiedział mi swoją historię. Mieszkał kiedyś na ulicy Czeskiej w Warszawie. Zamordował go jeden pisarz i od tego dnia go nie wypuszczają do domu. Mówią, że niestety musi tu zostać, w innym wypadku zachwiałby równowagę. Ale pozwalają mu pracować. I czytać. Przynajmniej to dobre. A on lubi czytać tak jak lubi słuchać mądrych ludzi. Tylko tego pisarza, co go zamordował, nie czyta, no bo na niego jest cięty.

Ze Stefanem jestem dziś najbliżej. Rozmawiamy dniami i nocami. W nocy czasem mu pozwalam zgasić światło i w takich ciemnościach egipskich z nim rozmawiam i są to rozmowy nad wyraz intrygujące,

podnoszące na duchu, ważne. To od niego wiem na przykład, że w drugim budynku, odizolowany ode mnie siedzi ktoś równie ważny jak ja, kogo podobno znam. Według mojego pielęgniarza ten ktoś może siedzi przeze mnie albo dzięki mnie. Postanawiam, że kiedyś spróbuję się dowiedzieć o nim czegoś więcej.

Liwia bywa o Stefana zazdrosna. Obraża się, gdy zbyt dużo czasu mu poświęcam, zapominając o niej.

Zdarzają się rzeczy gorsze. Zakazali mi na ten przykład czytać Vladimira. Mówią, że zbyt destrukcyjnie wpływa na moją psychikę. Może to przez niego albo tego drugiego Michaiła mam sny pełne obciętych głów, nagich kobiet, bosych poetów, snujących się po pustkowiach niechcianych Chrystusów oraz małych chłopców, którym wydaje się, że są wielcy i silni, a których nikt nie lubi, nie szanuje, za to wszyscy lekceważą i obrzucają śnieżkami. Może przez nich co drugą noc odwiedza mnie Toni Bródka, przychodzi skurwiel bez głowy, to znaczy głowę trzyma pod pachą, jak Faron niegdyś czapkę i ta jego głowa dzierżona w dłoni nawija przez pół nocy, jak to go skrzywdziłem, jak oszukałem. Twierdzi, że przeze mnie jest w miejscu, w którym jest, a miejsce to nazywa się…

– Piekło – szepcze senny Toni. – Piekło się nazywa, ale wygląda zupełnie inaczej, niż to przedstawiali nasi autorzy, Naczelniku. Nie śniło ci się nawet, jak wygląda, a niech ci się przyśni jak najszybciej, bo tu na ciebie już czekają, oj czekają. Nie torturuje się tu nikogo, nie wsadza do ognia, nie zatapia w płynnej stali, za to ciągle trzeba dyskutować z filozofami. Ci filozofowie są w piekle z własnej woli, wolontariusze, wyobraź sobie. No i oni mnie ciągle i na nowo przekonują, że to, co wygadywałem za życia, to całkiem się kłóciło z nauką Chrystusa i było złe, oj jakie złe dla narodu i dla mnie, że moje reprezentacyjne i propagandowe działania w kierunku sławienia Kościoła i Ojca Tadeusza nie mają znaczenia, a znaczenie ma to, jak szerzyłem nienawiść, jak dzieliłem społeczeństwo, jak wykorzystywałem kłamstwa i kretyńskie teorie dla politycznych celów. A gdy protestuję, to dają mi takie dziwne kary. Wczoraj na przykład wzięli tylko moją głowę na rozmowy, a ciało zostawili w pokoju i zupełnie nie wiem, co się z nim działo, bo głowa nie rejestrowała, za to została położona na stole, na talerzu i musiała wysłuchiwać nie jednego filozofa, lecz kilkunastu, każdy z nich gadał pokrętnie i mało zrozumiale, a na koniec chórem się zgodzili, że wciąż nic nie rozumiem i trzeba mnie dalej indoktrynować tymi rozmowami i napominać karami. No i do ciebie też za

karę przychodzę, z rozkazu, nie z własnej woli, bo przecież nigdy nie lubiłem robić za nocną marę czy koszmar.

Prawdę mówiąc niespecjalnie przejmuję się tym ględzeniem upiora Toniego, jak też za jego życia się nie przejmowałem. Ot, kolejną teorię spisku sobie wymyślił, pośmiertnie, jego prawo. Mnie nic do tego.

W nocy tymczasem coraz częściej są burze, mimo że to nie lato, zimno na dworze. Chyba że teraz takie zimne lata nastały albo tu, w tym rejonie kraju, po prostu taki klimat. Zwykle idą od zachodu, te burze, mijają nas i gasną za ścianą lasu. Żadna jeszcze nie doszła do szpitala, dlatego sądzę, że nie są to takie zwykłe wyładowania, tylko wyjątkowe.

Choć napawają mnie strachem, dają też nadzieję. Może kiedyś uda się im przeniknąć także do ośrodka, rozwalić zasieki, wyrwać murom zęby krat i mnie uwolnić?

Ale co, jeśli te burze wcale nie chcą mnie uwolnić, jeśli chcą ze mną zrobić coś zupełnie innego?

Posłowie

Drogi Czytelniku, z pewnością dostrzegłeś w tej powieści wiele odniesień do współczesności, do wydarzeń, o których słyszałeś, czytałeś, oglądałeś w telewizji, a może w których sam uczestniczyłeś. Być może cię poruszyłem tą książką, zszokowałem, zbulwersowałem. Proszę Cię jednak o dystans do utworu i przedstawionych fikcyjnych postaci. Jeszcze raz bardzo wyraźnie podkreślam, że to fikcja, powieść, zmyślona historia o zmyślonych ludziach jedynie inspirowana rzeczywistością. Nie wolno Ci przyjmować, że ja przez fikcję literacką staram się coś ujawnić, opisać czyjeś tajemnice, oskarżyć kogoś w sposób podstępny, pomówić, wykpić, szkalować. Tak nie jest, wszelkie teorie przedstawione w tej powieści zrodziły się w mojej chorej wyobraźni, a nie w wyniku dziennikarskich śledztw.

Owszem, poza dostarczeniem rozrywki, zabawy, staram się skłonić Cię do refleksji, do zastanowienia nad mechanizmami rządzącymi polityką, służbami specjalnymi, mediami i innymi środowiskami posługującymi się manipulacją.

Chcę, byś był bardziej świadomy tego, jak działa świat władzy i jak cyniczni ludzie potrafią wykorzystywać naszą łatwowierność czy emocjonalny stosunek do wydarzeń, do których nie sposób podchodzić na zimno.

Dlaczego „Książki z kluczem”?

Jestem autorem wielu powieści, które ukazały się w renomowanych wydawnictwach, takich jak „Czarna Owca” czy „Muza”. To bardzo dobrzy wydawcy, z którymi współpraca układała mi się zawsze znakomicie. Mam nadzieję, że moja działalność w „Książkach z kluczem” nie zamknie mi drogi do wydawania powieści sensacyjnych czy kryminalnych tą normalną, tradycyjną drogą. Piszę też jednak książki w mojej ocenie ważniejsze i poważniejsze, które miałyby problem z ukazaniem się w jakimkolwiek istniejącym wydawnictwie. To właśnie powieści z kluczem. Kontrowersyjne, prowokacyjne, czasem demaskatorskie, odważne. Powieści o współczesnej Polsce, które tworzę z potrzeby serca i społecznej odpowiedzialności i których opracowywanie sprawia mi zawsze największą przyjemność. Wierzę głęboko, że warto pisać takie książki i one też znajdą odbiorcę. I mam nadzieję, że jest to po prostu dobra literatura, ale tu ocena należy do Was, drodzy Czytelnicy.

Powieści wydawane w serii „Książki z kluczem” raczej nie będą w tradycyjnej dystrybucji, będą rozpowszechniane głównie w internecie. Jeśli znajdzie się odważny wydawca, który zechce wprowadzić je do normalnego obiegu, zapraszam do kontaktu – www.zkluczem.pl

Moja historia

Jestem prostym chłopakiem z prowincji, który przez zupełny przypadek zawieruszył się w świecie wielkich pieniędzy i manipulacji. Przez wiele lat (prawie 20) byłem dziennikarzem, zaczynałem w tym zawodzie od stażysty, by skończyć jako doświadczony dziennikarz śledczy, który nigdy nie zaliczył wpadki i nie przegrał procesu sądowego. Napisałem kilka tysięcy ważnych tekstów śledczych o największych biznesmenach, korporacjach, przetargach, aferach. Przez moje artykuły potężne firmy płaciły milionowe odszkodowania, skarb państwa oszczędzał na wydatkach, a mnie wielokrotnie próbowano nastraszyć i przekupić. Gdy już nauczyłem się zawodu dziennikarza i stałem się profesjonalistą, okazało się, że tacy jak ja w tym zawodzie nie są potrzebni, są za drodzy, za krnąbrni, przynoszą więcej szkody (odpływ reklamodawców) niż pożytku. Zostałem bez pracy i przez osiem lat nie mogłem znaleźć żadnego stałego zajęcia. Jednak nie zmieniłem swoich zasad, odrzuciłem wiele zleceń, które przyniosłyby mi może pieniądze (a może więzienie). Zostałem pisarzem książek w zasadzie zawsze zawierających bardzo duży ładunek krytyki społecznej. Moje książki to fikcja, ale oparta na prawdziwych wydarzeniach i własnych doświadczeniach, przez co czasem bardziej prawdziwa (w sensie analizy zjawisk, mechanizmów i zbiorowości) niż reportaże. Książki, które poza rozrywką uczą, przestrzegają, skłaniają do refleksji.

Nie jest mi łatwo. Wiele moich książek trafia przed publikacją do prawników, wydawcy odmawiają lub zwlekają z ich publikacją (nie mam do nich pretensji, rozumiem, i tak jestem wdzięczny, że w ogóle chcą ryzykować razem ze mną). Czasem dotykam spraw trudnych i drażliwych, jak w powieści „Dla niej wszystko”, w której nadepnąłem (nieświadomie) na odcisk ludziom bardzo potężnym, niebezpiecznym i zorganizowanym. Dziś mam sądowy zakaz publikacji tej książki.

W ogóle moje życie bardzo przypomina losy bohatera słynnej trylogii Millennium. Podobnie jak tamten dziennikarz ja też musiałem odejść z mediów głównego nurtu, też wdałem się w wojnę z wpływowym

finansistą (Markiem Falentą), który wytoczył mi szereg procesów sądowych (wszystkie wygrałem), a po procesach dostałem od innego milionera intratną ofertę napisania książki o tajemnicy z jego życia. Ta sprawa skończyła się natrafieniem na ślad wielu niewyjaśnionych zbrodni (morderstw i porwań), przez co i mi zaczęło grozić poważne niebezpieczeństwo.

Mam jeszcze wiele ciekawych historii do opisania. Większość z nich zapewne nie trafi na normalne półki księgarskie, nie będzie promowana i reklamowana, ale zapewniam, że będzie warto te historie znaleźć i przeczytać. Jeśli chcesz mnie wesprzeć, pomóc w mojej działalności, czytaj moje książki i zaglądaj na:

www.zkluczem.pl

Podziękowania

Wiele osób bezinteresownie pomogło mi w przygotowaniu tej książki i jej publikacji. Nie chcę Wam narobić problemów, więc nie wymienię tutaj nazwisk, ale szczególnie wdzięczny jestem Katarzynie i jej mężowi, Mirkowi oraz Arturowi. Bez Was ta książka nie zostałaby wydana. Bardzo dziękuję. Ukłony do samej ziemi.

www.zkluczem.pl